cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #189 03/2022

ISSN 1895-4960

Piotr Lisiewicz
POLSKA MA BROŃ, KTÓRA MOŻE ZNISZCZYĆ ROSJĘ

Michał Rachoń
PEGASUS, ROSZCZENIA I POLSKA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

OBY ZACHÓD POSŁUCHAŁ OSTRZEŻENIA Lecha Kaczyńskiego

„Nie wolno ustępować imperializmowi ani nawet skłonnościom neoimperialnym”



OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. ADAM WARZAWA/PAP

eprasa.pl 77ed129928

TEMAT NUMERU ▼ 4–25



Oby Zachód posłuchał ostrzeżenia Lecha Kaczyńskiego / 4

GORĄCY TEMAT ▼ 26–34



Pegasus, roszczenia i Polska / 26

HISTORIA ▼ 36–59



„Przepraszam, co głowa nadużył” / 36

KULTURA ▼ 64–77



Wolter. Świecki papież oświecenia / 64

ŚWIAT ▼ 78–96



Jak KPCh pokonała Hollywood / 78

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Oby Zachód posłuchał ostrzeżenia Lecha Kaczyńskiego 4

Piotr Lisiewicz
Polska ma broń, która może zniszczyć Rosję 12

Z prof. Przemysławem vel Grajewskim rozmawia Grzegorz Wszołek
Rosja zaatakuje i przegra wojnę z wolnym światem 18

Antoni Rybczyński
Putinversteher. Wschodni wybór Niemiec 22

GORĄCY TEMAT

Michał Rachoń
Pegasus, roszczenia i Polska 26

Piotr Nisztor
Jak Apple i Facebook walczą o wiarygodność i miliony 30

Ryszard Czarnecki
Międzynarodowe skrzydła „Pegasusa” 34

HISTORIA

Dariusz Jarosiński
„Przepraszam, co głowa nadużył” 36

Tomasz Łysiak
Redaktor i jego Zeszyty 44

Ewa Polak-Pałkiewicz
Ten przebiegły facet z szyderczym uśmiechem 48

Agnieszka Kowalczyk
Hetman Tatr i Bałtyku 54

KULTURA

Jakub Augustyn Maciejewski
Wolter. Świecki papież oświecenia 64

Olga Doleśniak-Harczuk
Fashion Week sprzed ery poliestru 70

Krzysztof Karnkowski
Pogryziona szkoła 74

ŚWIAT

Hanna Shen
Jak KPCh pokonała Hollywood 78

Stefan Czerniecki
Ojciec pustyni 82

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 90

oprac. Antoni Rybczyński
Rozłam wśród swoich... 92

eprasa.pl 77ed129928

Stałe **rubryki**


Katarzyna Gójska
To nie może skończyć się bez konsekwencji
NA POCZĄTEK 3


Małgorzata Matuszak
Czym jest... piekło
KATECHIZM INTELIGENTA 35


Krzysztof Wołodźko
Przeciw mitom i propagandzie. Wieś po reformie rolnej PKWN
DZIENNIK LEKTUR 60


Marek Kalinowski
Eliksir młodości
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 77


Olga Doleśniak-Harczuk
Burza przed Monachium
Z GLOBALNEGO TYGLA 88


Ryszard Czarnecki
Prezydent Stefan Żeromski jakiego nie znamy
CZARNECKO TO WIDZĘ 97


Marcin Wolski
Ruś prawdziwa
PAPKULTURA 98


Tomasz Sakiewicz
Nowa UE
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

To nie może skończyć się bez konsekwencji

Nawet gdyby dziś, jutro czy za tydzień Putin zwinął swoje oddziały, powinien zapłacić za naruszanie cywilizowanych reguł relacji międzynarodowych. Powiedzmy szczerze, że konsekwencje za to winien ponieść już wiele lat temu. Gdyby ukarano go wtedy, dziś Ukraińcy i cały nasz region mogliby spać spokojnie.

Gdy oddawaliśmy do druku ten numer „Nowego Państwa", sprawa bezpieczeństwa Ukrainy ciągle pozostawała nierozstrzygnięta. Przywódcy wielu państwa, w tym Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, dzielili się ze światem informacjami wywiadowczymi, wskazującymi na zbliżającą się niechybnie rosyjską napaść. Z drugiej strony trudno było nie odnieść wrażenia, iż z perspektywy Kremla ciągle możliwy był scenariusz „taniego kupienia" naszego wschodniego sąsiada – nie poprzez wojnę, lecz przez zamęczenie Zachodu – przede wszystkim Berlina i Paryża – nieustającą presją inwazji i wymuszenie na nich działań dyplomatycznych nakierowanych na złamanie Ukraińców, by implementowały porozumienia mińskie wedle interpretacji moskiewskiej. Nie doceniamy bowiem daru, jaki Federacja Rosyjska otrzymała w ramach negocjacji z formacie normandzkim. Jego największym atutem jest bowiem możliwość rozgrywania polityki ukraińskiej od środka. Jeśli Mińsk wszedłby w życie, Putin zyskałby realny wpływ na funkcjonowanie naszego wschodniego sąsiada, i to wpływ destrukcyjny. Zresztą sama próba wprowadzenia w życie porozumień mińskich skończyłaby się zamieszkami. Można założyć z dużą dozą pewności, iż gros społeczeństwa ukraińskiego uznałoby to za zdradę i rozpoczęło walkę. A każdy z tych scenariuszy Putin przyjąłby z zadowoleniem. Wprowadzenie umowy mińskiej czy wielkie zamieszki na Ukrainie to otwarcie dla niego pola do próby przejęcia władzy w Kijowie, bez konieczności ataku wojskowego. To dla naszego wschodniego sąsiada wizerunkowa porażka i upewnienie Zachodu w przekonaniu, iż z tą Ukrainą to same problemy. Jednak nawet z tej nierozstrzygniętej jeszcze sytuacji do demokratycznego świata popłynęła arcyważna lekcja – Rosja nie jest partnerem, lecz agresorem, na jego wzmacnianiu w ostateczności stracą wszyscy, łącznie z tymi, którzy dziś są przekonani o robieniu interesów życia z Putinem. Dlatego z ostrą reakcją powinno spotkać się już samo zagrożenie niepodległości Ukrainy. Nawet gdyby dziś, jutro czy za tydzień Putin zwinął swoje oddziały, powinien zapłacić za naruszanie cywilizowanych reguł relacji międzynarodowych. Powiedzmy szczerze, że konsekwencje za to winien ponieść już wiele lat temu. Gdyby ukarano go wtedy, dziś Ukraińcy i cały nasz region mogliby spać spokojnie. Gdyby jednak zrealizował się scenariusz agresji militarnej, sankcje powinny być wymierzone nie tylko w firmy rosyjskie czy poszczególnych Rosjan z kagiebowskim carem na czele, lecz także w biznes zachodni – choćby niemiecki – robiący z nim interesy, oraz na konkretnych ludzi, na przykład na Gerharda Schroedera i wszystkich innych mu podobnych. Bez tego nie będzie w Europie pokoju. ■

> ROSJA NIE JEST PARTNEREM, LECZ AGRESOREM, NA JEGO WZMACNIANIU W OSTATECZNOŚCI STRACĄ WSZYSCY, ŁĄCZNIE Z TYMI, KTÓRZY DZIŚ SĄ PRZEKONANI O ROBIENIU INTERESÓW ŻYCIA Z PUTINEM.

eprasa.pl 77ed129928



Piotr Grochmalski

Oby Zachód posłuchał ostrzeżenia Lecha Kaczyńskiego

Dziś Putin gotów jest wywołać największą wojnę w Europie od 1945 roku, aby zrównać z ziemią Ukrainę i z tysięcy trupów wybudować mur między barbarią a wolnym światem. Dlatego tak ważne jest przesłanie śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego: „Nie wolno ustępować imperializmowi ani nawet skłonnościom neoimperialnym”.

eprasa.pl 77ed129928

W momencie, gdy ważą się losy jednolitego stanowiska Zachodu wobec zagrożenia agresją Rosji na Ukrainę, Adam O'Neal na łamach amerykańskiego „The Wall Street Journal" przypomniał wystąpienie śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi, które zatrzymało inwazję Putina na Gruzję. Dziennikarz zadaje dramatyczne pytanie 11 lutego, gdy coraz bardziej realny staje się wybuch największej wojny w Europie od 1945 roku: „Czy Zachód posłucha ostrzeżeń Polski przed rosyjską agresją?". O'Neal podkreśla, że już wówczas, 12 sierpnia 2008 roku, przywódca RP ostrzegał: „I my też wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę". Dziennikarz stwierdza: „Niektórzy uważają rząd w Warszawie za panikarzy, ale Polacy często mieli rację co do swojego bliskiego sąsiada". Ale też samo życie pokazało, że Kaczyński miał rację. Przypomina, iż wezwał wówczas Unię Europejską i NATO do solidarnej postawy i zdecydowanego sprzeciwu wobec ówczesnej inwazji Rosji w 2008 roku na małe, kaukaskie, suwerenne państwo. Jednak reakcja nie nastąpiła, aby nie drażnić Putina. Dlatego obecne ostrzeżenie, jakie płynie z Warszawy, jest szczególnie ważnym sygnałem: „Jeśli Zachód nie potraktuje poważnie wezwań Polaków do bardziej zdecydowanej reakcji, nietrudno wyobrazić sobie przyszłość, w której promoskiewski rząd ukraiński stoi bezczynnie, a Putin będzie wybierał swój kolejny cel". Gdyby wówczas NATO i Unia stanowczo zareagowały na bandytyzm Putina, Rosja byłaby innym państwem.

Tamta misja w 2008 roku powinna skłaniać do głębszej refleksji w Brukseli, Berlinie i Waszyngtonie. Ale pokazywała ona ogromną skuteczność Lecha Kaczyńskiego. W ciągu trzech godzin przekonał wówczas prezydentów: Ukrainy – Wiktora Juszczenkę, Litwy – Valdasa Adamkusa, Estonii – Thomasa Ilvesa i premiera Łotwy – Ivarsa Godmanisa do wylotu do Tbilisi, aby powstrzymać rosyjską inwazję. 82-letni wówczas Valdas Adamkus, który dziś dożywa 96. roku, był tuż po operacji, ale miał świadomość powagi sytuacji. Wszyscy doskonale rozumieli, czym będzie Rosja, jeśli się jej wspólnie nie przeciwstawią. Juszczenko, w trakcie kampanii wyborczej z Janukowyczem, człowiekiem Putina, omal nie został zabity. Zatruto go dioksynami. Uratowano mu życie w Austrii. Ślady tej próby mordu prowadziły do Rosji, do Putina. Valdas Adamkus, jako młody chłopak, walczył najpierw z Niemcami, a potem z Rosjanami o wolną Litwę. Potem wyemigrował. Thomas Hendrik Ilves urodził się w Szwecji, bo jego rodzice uciekli z okupowanej przez Sowietów Estonii. Wrócił, gdy upadł ZSRS. A Ivars Godmanis, gdy Łotwa odzyskała niepodległość, stanął na czele pierwszego narodowego rządu. Tacy ludzie odważyli się wówczas rzucić wyzwanie podpułkownikowi KGB.

„Środkowa Europa ma odważnych przywódców"

Tusk chciał storpedować tę misję. Z początku oponował, piętrzył trudności, ale w końcu – w obawie przed opinią publiczną – ustąpił. Wieczorem, 12 sierpnia, pięciu europejskich przywódców stanęło w Tbilisi na trybunie obok prezydenta Gruzji Micheila Saakaszwilego. Lech Kaczyński przemawiając przed budynkiem parlamentu do 200-tysięcznego tłumu, protestującego przeciw toczącej się agresji na ich ojczyznę, mówił zdecydowanie: „Gdy zainicjowałem ten przyjazd, niektórzy sądzili, że prezydenci będą się obawiać. Nikt się nie obawiał. Wszyscy przyjechali, bo Środkowa Europa ma odważnych przywódców. I chciałbym to powiedzieć nie tylko wam. Chciałbym to powiedzieć również tym z naszej wspólnej Unii Europejskiej, że Europa Środkowa, Gruzja, że cały nasz region będzie się liczył, że jesteśmy podmiotem". Putin mówił później z nieukrywaną irytacją o tym wydarzeniu. W dziejach Unii Europejskiej, i wolnego świata, nie ma niczego porównywalnego do owej misji, która pokazała napadniętemu państwu, że nie jest osamotnione, pozostawione same sobie przeciw barbarzyńskiemu imperium. Ale też słowa, wypowiedziane w tej szczególnej atmosferze, już wówczas głęboko wbijały się w pamięć. Kaczyński ostrzegał całą Europę: „Po raz pierwszy od dłuższego czasu nasi sąsiedzi z północy, dla nas także ze wschodu, pokazali twarz, którą znamy od setek lat. Ci sąsiedzi uważają, że narody wokół nich powinny im podlegać. My mówimy: nie! Ten kraj to Rosja. Ten kraj uważa, że dawne czasy, upadłego niecałe 20 lat temu imperium, wracają. Że znów dominacja będzie cechą tego regionu. Otóż nie będzie. Te czasy skończyły się raz na zawsze". George Bush, ówczesny prezydent USA, przesłał wówczas specjalne poparcie dla misji. Jak pisał Piotr Semka: „Nigdy wcześniej i nigdy potem liderzy państw, jakie zaznały sowieckiej dominacji, nie zdobyli się na taką demonstrację jedności. Wiec w Tbilisi przyspieszył nieruchawą z początku reakcję Waszyngtonu na agresję Putina".

Potem było Westerplatte

Prezydent Kaczyński udał się do Tbilisi właśnie w imię polskiej racji stanu oraz świadomości, że brak reakcji na barbarzyńską agresję podważy wiarygodność NATO i UE. To, co Kaczyński powiedział w stolicy Gruzji, nie było jedynie ostrzeżeniem przed Rosją.

FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

eprasa.pl 77ed129928

Było to coś znacznie ważniejszego – pokazanie solidarności państw, które mają świadomość, że jedynie wspólnie mogą się obronić przed rosyjskimi ambicjami imperialnymi. Była to trafna diagnoza i pokazanie całemu światu, jak należy postępować z Putinem – nie bać się zdecydowanie mu przeciwstawiać. Jeśli analizujemy świat z obecnej perspektywy, to widzimy konsekwencję, z jaką ten podpułkownik KGB wykorzystywał naiwną wiarę Europy w demokratyzację Rosji. Rok po inwazji Moskwy na Tbilisi, w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej, Putin wysłuchał na Westerplatte słów prezydenta Kaczyńskiego, które wywołały jego frustrację, ale też nerwowy grymas na twarzy kanclerz Angeli Merkel: „Z Monachium trzeba wyciągnąć wnioski, które sięgają czasu współczesnego, imperializmowi nie wolno ustępować. Nie wolno ustępować imperializmowi ani nawet skłonnościom neoimperialnym. Nie zawsze, tak jak w przypadku Monachium, daje to tak szybkie i tragiczne rezultaty. Ale z czasem takie rezultaty przychodzą zawsze. To wielka nauka dla całej współczesnej Europy, dla całego świata. Rok po Monachium wybuchła wojna, poprzedził ją fakt z 23 sierpnia 1939 roku zwany paktem Ribbentrop–Mołotow. To był nie tylko pakt o nieagresji, to był także pakt o podziale wpływów w dużej części Europy". Te słowa klarowały sens misji pięciu przywódców w Tbilisi. Adresowane były wprost do Merkel i Putina oraz budowanej przez nich osi Berlin–Moskwa, której ideowym patronem był geopolityk, hołubiony na Kremlu Aleksandr Dugin.

Ojciec Dugina był generałem zbrodniczej GRU. Dugin przy każdej okazji podkreśla: „My Rosjanie i Niemcy rozumujemy w pojęciach ekspansji i nigdy nie będziemy rozumować inaczej". Uważa, iż jedynie te dwa narody europejskie stworzone są do panowania. Widzi misję Rosji w zbudowaniu lądowej superpotęgi. Aby to zrobić, należy zwyciężyć największego rywala – atlantycką cywilizację, której jądrem są Stany Zjednoczone. Twierdzi, że „kraje, które powstały w wyniku traktatu wersalskiego i które stały się »kordonem sanitarnym« oddzielającym Rosję od... Niemiec, należy rozmontować. Takie rozgraniczenie musi mieć na celu zarówno interesy rosyjskie, jak i niemieckie". Zdumiewające, ale część tych poglądów, niemal otwarcie, wyraził Putin właśnie na Westerplatte, w swoim przemówieniu. Przekonywał, że „wojna ta ma swój początek w traktacie wersalskim, co doprowadziło do poniżenia Niemiec po zakończeniu I wojny światowej. Właśnie to zostało wykorzystane przez nazistów w połowie lat 30. Należy zwrócić uwagę na fakt, że w tamtym okresie nie udało się stworzyć sytemu bezpieczeństwa zbiorowego". On w gruncie rzeczy przywołał narrację Hitlera! Imperator Putin nie dopowiedział tego, co często podkreślał w innych sytuacjach – że traktat wersalski był zły, bo powstał bez udziału Rosji (a Moskwa nie zgodziłaby się na utworzenie suwerennych państw w Europie Środkowej). Świętej pamięci Lech Kaczyński w swoim przemówieniu na Westerplatte przypomniał wówczas Putinowi, że „porządek, który powstał w Europie po I wojnie światowej, tzw. porządek wersalski, to była pierwsza, choć jak się okazuje, nietrwała próba zbudowania pokoju na naszym kontynencie i na świecie. Traktat wersalski potwierdził niepodległość mojego kraju, ale warto przypomnieć, że nie tylko – Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy, Węgier, Czechosłowacji, w końcu w ramach królestwa SHS, a później Jugosławii, także Słowenii i Chorwacji. Ten traktat uznał zasadę niezależności narodów, uznał też w sposób jednoznaczny prawa mniejszości".

▶ Katyń i rozmowa na sopockim molo, a potem strzały do Prezydenta

Ale tamtego września 2009 roku na Westerplatte śp. Lech Kaczyński wielokrotnie wywoływał grymas wściekłości na twarzy Putina. Z dzisiejszej perspektywy porażają słowa Prezydenta o Katyniu. Słuchał ich człowiek, który stworzył w Czeczenii sieć obozów koncentracyjnych, w których mordował swoich przeciwników. Czy wówczas w jego głowie pojawiła się pierwsza myśl o zbrodni smoleńskiej? Z dzisiejszej perspektywy, gdy rośnie niekończąca się lista zbrodni tego podpułkownika KGB, odczytujemy ówczesne słowa Prezydenta w kontekście smoleńskiego dramatu, który miał wkrótce nastąpić. Zaznaczył on, iż „Katyń wymaga chwili refleksji. Wymaga jej nie ze względu na fakty, które w znacznym stopniu są dzisiaj znane, ale ze względu na przyczyny. Dlaczego na kilkadziesiąt tysięcy oficerów polskiej policji i polskiej armii, korpusu ochrony pogranicza wydano taki wyrok. To był efekt zemsty, tak, to miała być zemsta za rok 1920, za to, że Polska zdołała wtedy odeprzeć agresję". Prymitywna, knajacka zemsta zdeprawowanego umysłu. Maciej Łopiński opisał ostatnie swoje spotkanie z Prezydentem Kaczyńskim wieczorem 9 kwietnia 2010 roku: „Ostatni piątek, wieczór spędziliśmy wspólnie. [...] Powiedziałeś nam wtedy, że prawda o Katyniu jest fundamentem wolnej Rzeczpospolitej, tak jak katyńskie kłamstwo było fundamentem PRL". Tam, na Westerplatte, Prezydent przypomniał Putinowi, że fundamentem relacji z Moskwą musi być prawda: „My, Polacy, mamy prawo do dostępu do prawdy, dostępu do prawdy o sprawach dla naszego narodu tragicznych i z tego nigdy zrezygnować nie możemy".

Wówczas też na sopockim molo doszło do słynnej rozmowy w cztery oczy między Putinem i Tuskiem. Łą-

eprasa.pl 77ed129928

czyła ich nienawiść do prezydenta Kaczyńskiego. Rok wcześniej, w lutym 2008 roku, na Kremlu, Putin zaproponował Tuskowi wspólny rozbiór Ukrainy – taką informację przekazał Radosław Sikorski. Nie ma stenogramu z tego wydarzenia. Nie wiemy, jak się zachował wówczas premier Polski, ale – znając jego megalomanię – z pewnością uznał to za swego rodzaju dowód zaufania Putina do niego, nie rozumiejąc, że zostanie to wykorzystane później do gry przeciw Ukrainie. Marek Pyza analizując grę Rosji, która doprowadziła do rozdzielenia wyjazdu Tuska i Kaczyńskiego do Katynia, ułatwiając smoleński mord, przypomina notatkę Andrzeja Kremera, która powstała po wystąpieniu Kaczyńskiego na Westerplatte, podczas roboczych spotkań Tuska z Putinem: „Rozmowa Tuska z Putinem schodzi na 70. rocznicę zbrodni katyńskiej. Rosyjski przywódca, po mocnym przemówieniu Lecha Kaczyńskiego na Westerplatte, ewidentnie nie chce powtórki i od razu zapowiada, że przy ustalaniu formy upamiętnienia w Katyniu nie może powstać wrażenie, że »spycha się go do kąta« (żeby »skapitulował« przed Polakami). Tusk te słowa przyjmuje. Później znów jest miło. »Premier Putin wyraził wdzięczność Premierowi Tuskowi za jego osobiste zaangażowanie i zaangażowanie rządu przezeń kierowanego w polepszenie stosunków polsko-rosyjskich. Uznał, że „z tym rządem RP można pracować"« – czytamy w notatce. We wnioskach autor notatki Andrzej Kremer sugeruje, że należy dążyć do spotkania Tuska i Putina w Katyniu w kwietniu/maju 2010 roku. To pierwsza oficjalna wzmianka w dokumentach MSZ o ewentualnej wizycie w Rosji w tym czasie. Bardzo lakoniczna. Ale należy przypomnieć, że nie ma żadnej notatki ze słynnego spaceru i rozmowy Tuska z Putinem po sopockim molo 1 września 2009 roku".

Kilka miesięcy po tej rozmowie na molo, jesienią, 28 listopada 2009 roku, Kaczyński znów jedzie do Gruzji. Przekonuje się na własne oczy, jak Rosjanie łamią ustalenia pokojowe. W pobliżu obozu uchodźców, przy granicy obszaru okupowanego przez FR, kolumna samochodów z prezydentami Lechem Kaczyńskim i Micheilem Saakaszwilim zostanie ostrzelana z broni maszynowej.

Wizja Kaczyńskiego

Jest też znacząco większy sens misji w Tbilisi w 2008 roku i powód wściekłości Putina do Kaczyńskiego – to geopolityka. Rok przed Bitwą Warszawską ukazuje się jedna z najważniejszych na świecie prac o geopolityce. 1 lutego 1919 roku Halford John Mackinder publikuje „Demokratyczne ideały a rzeczywistość". W książce przedstawia sposób rozwiązania dylematu, który zapewni Europie bezpieczeństwo i uchroni ludzkość przed wybuchem nowej, globalnej wojny. Uważa, że należy w sposób ostateczny rozwiązać problem równowagi pomiędzy Niemcami i Rosją. Można to osiągnąć, jego zdaniem, wzmacniając potencjał i siłę państw obecnego Trójmorza, w tym Polski. Jak stwierdza: „Życiową koniecznością jest, aby pomiędzy Niemcami a Rosją znalazła się grupa niezależnych państw". Odrodzona RP miała stanowić „wierzchołek szerokiego, niepodległościowego klina". Na straży tej nowej równowagi bezpieczeństwa miała stać Liga Narodów z USA jako dominującym partnerem (nietrudno dostrzec, iż jest to zarys systemu bezpieczeństwa, który współcześnie, wsparty o Trójmorze, NATO i UE, ma blokować imperialne ambicje Rosji i Niemiec). Mackinder z mocą podkreślał, że tylko stworzenie w Europie Środkowo-Wschodniej grupy „prawdziwie niepodległych państw" stanowić będzie alternatywę wobec nowego piekła na ziemi – nowej globalnej wojny i niekończących się konfliktów między Rosją a Niemcami. Rozmawiał na ten temat z Józefem Piłsudskim, którego koncepcja federacji środkowoeuropejskiej była bardzo zbieżna z mechanizmem proponowanym przez brytyjskiego geopolityka. Publikacja, mimo iż szeroko dyskutowana, nie została poważnie potraktowana ani w Paryżu, ani w Londynie. Główną daninę krwi za drugą katastrofę zapłaciła Polska, a Europa została podzielona na dziesięciolecia. Rozpoczął ją w 1939 roku kolejny rozbiór Polski między Rosję i Niemcy.

Kaczyński był pierwszym polskim prezydentem wolnej Rzeczpospolitej od czasów Ignacego Mościckiego, który miał wizję Polski. Juliusz Mieroszewski na łamach paryskiej „Kultury już w 1953 roku ostrzegał: „Trzeba mieć wizję rozwiązania, do którego się zmierza. Politycy bez wizji nie są żadnymi realistami, a tylko nieodpowiednimi ludźmi nieodpowiednich stanowisk. Dobra polityka jest kompromisem między wizją a możliwościami. Jeżeli nie ma wizji, możliwości są niedostrzeżone i niewykorzystane". Kaczyński miał taką wizję podmiotowej, silnej Europy Środkowej, której sercem jest Polska, i konsekwentnie ją realizował. Uważał, że musimy wywalczyć pozycję w Unii „poważnego państwa". A będzie to możliwe, kiedy Polska stanie się liderem Europy Środkowej. Jak stwierdził w 2010 roku: „Prowadzimy zdecydowaną, energiczną politykę na Wschodzie, bo tam gromadzimy kapitał naszego znaczenia". Do listopada 2007 roku miał silne wsparcie ze strony rządu. Potem ekipa Tuska próbował ją zdemolować. Jak zauważył ze smutkiem, niedługo przed Smoleńskiem: „Moja polityka została niestety skasowana zręcznymi posunięciami Radka Sikorskiego tam, gdzie była w konflikcie z interesami Rosji".

eprasa.pl 77ed129928

▶ Kaczyński dostrzegał odradzające się zagrożenie ze strony Rosji

Prezydent często powtarzał: „W Polsce istnieją silne wpływy rosyjskie". Ale nie obawiał się im przeciwstawić. Putin nie pojawił się też nagle jako współczesny ruski szowinista, a właśnie szowinizm uznał Lech Kaczyński w swoim przemówieniu na Westerplatte za główny czynnik, który doprowadził do drugiej globalnej wojny. Na długo przed pojawieniem się Putina na szczytach władzy w Rosji Prezydent dostrzegał pierwsze objawy zmierzania FR w tę stronę.

W 1995 roku odbyła się w Moskwie konferencja, której hasłem przewodnim było pytanie: „Czy Rosja potrzebuje Hitlera"? Rosyjscy uczeni byli przerażeni kierunkiem ewolucji ich państwa. W 1996 roku Caspar Weinberger, były szef departamentu obrony USA w czasach prezydentury R. Reagana, i Peter Schweizer wydali książkę „Następna wojna światowa", która zawierała pięć scenariuszy globalnych konfliktów. Jednym z nich miała być wojna zapoczątkowana w 2006 roku przez Rosję, gdy do władzy w tym państwie dochodzi w 2000 roku gen. Aleksander Karaszczuk, który: „Obiecywał nie tylko stabilność wewnętrzną, lecz także odbudowę wspaniałego imperium z przeszłości". Ta wizja ziściła się w 1999 roku, gdy Jelcyn przekazał Putinowi władzę nad państwem do czasu wyborów w 2000 roku. Człowiek, który dysponował minimalnym poparciem społecznym, mniejszym niż 2 proc., w wyniku strategii zrealizowanej przez analityków FSB i część oligarchów wygrał wybory i przejął władzę nad atomowym imperium. Legenda antysowieckiej opozycji, rzecznik praw człowieka w jelcynowskiej Rosji, Siergiej Kowalow, w 2001 roku stwierdzał: „Naiwni zachodni dziennikarze pytają mnie często: »Co w tym jest złego, że Putin był w KGB? Przecież Bush senior zanim został prezydentem USA, w przeszłości stał na czele CIA«. Ja im odpowiadam: »Wyobraźcie sobie, że prezydentem Niemiec zostałby gestapowiec. Jak byście na to zareagowali?« [...] KGB było tak samo bandycką organizacją jak hitlerowska policja polityczna, a jej czekiści terroryzowali Rosję przez dziesiątki lat. Oni mają na swych rękach krew milionów ludzi różnych narodowości. Dlaczego o tym mówię? Bo jeśli taki zachodni dziennikarz spytałby się obecnego naszego prezydenta, co on sądzi o swej przeszłości, to usłyszy, że jest on dumny, iż nosił mundur KGB. On to co rusz powtarza. Putin to dość nikczemny podpułkowniczyna, który z tej racji nawet w tamtej epoce z pewnością nie zostałby generałem. Ale zespół, który go otacza, to są zimni, inteligentni gracze, którzy mają za sobą sowiecką szkołę służb specjalnych. To oni są autorami takich pojęć, jakie wypływają dziś z Kremla, jak choćby »dyktatura prawa« czy też »sterowanie demokracji«. To nie jest kpina, ale oficjalna ideologia, jaką promuje się w polityce. Najostrzejszym takim przykładem »sterowania demokracji« jest uczynienie z wojny »czynnika elektoralnego«. Mówiąc wprost – nie mielibyśmy podpułkownika KGB na Kremlu, gdyby nie czeczeńska jatka, i nie byłoby tej brudnej wojny, gdyby służby nie chciały go zrobić prezydentem. Dlatego te wybory traktuję jako narodową hańbę".

Dwa dni przed wyborami, 24 marca 2000 roku, Putin udzielił wywiadu Natalii Geworkian i Andiejowi Kolesnikowi. Dziennikarze zapytali go, czy nie boi się wyroku śmierci, jaki wydali na niego czeczeńscy bojownicy. Putin odpowiedział: „Takich gróźb nigdy nie wolno się bać. To tak jak z psem. Wiecie pewnie, że pies czuje, kiedy ktoś się go boi, i wtedy na pewno ugryzie. Tak i tutaj. Zaczniesz się miotać – poczują, że są najsilniejsi. Tu tylko jeden sposób może dać efekt – natarcie. Bij pierwszy, i tak, żeby przeciwnik już nie wstał".

▶ Zabić człowieka, to nie znaczy zabić jego słowa

To kwintesencja „putinizmu": „Bij pierwszy, i tak, żeby przeciwnik już nie wstał". Istnieje nadal pewna blokada psychologiczna wśród polityków Zachodu. Uważają, że jest pewna granica moralna, której Putin nie przekroczy. Po Smoleńsku my wiemy, że jej nie ma. Ten dramat miał miejsce zaledwie pół roku po ostrzelaniu kolumny Prezydenta w Gruzji. Zachód zbagatelizował agresję na Tbilisi. A to oznaczało, że Kreml bezkarnie nadal stopniowo budował potencjał lęku europejskich polityków do Moskwy – z jednej strony strumienie brudnych pieniędzy zachęcały do kolaboracji, z drugiej głośne, spektakularne mordy działały na wyobraźnię opornych.

Kaczyński do późnego wieczora 9 kwietnia 2010 roku pracował nad swoim wystąpieniem, które miał następnego dnia wygłosić w Katyniu. Te słowa miały paść nad ranem 10 kwietnia, na smoleńskiej ziemi: „To było 70 lat temu. Zabijano ich – wcześniej skrępowanych – strzałem w tył głowy. Tak, by krwi było mało. Później – ciągle z orłami na guzikach mundurów – kładziono w głębokich dołach. Tu, w Katyniu takich śmierci było cztery tysiące czterysta. W Katyniu, Charkowie, Twerze, w Kijowie, Chersoniu oraz w Mińsku – razem 21 768. Zamordowani to obywatele Polski, ludzie różnych wyznań i różnych zawodów; wojskowi, policjanci i cywile. Są wśród nich generałowie i zwykli policjanci, profesorowie i wiejscy nauczyciele. Są wojskowi kapelani różnych wyznań: kapłani katoliccy, naczelny rabin WP, naczelny kapelan greckokatolicki i naczelny kapelan prawosławny. Wszystkie te zbrodnie – popełnione w kilku miejscach – nazywamy symbolicznie Zbrodnią Katyńską. Łączy je obywatelstwo ofiar i ta sama decyzja tych samych sprawców. Zbrodni dokonano z woli Stalina, na

eprasa.pl 77ed129928

rozkaz najwyższych władz Związku Sowieckiego: Biura Politycznego WKP(b). Decyzja zapada 5 marca 1940, na wniosek Ławrentija Berii: rozstrzelać! W uzasadnieniu wniosku czytamy: to »zatwardziali, nie rokujący poprawy wrogowie władzy sowieckiej«. Tych ludzi zgładzono bez procesów i wyroków. Zostali zamordowani z pogwałceniem praw i konwencji cywilizowanego świata. Czym jest śmierć dziesiątków tysięcy osób – obywateli Rzeczpospolitej – bez sądu? Jeśli to nie jest ludobójstwo, to co nim jest? [...] Źródłem zbrodni jest... pakt Ribbentrop–Mołotow, prowadzący do czwartego rozbioru Polski. Są nim imperialne, szowinistyczne zamiary Stalina. Zbrodnia Katyńska jest – pisał o tym wyłączony w ostatniej chwili z transportu śmierci prof. Stanisław Swianiewicz – częścią »akcji [...] oczyszczenia przedpoli potrzebnych dla dalszej ekspansji imperializmu sowieckiego«. Jest kluczowym elementem planu zniszczenia wolnej Polski: państwa stojącego – od roku 1920 – na drodze podboju Europy przez komunistyczne imperium. [...] Te doły śmierci mają być także grobem Polski, niepodległej Rzeczpospolitej. W czerwcu roku 1941 Niemcy uderzają na ZSRS: sojusznicy z sierpnia 1939 stają się śmiertelnymi wrogami. ZSRS zostaje członkiem koalicji antyhitlerowskiej. Rząd w Moskwie przywraca – na mocy układu z 30 lipca 1941 – stosunki z Polską. Stalin zasiada u boku Roosevelta i Churchilla w wielkiej trójce. Miliony żołnierzy Armii Czerwonej – Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Gruzinów, Ormian i Azerów, mieszkańców Azji Środkowej – oddają życie w walce z Niemcami Hitlera. W tej samej walce giną też Amerykanie, Brytyjczycy, Polacy, żołnierze innych narodów. Przypomnijmy: to my, Polacy, jako pierwsi zbrojnie przeciwstawiliśmy się armii Hitlera. To my walczyliśmy z nazistowskimi Niemcami od początku do końca wojny. Pod jej koniec nasi żołnierze tworzą czwartą co do liczebności armię antyhitlerowskiej koalicji.

Polacy walczą i giną na wszystkich frontach. [...] Są wśród nich bracia i dzieci ofiar Katynia. W bombowcu Polskich Sił Zbrojnych nad III Rzeszą ginie 26-letni Aleksander Fedorońko, najstarszy z synów zamordowanego w Katyniu Szymona Fedoroński – naczelnego kapelana wyznania prawosławnego Wojska Polskiego. Najmłodszy syn, 22-letni Orest, poległ – w szeregach Armii Krajowej – w pierwszym dniu Powstania Warszawskiego. Jego 24-letni brat Wiaczesław walczący w Zgrupowaniu AK »Gurt« ginie 17 dni później. W maju 1945 roku III Rzesza przegrywa wojnę. Nazistowski totalitaryzm upada".

▶ Kłamstwo katyńskie

Ta mowa, mimo że nie została wygłoszona, jest najważniejszą w historii III RP. Stanowi jej fundament, a zarazem spoiwo. Kaczyński w Katyniu chciał przypomnieć, że to zwycięstwo w II wojnie światowej dla Polaków było „gorzkie, niepełne. Trafiamy w strefę wpływów Stalina i totalitarnego komunizmu. Po roku 1945 Polska istnieje, ale bez niepodległości. Z narzuconym ustrojem. Próbuje się też zafałszować naszą pamięć o polskiej historii i polskiej tożsamości. Ważną częścią tej próby fałszerstwa było kłamstwo katyńskie. Historycy nazywają je wręcz kłamstwem założycielskim PRL. Obowiązuje od roku 1943. To w związku z nim Stalin zrywa stosunki z polskim rządem. Świat miał się nigdy nie dowiedzieć. Rodzinom ofiar odebrano prawo do publicznej żałoby, do opłakania i godnego upamiętnienia najbliższych. Po stronie kłamstwa stoi potęga totalitarnego imperium, stoi aparat władzy polskich komunistów. Ludzie mówiący prawdę o Katyniu płacą za to wysoką cenę. Także uczniowie. W roku 1949 za wykrzyczaną na lekcji prawdę o Katyniu dwudziestoletni uczeń z Chełma Józef Bałka wyrokiem wojskowego sądu trafia na trzy lata do więzienia. [...] Są jednak także »nieugięci ludzie« i – po czterech dekadach – totalitarny Goliat zostaje pokonany. Prawda – ta ostateczna broń przeciw przemocy – zwycięża. Tak jak kłamstwo katyńskie było fundamentem PRL, tak prawda o Katyniu jest fundamentem wolnej Rzeczpospolitej. [...] Katyń i kłamstwo katyńskie stały się bolesną raną polskiej historii, ale także na długie dziesięciolecia zatruły relacje między Polakami i Rosjanami. Nie da się budować trwałych relacji na kłamstwie. Kłamstwo dzieli ludzi i narody. Przynosi nienawiść i złość. Dlatego potrzeba nam prawdy. Racje nie są rozłożone równo, rację mają ci, którzy walczą o wolność. My, chrześcijanie, wiemy o tym dobrze: prawda, nawet najboleśniejsza, wyzwala. Łączy. Przynosi sprawiedliwość. Pokazuje drogę do pojednania. Sprawmy, by katyńska rana mogła się wreszcie zagoić i zabliźnić. Jednak prawda potrzebuje nie tylko słów, ale i konkretów. Trzeba ujawnienia wszystkich dokumentów dotyczących zbrodni katyńskiej. Okoliczności tej zbrodni muszą zostać do końca zbadane i wyjaśnione. [...] Ważne jest, by została potwierdzona prawnie niewinność ofiar, by kłamstwo katyńskie zniknęło na zawsze z przestrzeni publicznej. [...] Tragedia Katynia i walka z kłamstwem katyńskim to doświadczenie ważne dla kolejnych pokoleń Polaków. To część naszej historii. Naszej pamięci i naszej tożsamości. To jednak także część historii całej Europy, świata. To przesłanie dotyczące każdego człowieka i wszystkich narodów. Dotyczące i przeszłości, i przyszłości ludzkiej cywilizacji. Zbrodnia Katyńska już zawsze będzie przypominać o groźbie zniewolenia i zniszczenia ludzi i narodów. O sile kłamstwa. Będzie jednak także świadectwem tego, że ludzie i narody po-

eprasa.pl 77ed129928

trafią – nawet w czasach najtrudniejszych – wybrać wolność i obronić prawdę".

10 kwietnia 2010 roku Putin zabił człowieka, który miał przekazać te słowa Polakom, Rosjanom i światu, ale nie zabił samych słów, nie zabił prawdy i ludzkich sumień. Wzmocnił ich siłę. Było to przesłanie pojednania w prawdzie. A Putin do kłamstwa katyńskiego dołożył kłamstwo smoleńskie.

▶ Mieszanka stalinowsko-hitlerowsko-putinowska

Cztery lata później, po zabiciu elity polskiej w Smoleńsku, po najechaniu Ukrainy i aneksji Krymu, przemawiając 18 marca 2014 roku na Kremlu, Putin powiedział: „Chcemy przyjaźni z Ukrainą, chcemy, aby była ona silnym, suwerennym, samowystarczalnym państwem. Przecież Ukraina jest dla nas jednym z wiodących partnerów, mamy wiele wspólnych projektów i mimo wszystko wierzę w ich sukces. A co najważniejsze: chcemy, aby na ziemi ukraińskiej zapanowały pokój i harmonia". Osiem lat później, 18 lutego 2022 roku, wstrząsające informacje ujawnia magazyn „Foreign Policy". Według Amy Mackinnon, Robbie Gramer i Jack Detsch, rosyjskie FSB i GRU opracowały listę ukraińskich wrogów FR, którzy mają być schwytani, uwięzieni lub wymordowani w pierwszej fazie wojny. Rosja sięgnęła do metod wypracowanych przez służby III Rzeszy. Listy przypominają nam Sonderfahndungsbuch Polen, czyli „Specjalną księgę Polaków ściganych listem gończym" – zwaną także listą „wrogów Rzeszy", która zawierała spis ponad 61 tys. nazwisk Polaków najbardziej zasłużonych dla RP, przeznaczonych do likwidacji. W ramach operacji Tannenberg miano dokonać, jeszcze w ramach działań wojennych, ludobójstwa polskich elit. W sumie wymordowano od 1 września do 25 października 1939 roku 20 tys. Polaków w 760 zbiorowych egzekucjach. Lista, na polecenie Reinharda Heydricha, została opracowana przez kontrwywiad służby bezpieczeństwa SS tzw. Sicherheitsdienst w Berlinie, we współpracy z niemiecką mniejszością zamieszkałą na terenie Polski. Lista została wydrukowana w formie książki w lipcu 1939 roku w Berlinie przez centralę policji bezpieczeństwa i SD. Podczas I wojny w Czeczenii rosyjskie służby stworzyły sieć obozów koncentracyjnych – w slangu rosyjskich służb były to tzw. obozy filtracyjne, i nawiązywały do specjalnych „obozów kontrolno-filtracyjnych NKWD", powołanych w ZSRS w okresie wojny 1941–1945, obok funkcjonującej sieci Archipelagu GUŁag. W II wojnie czeczeńskiej, która była pierwszym konfliktem Putina, ten były podpułkownik KGB sam nadzorował tworzenie sieci takich katowni. Według informacji ujawnionych przez „Foreign Policy", przygotowane listy obejmują wszystkie osoby, które rosyjskie służby uznały za niebezpieczne dla Kremla. Uwzględniają one także Białorusinów, którzy uciekli przed Łukaszenką, i Rosjan, którzy schronili się przed Putinem na Ukrainie. Wysoce prawdopodobne, iż objęły one także aktywistów ukraińskiej Polonii. Opada maska, ukazując kremlowską barbarię – rodzaj mieszanki stalinowsko-hitlerowsko-putinowskiej.

▶ Katyń, Gruzja, Smoleńsk, Ukraina

Kaczyński pierwszy udowodnił zdolność do oporu Europy Środkowej, która dziś ma wartość fundamentalną i zadecyduje o naszym istnieniu przez następne dekady. Uderzył w główny instrument, jakim posługuje się Putin – strach Zachodu przed wojną. Stworzył wizję, którą skutecznie realizują prezydent Andrzej Duda i rząd Zjednoczonej Prawicy – Trójmorze, jako projekt Europy Środkowej. Łączy go determinacja obrony przed Rosją. Jest on też otwarty dla Ukrainy. Dziesięć lat po smoleńskiej zbrodni i 80 lat po katyńskiej, prezydent Andrzej Duda zaczął swoją przełomową wizytę na Ukrainie w 2022 roku, gdy ogłoszono strategiczny sojusz Warszawy i Kijowa, od złożenia wieńca w miejscu, w którym spoczywa ukraińska narodowa elita, w Bykowni. Dla Ukraińców to zbiorowa mogiła ponad 120 tys. ofiar stalinowskich zbrodni. Ukraiński Katyń. W Bykowni spoczywa też ponad 1700 Polaków z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej. Oba państwa potępiły zbrodnie stalinowskie, a jednak sprawców tych dwóch wielkich mordów nigdy nie skazano, choć wielu z nich przeżyło Związek Sowiecki.

Zeznania dwóch z nich zostały utrwalone na taśmie wideo w 1990 roku – Piotra Soprunienki (zm. 1992) i Dymitrija Tokariewa (zm. 1993). Ten drugi tak wspomina owe wydarzenia z 1940 roku (obejmują mord Polaków z obozu w Ostaszkowie). Podkreśla, iż wykonawcy wyroków przywieźli ze sobą pełną walizkę niemieckich rewolwerów typu Walter 2. „Uważano, że na naszych radzieckich tetetkach nie można polegać. Przegrzewały się przy częstym użyciu. [...] Byłem tam pierwszej nocy, kiedy przeprowadzano egzekucje. Najaktywniejszym zabójcą był Błochin, któremu pomagało około trzydziestu innych, z czego większość to kierowcy i wartownicy. Przykładowo mój kierowca, Suchariew, był jednym z nich. Pamiętam, jak Błochin powiedział: »Zabieramy się do dzieła«. A potem przebrał się w specjalne ubranie przewidziane do tej pracy: brązową skórzaną czapkę, brązowy skórzany fartuch i długie, brązowe skórza-

eprasa.pl 77ed129928

ne rękawice, sięgające ponad łokcie. [...] Zabierali Polaków pojedynczo, jednego po drugim, i prowadzili korytarzem do Krasnoj komnaty, świetlicy pracowników więzienia. Każdego mężczyznę pytano o nazwisko, imię i miejsce urodzenia – co wystarczało, żeby ich identyfikować. Potem więzień był kierowany do sąsiedniego dźwiękoszczelnego pokoju, gdzie strzelano mu w tył głowy. Niczego przy tym nie mówiono. [...] Pierwszej nocy rozstrzelano trzysta osób. Pamiętam, jak Suchariew, mój kierowca, przechwalał się ciężką pracą wykonaną w nocy. Więźniów było jednak zbyt wielu, więc uporano się z nimi dopiero po wschodzie słońca, a przyjęto zasadę, że wszystko musi odbywać się w ciemności. Dlatego postanowiono zmniejszyć liczbę rozstrzeliwanych każdej nocy do dwustu pięćdziesięciu. Jak wiele nocy to trwało? Oblicz sam: sześć tysięcy mężczyzn, dwustu pięćdziesięciu jednej nocy. Odliczając dni wolne od pracy, zabrało to około miesiąca, prawie cały kwiecień 1940 roku". Zapis tej rozmowy zamieścił David Remnick, amerykański korespondent „The Washington Post" w Rosji, w swojej książce „Grobowiec Lenina", wydanej w 1993 roku. W 1994 roku w „Zeszytach Katyńskich" nr 3 ukazał się przetłumaczony na polski zapis przesłuchania Tokariewa z 1990 roku.

Kłamstwo katyńskie przetrwało PRL. Dopiero w 1992 roku Jelcyn przekazał Polsce dokument z podpisami Stalina, Woroszyłowa, Mołotowa i Mikojana. Na marginesie dopisane: „Kalinin – za, Kaganowicz – za". To był wyrok śmierci na polską elitę – data: 5 marca 1940 roku. Stalin zmarł 13 lat później, a Woroszyłow przeżył mord katyński o 29 lat. 2 grudnia 1969 roku spoczął przy ścianie Kremla, na placu Czerwonym w Moskwie. W jego pogrzebie uczestniczyła delegacja komunistycznej Polski – w wojskowych mundurach – na czele z PRL-owskim marszałkiem Marianem Spychalskim. Oddali honory mordercy Polaków. Mołotow zmarł 46 lat po podpisaniu zbrodni katyńskiej, zaledwie 4 lata przed upadkiem sowieckiego imperium. Mikojan dożył 1978 roku. Kalinin zmarł z nich najwcześniej – już w 1946 roku, sześć lat po udziale w ludobójstwie polskich elit. Stalin, z tym rodzajem szatańskiej ironii, nazwał jego imieniem region sowieckiego państwa graniczący z Polską. Aby trwale jednego z morderców umieścić w geograficznym kontekście Polski. Najdłużej z nich żył Kaganowicz – zmarł 25 lipca 1991 roku – pół roku przed upadkiem zbrodniczego imperium.

Jerzy Pomianowski podkreśla: „To nie Polacy, ale sami sprawcy tej masakry musieli uznać ją za przypadek najbardziej kompromitujący, skoro zalakowana koperta z podstawowymi dowodami nosiła w kremlowskim archiwum numer ewidencyjny »1« i przekazywana była sukcesywnie w ręce pierwszych sekretarzy KPZR". Pomianowski dodaje: „Prawdziwą i wciąż przerażającą osobliwością sprawy katyńskiej jest to, że żadna inna nie była tak długo i starannie ukrywana i zakłamywana". Współczesna Rosja też stoi na fundamencie zbrodni i kłamstwa. Czy istnieje teczka Smoleńsk z podpisem Putina?

Smoleńsk i projekt Trójmorza

Prezydent zaczął tworzyć projekt Trójmorza. Po jego zabiciu Putin sądził, że zdemolował i zastraszył przywódców Europy Środkowej. A jednak projekt odżył i dostał amerykańskie wsparcie. Wywołało to przerażenie w Moskwie. Klub Izborski, blisko zbliżony do Kremla, opracował już na początku 2016 roku raport, w którym ostrzegał, że inicjatywa Trójmorza jest wyjątkowo niebezpieczna dla imperialnych celów Rosji. Bo jest próbą zbudowania sojuszu grupy państw odcinających Rosję od Niemiec i Zachodu. Zdaniem autorów raportu, państwa Europy Wschodniej, na czele z Polską, tworzą unię polityczno-wojskową, której zadaniem jest zniszczenie „rosyjskiego świata". Cel maksymalny to doprowadzenie do rozpadu Federacji Rosyjskiej wzdłuż granic etnicznych lub wzdłuż linii okręgów federalnych. Autorzy opracowania postulowali, iż Rosja musi zrobić wszystko, co w jej mocy, aby zniszczyć projekt Trójmorza. Uważali, iż jeśli nie zostanie to dokonane, to spowoduje on coraz silniejsze przyciąganie do owej inicjatywy Ukrainy, a także Białorusi. Prawdziwą histerię w Moskwie wywołał kolejny szczyt Międzymorza w Warszawie w lipcu 2017 roku i udział w nim prezydenta USA Donalda Trumpa. To nadało projektowi od razu wymiar inicjatywy geostrategicznej, a zapowiedź energetycznego, technologicznego i militarnego wsparcia dla Trójmorza ze strony Stanów Zjednoczonych pokazywała, iż Waszyngton gotów jest mu patronować i wpisuje go jako element swej globalnej strategii. Wywołało to serię bardzo agresywnych działań ze strony Rosji.

Zabicie Prezydenta Lecha Kaczyńskiego nie powstrzymało projektu Trójmorza i realizacji wizji Mackindera–Piłsudskiego. Nie powstrzyma go też ultimatum Putina, którym chce zastraszyć świat. Jest gotów wywołać największą wojnę w Europie od 1945 roku, aby zrównać z ziemią Ukrainę i z tysięcy trupów wybudować mur między barbarią a wolnym światem. Dlatego tak ważne jest przesłanie śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego: „Nie wolno ustępować imperializmowi ani nawet skłonnościom neoimperialnym". ■

eprasa.pl 77ed129928

Polska ma broń, która może zniszczyć Rosję

Piotr Lisiewicz





To nie żart, nie metafora ani nie znany z portali internetowych „klikbajt", czyli widowiskowe przyciąganie uwagi. Jakim cudem Polska zdobyła taką broń? Armia w podbojach Rosji nigdy nie miała większego znaczenia, prawie zawsze była przestarzała. Ponad 90 proc. siły Rosji to dezinformacja, agentura i rozwalanie podbijanego państwa od środka. Polscy sowietolodzy, rosjoznawcy i pisarze włożyli gigantyczny wysiłek w jej rozpracowanie. Ich determinacja wynikała z faktu, że reprezentowali naród podbity, a cywilizacyjnie stojący wyżej od okupanta. Dziś mało kto w Polsce zna ich dorobek. Bronią, która może unicestwić Rosję, jest rozpowszechnienie wśród zwykłych Polaków i obywateli innych zagrożonych państw wiedzy o jej metodach. Wtedy ponad 90 proc. siły Rosji znika. Nie przesadzam ani odrobinę.

eprasa.pl 77ed129928



FOT. WIKIPEDIA

Na początek, drogi Czytelniku, odrzuć przekonanie, że jako Polak wszystko o metodach Rosji wiesz. Bardzo możliwe, że Twoja wiedza to mieszanka prawdy, przenoszonej z pokolenia na pokolenie, z rosyjską dezinformacją udającą polską prawdę. Ale skoro jesteś Polakiem, to i tak prawdopodobnie rozumiesz z kłamstw Rosji więcej niż mieszkańcy państw zachodnich. No to zaczynamy.

Przestarzała armia, czyli tradycyjny rosyjski straszak

Cyklicznie, co kilka miesięcy, Rosja ogłasza, że oto ma nową, przerażająco śmiercionośną broń. Zawsze w sposób widowiskowy, wystrzeliwując w powietrze jakąś robiącą dużo huku rakietę. Głosy nielicznych ekspertów, że to taka sama rakieta co rok i trzy lata wcześniej, z tym że inaczej nazwana lub nieznacznie przerobiona, nikną w informacyjnym szumie. Dotrze do nich może jeden na stu z oglądających widowiskowy wybuch. Rosja–zabijanie–wojna–armia–strach... Taka zbitka w naturalny sposób pojawia się w głowach zdecydowanej większości widzów. Takie ma być skojarzenie wynikające z historii. Choć nie ma ono nic wspólnego z prawdą. A przemnożone przez miliony odbiorców mediów jest dla Moskwy jak wygrana kluczowa bitwa.

W polskim arsenale mogącym unicestwić Rosję jedną z najgroźniejszych broni, na miarę głowic atomowych, jest artykuł Włodzimierza Bączkowskiego „Uwagi o istocie siły rosyjskiej". To być może najważniejszy tekst w polskiej publicystyce politycznej (jest dostępny w Internecie). Autor to przedwojenny piłsudczyk i powojenny emigrant, zatrudniony, przynajmniej oficjalnie, w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych. Urodził się w 1905 roku na Syberii, zmarł w 2000 roku w Waszyngtonie mając 95 lat.

Bączkowski opisuje tysiąc lat historii Rosji. I dochodzi do wniosku, że przez całe tysiąclecie tej historii rosyjska armia występuje w niej „w świetle bladym, jako coś marginesowego, co będąc zawsze słabe, jednocześnie umie zwyciężać dzięki wspaniale układającym się okolicznościom ubocznym, przy których na czołowe miejsce wysuwa się czynnik uchwycenia odpowiedniego momentu oraz świadomego tworzenia dogodnego dla siebie układu stosunków. Stajemy w ten sposób przed zjawiskiem siły rosyjskiej, leżącej gdzieś poza formalną siłą militarną".

Cóż to za siła? Bączkowski w udokumentowany sposób dowodzi, że analizując wszystkie wojny zaborcze Rosji, „przekonamy się, że Moskwa z reguły podbijała narody bądź znajdujące się w stanie kompletnego upadku, bądź też nie stawiające większego oporu". Często zaś zatrzymywały Rosję narody nieporównywal-

eprasa.pl/?ed129928

nie od niej mniejsze: „Jednocześnie momentem najbardziej zastanawiającym jest fakt, że najmniejszy opór na długo zatrzymywał zwycięski podbojowy pochód Rosji, a najmniejszy, lecz prężny i zdrowy moralnie ośrodek państwowo-narodowy umiał trzymać w szachu o wiele potężniejszą Moskwę".

Cholerna Polska z 1920 roku, czyli błąd w rosyjskiej strategii

Z analizy Bączkowskiego, którą powinien znać każdy myślący Polak, wybierzmy kilka przykładów, zarówno dla nas egzotycznych, jak i teoretycznie nam znanych, lecz nieosadzonych w naszych głowach jako element logicznej układanki. Bączkowski opisuje, jak „mikroskopijny Krym przez półtora, dwa stulecia w wiekach od XIV do XVII zagrażał państwu 10-krotnie większemu pod względem ludności i 20-, 30-krotnie większemu terytorialnie". Jak na Kaukazie Północnym „150–200 tys. armia wielkiego mocarstwa walczyła [...] z 8–10 tys. górali, nieposiadającymi za sobą ani silnych węzłów jedności narodowej, ani wspólnej organizacji państwowej. Opór górali trwał jednak przez 25 lat, sprawiając Rosji nie lada kłopot".

No i – jesteśmy w domu – rozbiory Polski: „Ten podbój nie miał nic wspólnego z rozgrywką militarną – rozstrzygająca była tu na szeroką skalę zakrojona dywersja oraz rozkład sfer rządzących Polski. Zdobyte z archiwum Igielstroma przez powstańców kościuszkowskich kwity rosyjskich agentów-dygnitarzy, przedstawicieli arystokracji i sfer sejmowych ówczesnej Polski odsłaniają bezmiar upadku moralnego ówczesnej elity polskiej oraz wspaniale przeprowadzoną i szeroko zakrojoną akcję rosyjskich ambasadorów w Warszawie. Około 110 nazwisk, a wśród nich nazwisko króla, ks. Czartoryskiego, prymasa Łubieńskiego, Ogińskiego, ks. Antoniego Czetwertyńskiego, wojewody Dzierżbickiego, biskupa Kossakowskiego, Raczyńskiego, Radziwiłła, Potockich, prymasa Poniatowskiego, kasztelana Ossolińskiego itd., widnieje na kwitach z archiwum ambasady rosyjskiej. Do liczby 110 nazwisk dołączyć tu należy całą plejadę niższych funkcjonariuszy policji i urzędów administracji ogólnej, które były na służbie rosyjskiej, pobierając regularne miesięczne pobory przez długie lata".

Dodajmy jeszcze jeden, szczególnie smakowity w dzisiejszych czasach przykład: Francja z początków XX wieku. Gdy po rewolucji październikowej bolszewicy postanowili skompromitować carat, ujawnili, jak rezydujący w Paryżu rosyjski agent finansowy, Raffałowicz, pisał w 1904 roku: „W ciągu pierwszych miesięcy potworna sprzedajność prasy francuskiej pochłonie sumę 600 000 franków". Jak czytamy, z zestawień rosyjskiego ministerstwa finansów z 1906 roku, subwencje dla prasy francuskiej pochłonęły w jednym tylko 1905 roku ponad 2 miliony franków.

Racjonalny ludobójca

Rosja zawsze działa wyłącznie racjonalnie, ale bywa, że jej przewidywania co do skuteczności własnych działań okazują się błędne. Bączkowski cytuje rosyjskie oceny przyczyny porażki w wojnie z Polską w 1920 roku. Oto Borys Szaposznikow, późniejszy Marszałek Związku Sowieckiego, pisząc o 1920 roku, za porażkę nie winił ani złego wyszkolenia czerwonoarmistów, ani słabego uzbrojenia. Stwierdzał: „Przeceniliśmy zrewolucjonizowanie wewnętrznej sytuacji w Polsce w tym okresie. Ta przesada w ocenie sytuacji w Polsce znalazła swój wyraz w nadmiernej, tzn. nie uzgodnionej z naszymi możliwościami, ofensywnej operacji". Jak podkreśla Bączkowski, podobnie przyczyny porażki oceniał Lew Trocki. A więc stan armii „to jest sprawa drugorzędna, sedno sprawy tkwi gdzie indziej – w tym, co wojnę powinno poprzedzać i jej wynik określać z góry, nieomal w 100 proc.".

Profesor Marian Zdziechowski, historyk idei i przedwojenny rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, pisał z polskiej perspektywy o tym samym: „Strategia Czyngischana polegała na tym, że miał on swoją podstawę operacyjną nie za sobą, lecz przed sobą: brzmi to paradoksalnie, ale rozumieć to trzeba tak, że zanim nastąpić miał najazd, umiejętna propaganda musiała przygotować w upatrzonym na zdobycie kraju wszystkie drogi i ścieżki, korzystając ze wszystkich w nim niedomagań politycznych i społecznych, wszelkich wewnętrznych niesnasek, podjudzając jednych przeciw drugim, przekupując tych, obiecując tamtym i w ten sposób osłabiając, niszcząc odporność moralną ludności; gdy oznaki rozkładu były już widoczne, następował najazd, a podbite i zajęte obszary stawały się źródłem nie utrudnień, lecz przypływu nowych zasobów, nowych środków do powiększania armii. Tejże zasady trzymały się Sowiety w r. 1920, ale się przerachowano tam co do chwili. Nadłamana była przez propagandę moralna moc narodu, lecz jeszcze niezłamana, gdy najechali"

Rosyjski przywódca to świr, czyli klasyka propagandy Moskwy

Metody Rosji zapewniające jej podboje wyżej stojących cywilizacyjnie narodów nie zmieniły się do 2022 roku ani o jotę. Jedyne, co Moskwa zmienia, to dostosowuje owe metody do nowych narzędzi i technologii. Narzędzia te często otwierają przed nią nowe możliwości dezinformacji na ogromną skalę. Tak było z telewizją i tak jest z Internetem.

eprasa.pl 77ed129928

Uprzedzając dalszy wywód: zbrodni smoleńskiej nie byłoby, gdyby Polska nie była „w stanie kompletnego upadku", czyli agentura Moskwy i jej poputczików nie zdominowałaby niemal wszystkich ośrodków opiniotwórczych w III RP. Bo ostra reakcja Polski na międzynarodowej scenie powodowałaby, że zbrodnia nie byłaby dla Rosji opłacalna. Zapewne nie byłoby jej też, gdyby żył Jan Paweł II, a także gdyby w Waszyngtonie rządził Bush junior albo Trump, a nie Obama, czyli gdyby nie było „wspaniale układających się okoliczności ubocznych".

I jeszcze jedna ważna uwaga przed ciągiem dalszym: jeśli czytamy, że rosyjski przywódca to niebezpieczny bandyta, który może się zdenerwować i nas zaatakować, bo jest nieobliczalny, więc lepiej go ugłaskiwać, to jest to niemal zawsze rosyjska dezinformacja. Rosyjscy przywódcy są do bólu racjonalni, obliczalni. Jest to racjonalność zbrodniarza, ludobójcy, ale mordującego TYLKO wtedy, gdy mu się to opłaca. Jeśli z tej racjonalności ludobójcy wynika, że Rosji opłaca się wysadzić budynki z mieszkającymi w nich Rosjanami, uczyni to. Bez problemu to samo zrobi ze szkołą pełną dzieci. To, co ludziom Zachodu nie mieści się w głowach, to dla Rosji bułka z masłem.

▶ Najgorsze wyjście, czyli udawanie przyjaźni z oprawcami

Polscy znawcy Rosji wiedzieli o tym świetnie. Jerzy Niezbrzycki, używający jako publicysta pseudonimu Ryszard Wraga, przedwojenny oficer polskiego wywiadu wojskowego, kierownik Referatu „Wschód" Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego (1902–1968), po wojnie również był konsultantem w Bibliotece Kongresu USA, oprócz tego pracownikiem naukowym w czołowym amerykańskim ośrodku badań sowietologicznych, Instytucie Hoovera oraz – oficjalnie – ekspertem CIA od spraw sowieckich.

O tym, że Zachód nie jest w stanie uwierzyć, jakie metody stosuje Moskwa, pisał: „tragedią polityki Zachodu jest to, że wszyscy ludzie wychowani w jego kulturze i zasadach nie są zdolni do oceny jakichkolwiek zjawisk inaczej jak poprzez pryzmat tych właśnie »zachodnich« zasad. Nie mieści się im w głowie, by cynizm, nadużywanie środków, pogarda dla człowieka, amoralność i egocentryzm mogły tak dominować w życiu państwa i społeczeństwa, że nie można już dawać wiary żadnemu słowu". Niezrozumienie bolszewizmu przez Zachód i próby dogadywania się z nim, mają skutki tragiczne: „Zachód idąc na kompromisy, okazując zainteresowanie pokojowymi ofertami »sprzymierza się« z bolszewizmem przeciwko milionom ujarzmionych przez niego narodów".

Profesor Marian Zdziechowski tak opisywał w książce „Od Petersburga Lenigrada" skutki owych kompromisów: „Przyjaźniąc się z katami i oprawcami, stwarzamy atmosferę psychiczną, w której walka z propagandą ich staje się bardzo trudna. Propaganda sowiecka szerzyć się będzie coraz szybciej. I wraz z nią rozkład moralny coraz szersze koła zataczać będzie". I tylko o to chodzi Rosji. Jak stwierdzał, Moskwa wyciągnęła wnioski z 1920 roku, projektując kolejne agresje: „Gęsta zasłona utkana z nieświadomych złudzeń i celowego fałszu, z naiwnej niewiedzy i bezcelowego kłamstwa zakrywa Rosję sowiecką przed wzrokiem człowieka Zachodu. Sowiety korzystają z tego i z niewzruszoną, bo na mocnych podstawach opartą wiarą w zwycięstwo, szybko i umiejętnie przygotowują przyszłą ofensywę. Ale nauczone doświadczeniem z 1920 roku nie rozpoczną jej, dopóki nie będą miały pewności, że rozbrojenie psychiczne Europy stało się faktem dokonanym. Drogą do tego rozbrojenia psychicznego jest propaganda, której wszystkie nici we wszystkich krajach schodzą się w sowieckich poselstwach i agencjach handlowych".

Ludwik Mierosławski, XIX-wieczny polski generał i pisarz, pisał o tym rozkładzie: „Najwyraźniejszym objawem przewagi Rosji jest nieustanne przesiąkanie jej niszczącej myśli do dziedzin najbardziej niechętnych jej panowaniu i do ludów najbardziej podrażnionych, najbardziej czujnych na jej najście".

Zaś tam, gdzie myśl nie ma szans, pojawia się już tylko nagie kłamstwo. Jak pisał Zdziechowski: „Nie wolno przeto w rozmowach czy układach z Sowietami stosować do nich tę samą miarę, jaką stosujemy do innych państw. Mam prawo tych panów – powiedział Arcybaszew – uważać za dzikie zwierzęta, które należy wytępiać, ale czynów ich sądzić ze stanowiska prawa moralnego nie mogę, jak nie mogę ze stanowiska tego sądzić tygrysa lub żmiję. Wszystko na świecie – słowa tegoż pisarza – ma granice swoje: jedno granic nie ma – podłość człowieka. Podłość ta jest podstawą potęgi Sowietów. Rosję okrucieństwem doprowadzili do upodlenia; podłość Europy hipnotyzują siłą pozorną czy rzeczywistą".

▶ Strach i psychoanaliza, czyli Zachód, jakiego chce Putin

Jedyna metoda skutecznej walki z Rosją to twardy opór i brak strachu. Wtedy Moskwa przegrywa, bo ponad 90 proc. jej siły znika. Herminia Naglerowa (1890–1957), wybitna polska pisarka, więzień łagrów, pisała o tym znakomite powieści i opowiadanie, rzadko zajmując się publicystyką. Ale jej artykuł o metodach Rosji opublikowany w emigracyjnych londyńskich „Wiadomościach" wręcz poraża aktualnością: „Sowiety wie-

eprasa.pl 77ed129928

dzą, że sianie postrachu jest także na Zachodzie skutecznym przenikaniem psychicznym. [...] zanim człowiek Zachodu, wysłuchawszy relacji i zobaczywszy na własne oczy ofiary systemu, zdoła ocknąć się do czynnej obrony przed nadciągającą grozą, trzeba żeby strach obezwładnił go na długo i zdeprawował na zawsze".

Jak zauważała, Moskwa wcale nie wymagała od ludzi Zachodu zaakceptowania komunizmu. Wystarczy jej osłabienie jego siły: „Dla owładnięcia Zachodem przydatniejsza jest zachodnia zawiłość duchowa, odchylenia, zboczenia, wybujałości, urazowe zastoiny rozgrzebywane przy pomocy psychoanalizy. W zrozumieniu sowieckim ta nie ujęta w karby psychika jest chłonną i podatną materią, którą można dowolnie formować i osiągać z góry zamierzone reakcje".

Niezbrzycki pisał o tym samym: „Dzisiejsza Europa, dzisiejszy świat otaczający Rosję, sam jest jałowy, pogrążony w prostracji duchowej i moralnej, w niemocy i uwiądzie starczym, niezdolny do wykrzesania wielkich idei, porywających narody i jednostki".

Przekonanie, że Moskwa jest silna tylko dzięki żerowaniu na słabości Zachodu, najtrafniej opisał Henryk Józewski, przedwojenny bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, minister spraw wewnętrznych II RP i wojewoda wołyński, który w dalekowzroczny sposób zabiegał o pokojowe relacje polsko-ukraińskie. W „Zeszytach Historycznych" paryskiej „Kultury" po jego śmierci w 1981 roku ukazały się następujące jego słowa: „Swój »sukces« Rosja zawdzięcza umiejętności budowania siły z procesów rozkładowych i ludzkiego upadku. Wszystko to dziś jest jasne i bezsporne. Z podźwignięciem się człowieka i społeczeństw z nędzy automatycznie nastąpi zmierzch sowieckiej Rosji".

Rosja najbardziej odrażająca w twarzach polskich

Niezbrzycki wskazując na wartość bezkompromisowości w walce z komunizmem, tak wyjaśniał jej wagę: „Walka musi być bezwzględna, nie tylko z Sowietami, z Rosją, lecz z tymi wszystkimi, co w ten czy inny sposób, świadomie czy nieświadomie, przychodzą sowietyzacji z pomocą. Walka musi być bezwzględna nie tylko z ideą kapitulacji i ze zdeklarowanymi kapitulantami, lecz i z tymi wszystkim, którzy w stosunku do kapitulacji i kapitulantów nie potrafią czy nie chcą zająć zdecydowanie nieprzejednanego stanowiska, którzy dla tych czy innych powodów zacierają linię podziału. Trzeba raz już skończyć z tym tchórzowskim, asekuranckim usprawiedliwianiem tych, którzy »poszli bo wierzą«, »poszli bo musieli«, trzeba skończyć z tym bronzowaniem rzekomo »porządnych« ludzi, którzy są po tamtej stronie, tworzeniem legend wokół ich »porządności« i »uczciwości«". Jak tłumaczył „Linia podziału musi być wyraźna i dokładna. Nie można pozwolić na to, by ktokolwiek wyobrażał sobie, że można w równie przyjacielskiej atmosferze zjeść śniadanie z »nieprzejednanym«, a kolację z »kapitulantem«".

A Henryk Józewski opisywał, jak Moskwa niszczy polską, niepodległościową świadomość: „Rosja sięga w głąb polskiego życia. Nie jest to planowane z góry wynaradawianie. Chodzi o włączenie się w nurt polskiego istnienia, wślizgnięcie się w polską myśl, uczucie, wolę – a dopiero tą drogą dojście do modelu polskości ustalonego przez Kreml. Chodzi o to, żeby Polacy stali się Polakami na modłę rosyjską i przeżywali to jako polskie »Jestem«. [...] Rosja jest najbardziej odrażająca w twarzach polskich, którym rysy i charakter nadaje niewolnicza służba Rosji. Rosja staje się sobą przez »polskość«. Jest to wizerunek Rosji najbardziej nie do przyjęcia".

Nacjonalizmy w służbie komunizmu

Rosyjskie agenturalne działania, podobnie jak dziś, zawsze wykorzystywały najróżniejsze siły polityczne, nie brzydząc się ani lewicą, ani prawicą. Opisując rosyjskie metody używania nacjonalizmów dla moskiewskich celów, Jerzy Niezbrzycki pisał: „Rząd sowiecki doskonale zdaje sobie sprawę, że rozdmuchanie ambicyj szowinistycznych u nieskończenie słabszych od Związku Sowieckiego narodów, zagrozić państwowości sowieckiej nie jest w stanie, a obniży wartość duchową, społeczną i materialną tych narodów, osłabi je, zahamuje wszystkie idee postępowe, a wprowadzi natomiast idee reakcyjne. Tak rząd sowiecki postępował już na terenie Ukrainy, Gruzji, Azerbejdżanu, Uzbekistanu i innych narodów ujarzmionych przez Rosję".

Do tej działki zaliczał też instalowanie antysemityzmu w Polsce przez Moskwę. Pisał, że „antysemityzm w Polsce jest jedną z najstraszniejszych duchowych agentur obcych, która służyć może tylko i wyłącznie interesom wroga". Jak zauważał „antysemityzm nigdy nie był właściwy ani polskiej kulturze, ani polskiej myśli politycznej, czy tym bardziej społecznej. Jest on wyraźnie wprowadzony do emocjonalnych nastrojów tłumów przez zaborców, a przede wszystkim przez Moskali. Antysemityzm towarzyszy nieodłącznie od czasów Piotra Wielkiego i Elżbiety Piotrówny rozwojowi państwowości rosyjskiej [...] Do Polski ten zwierzęcy antysemityzm nie przeniknął, mimo że to właśnie na ziemiach polskich państwowość rosyjska celowo stworzyła pewne gospodarcze podstawy do antagonizmów polsko-żydowskich". Wprawdzie „antagonizmy te w latach 1918–1939 [...] przybierały niejednokrotnie poważne i niebezpieczne natężenia, lecz nigdy nie wchodziły w sferę tego strasznego zdziczenia, jakie de-

eprasa.pl 77ed129928

monstrowały antysemityzm moskiewski bądź hitleryzm".

O skutkach zainstalowania komunistycznej władzy w tej sprawie pisał: „Właśnie teraz, gdy zadawałoby się na ziemiach polskich nawet te ekonomiczne podstawy antagonizmu polsko-żydowskiego przestały odgrywać rolę, antysemityzm zaczyna przybierać na sile. I to antysemityzm właśnie tego obcego Polakom, zwierzęcego charakteru moskiewsko-pruskiego".

▶ Zabójcze kompromisy

Bączkowski pisała, że istota taktyki Kominternu polega na tym, aby nie zapominając o przewodniej idei, dążyć do jej realizacji drogą najskrajniejszych kompromisów: „Katolików bratać z komuną, masonów z papieżem, byle naprzód, byle bliżej do celu".

Cytował, jak jeden z założycieli Kominternu Lew Trocki w bardzo charakterystyczny sposób przemawiał do młodzieży-agitatorów, wysyłanych na Ukrainę w 1919 roku: „Towarzysze! To, o czym my tu w Rosji mówimy z zupełną otwartością, na Ukrainie można mówić szeptem, a jeszcze lepiej w ogóle nic o tym nie mówić. Umiejętność milczenia należy również do jednej z form krasomówstwa. Wy Towarzysze wyruszacie na Ukrainę. Pamiętajcie, że nie ma pracy agitatorskiej bardziej trudnej niżeli na Ukrainie. Po raz trzeci wysyłamy tam silne kadry i za każdym razem z coraz nową taktyką, z coraz nowymi chwytami. Konkretnie praca wasza będzie polegała na przestrzeganiu następujących zasad: 1. Nie narzucać chłopu ukraińskiemu komuny dopóty, dopóki nasza władza tam nie zostanie utrwalona. 2. Ostrożnie wprowadzać komunę w dawnych majątkach pod nazwą karteli lub stowarzyszeń. 3. Przekonywać, że w Rosji nie ma komunizmu. 4. Jako przeciwwagę wobec niepodległościowemu Petlurze i innym – twierdzić, że Rosja również uznaje niezależność Ukrainy, lecz pod warunkiem istnienia tam władzy sowieckiej, zaś Petlura sprzedaje Ukrainę państwom burżuazyjnym. 5. Tylko idiota lub prowokator, bez sensu, wszędzie i przy każdej okazji będzie mówił, iż walczymy z Petlurą".

▶ Rosja taka sama jak inne imperia, czyli szczyt dezinformacji

Standardową metodą rosyjskiej agentury jest argumentacja, że jej metody stosują służby specjalne wszystkich wpływowych państw świata. Bączkowski trafnie wyjaśniał, że: „Wszelka tendencja do niwelatorstwa wschodnio-zachodniego, stawiania znaku równości pomiędzy strategią wschodnią i zachodnią", „wydaje się produktem niewiedzy lub całkowitego nieodczuwania klasycznego dalekiego Wschodu". Tłumaczył, że „w rzeczywistości strategia wschodnia i strategia zachodnia są do siebie często z grubsza podobne, lecz wybrzuszenia pewnych zjawisk w jednym rodzaju strategii tam, gdzie u strony przeciwnej istnieje, wgłębienie – oto co obrazuje rzeczywistość. Wschód i Moskwa chorują na elephantiasis dywersji, akcji rozkładowej itp. Zachód chory jest na garb prostolinijności".

Jak wyglądają owe wybrzuszenia? „Jeden organizm i drugi, wschodni i zachodni, podobne są do siebie w tym wszystkim, co jedność rodzaju ludzkiego i wspólnota pragenezy kulturalnej reprezentuje. Chodzi więc o sprecyzowanie natężenia zjawisk wybrzuszeń – charakterystycznych metod walki Rosji. Niewątpliwie różne okresy przynoszą większe lub mniejsze nasilenie tych zjawisk charakterystycznych dla Rosji. Dziś przeżywamy okres największego w dziejach Rosji wzmożenia pierwiastka dywersyjnego, rozkładowego oddziaływania na państwa ościenne i liczenia na dezorganizujące metody słowa mówionego i drukowanego".

Świętej pamięci Jacek Kwieciński, wyjaśniając przyczyny, dzięki którym Ronald Reagan wygrał ze Związkiem Sowieckim, wskazywał na odrzucenie owej hipnozy, czyli przyjęcie stanowiska „my wygrywamy, oni przegrywają". Jak wyjaśniał, „wygrać" „było całkowitą herezją wobec obowiązującej ortodoksji. Takie podejście przestało być zrozumiałe dla elit/polityków. Wszystkich. W ogóle nie myślano w tych kategoriach. Od dawna. Reagan był pierwszym i jedynym, który w zwycięstwo wierzył i do niego dążył". Intelektualiści nie byli tego w stanie słuchać, choć w zdaniu Reagana z 1962 roku wybrzmiewał zdrowy rozsądek: „Wojny na ogół wygrywa się lub przegrywa".

▶ Polskie książki upominające się o człowieka

Polscy pisarze wierzyli, że to, co piszą o metodach Rosji, choć chwilowo trafia tylko do wygnańców, kiedyś będzie miało sens. Herminia Naglerowa oceniała, że „wszystkie lub prawie wszystkie polskie książki na temat sowiecki [...] upominają się o człowieka, o każdego człowieka znoszącego to, co jest nie do zniesienia. Wytrzymały i godny, spodlony i uległy, oporny, załamany i każdy należy do zespołu ludzkiego i nie wolno go się wyrzec, wyrzucić poza obręb człowieczeństwa".

Wierzyła, że ich pisanie może przekroczyć wartość nie tylko literacką: „Ten upór pisarski byłby już dostateczną legitymacją dla polskiego pisarza na uchodźstwie. [...] Doprawdy, te odpatetycznione książki mogłyby pobudzić zmartwiałą ludzkość wolnego świata do patetycznego działania, gdyby szukano w nich czegoś więcej niż tylko – literatury". Czy nadchodzi czas, kiedy bomba z opóźnionym zapłonem wybuchnie i tego „czegoś więcej" zaczniemy w nich szukać? ■

eprasa.pl 77ed129928



ROSJA ZAATAKUJE I PRZEGRA WOJNĘ Z WOLNYM ŚWIATEM

W wymiarze politycznym Rosja uchodzi za bandytę – i słusznie, zaś w ekonomicznym i wojskowym znaczeniu ryzyko agresji jest ogromne z punktu widzenia Putina. Ponadto Ukraińcy doskonale zdają sobie sprawę, co się z nimi stanie, jeśli ich kraj padnie łupem Rosji. Mamy informacje o listach proskrypcyjnych z nazwiskami osób do aresztowania lub zamordowania – znając historię agresora, niczego innego nie mogliśmy się spodziewać. Rosja z pewnością przegra nadchodzącą wielkimi krokami wojnę. Pytanie, ilu ludzi zginie, zanim Putin to zrozumie – z prof. Przemysławem Żurawskim vel Grajewskim, politologiem uczelni na Uniwersytecie Łódzkim, rozmawia Grzegorz Wszołek.

eprasa.pl 77ed129928

▶ W chwili gdy rozmawiamy, cały Zachód z niepokojem wyczekuje pierwszych wystrzałów rakiet w stronę Ukrainy. Władimir Putin jest zdecydowany na militarną agresję – powiedział Joe Biden. Jaki byłby bilans zysków i strat dla rosyjskiego prezydenta? Czy ta operacja politycznie mu się opłaci?

Sądzę, że na obecnym etapie ta operacja nie opłaci się Władimirowi Putinowi. On przygotowuje się do militarnej interwencji, ale już w innej rzeczywistości niż kilka tygodni temu. Cały poprzedni rok sprzyjał rosyjskiemu przywódcy w dojrzewaniu do ostatecznej decyzji – w tym kontekście trzeba wspomnieć choćby o zawieszeniu dostaw wojskowych przez Amerykanów w listopadzie 2021 roku. Cała gama wydarzeń musiała wywrzeć takie oto przekonanie na Putinie, że Ukraina pozostanie sama, natomiast świat zachodni – podzielony, skłócony, niepewny siebie, dążący do porozumienia z Moskwą i kapitulacji. Mocarstwa europejskie wysłały przecież Josepa Borrella do Moskwy ze znanym skutkiem, zaś Niemcy nie przestały forsować gazociągu Nord Stream 2. W ostatnich dwóch tygodniach rząd Olafa Scholza nieco zmienił ton, ale nadal przekonuje, że projekt z Rosjanami ma wymiar tylko biznesowy, w żadnym razie polityczny. W dodatku Berlin blokuje dostawy broni do Kijowa. Co najważniejsze, próbowano nawet zaprosić Putina na szczyt UE do Brukseli w czerwcu 2021 roku. Spotkanie z Joe Bidenem musiało też odcisnąć piętno na rosyjskim prezydencie: rozmawiał z 79-letnim, niezbyt energicznym politykiem, zarządzającym największym mocarstwem na świecie. Sytuacja z ewakuacją z Afganistanu tylko potwierdziła pewną wizję amerykańskiej kondycji w oczach ludzi na Kremlu. Niemcy i Francuzi potępili nawet Ukrainę za użycie drona do stłumienia artyleryjskiego ognia ze strony Rosji, ale nie zająknęli się słowem na temat prowokacji wojsk rosyjskich. To wszystko musiało wpływać na takie oto kalkulacje Putina, że zyski z militarnej agresji będą ogromne, a straty niewielkie.

▶ Dodajmy do tego europejskich polityków, opłacanych przez rosyjski biznes.

Tak, były kanclerz Gerhard Schroeder jako szef rady dyrektorów Nord Stream 2 AG – a wcześniej w Gazpromie – jest tego dobitnym przykładem. Ale oprócz niego do grona lobbystów interesów moskiewskich możemy zaliczyć Francoisa Fillona, byłego szefa rządu Francji w latach 2007–2012. Kilka miesięcy temu rosyjskie władze desygnowały go w skład rady dyrektorów koncernu naftowego Zarubieżnieft. Dalej, Karin Kneissl to była minister spraw zagranicznych Austrii z dyrektorską posadą w Rostniefcie. Na jej weselu doskonale bawił się Władimir Putin. Do tego dodajmy premierów Szwecji i Finlandii. Zatem Putin naprawdę sądził, że ma wielu za sobą. Okazało się jednak, że nie wszystko pójdzie po myśli rosyjskiego prezydenta.

▶ Wycofanie się około 150 tys. Rosjan – gotowych do ataku na Ukrainę – jest scenariuszem z gatunku science-fiction?

Niestety, byłaby to potężna klęska wizerunkowa Moskwy, na którą Putin sobie nie pozwoli. Jeżeli prezydent Federacji Rosyjskiej się cofnie, przegra prestiżową wojnę praktycznie bez wystrzału. Z kolei jeśli konflikt się rozpocznie, Rosja zostanie zdławiona gospodarczo. Niemcy zostaną zmuszone przez Stany Zjednoczone do odpowiedniej korekty stanowiska w sprawie uruchomienia gazociągu Nord Stream 2 czy odcięcia od systemu SWIFT. I tu pojawia się ważna rola Polski: wraz z Ukrainą stanowimy pas terytorium od Morza Bałtyckiego aż po Morze Czarne, co może oznaczać blokadę tranzytu do i z Rosji. Turcja – jeśli tylko zechce – jest w stanie zamknąć cieśniny czarnomorskie, natomiast europejskie NATO – cieśniny bałtyckie. Wtedy Rosja znalazłaby się w bardzo trudnej sytuacji ekonomicznej. Warunek jest jeden: Europa i NATO muszą zachować się stanowczo i twardo wobec Kremla. Nie znamy dokładnie listy zaplanowanych sankcji na wypadek wojny, ale są to logiczne propozycje, które zaszkodzą Rosji. Ukraina też nie zamierza składać broni: dysponuje ponad 200-tysięczną armią, wieloma weteranami, doświadczonymi na placu boju w walkach od 2014 roku z separatystami, tworzy coś na wzór polskich Wojsk Obrony Terytorialnej. Kijów może wystawić aż półmilionową armię w pierwszym etapie konfliktu, a to nie jest mała liczebność. Walki w Groznym są również przypomnieniem, że także na wschodniej Ukrainie wcale nie będzie tak łatwo poruszać się pojazdami zmechanizowanymi. Moskwa poniesie olbrzymie straty ludzkie, jeśli na taką strategię napaści się zdecyduje, porzucając atak lotniczy. W wymiarze politycznym Rosja uchodzi za bandytę – i słusznie, zaś w ekonomicznym i wojskowym znaczeniu ryzyko jest ogromne z punktu widzenia Putina. Ponadto Ukraińcy doskonale zdają sobie sprawę, co się z nimi stanie, jeśli ich kraj padnie łupem Rosji. Mamy informacje o listach proskrypcyjnych z nazwiskami osób do aresztowania lub zamordowania – znając historię agresora, niczego innego nie mogliśmy się spodziewać. Rosja z pewnością przegra nadchodzącą wielkimi krokami wojnę. Pytanie, ilu ludzi zginie, zanim Putin to zrozumie.

fot. Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska

eprasa.pl 77ed129928

▶ W obwodzie donieckim już doszło do groźnych prowokacji ze strony rosyjskich separatystów. Ostrzelano przedszkole, a także infrastrukturę i bazy ukraińskie. To może być zaczątek wielkiej agresji pod „fałszywą flagą"?

Owszem, prowadzonych jest kilka równoległych operacji prowokacyjnych. Tego typu ostrzały prowadzi się dokładnie w takim celu, by oskarżyć stronę ukraińską o dokonanie agresji. A gdy jeszcze pojawią się ofiary ognia – w tym dzieci – to tym lepiej dla rosyjskiej propagandy, bo będzie oddziaływać na swoich obywateli. Przypomnijmy, że przed wybuchem II wojny czeczeńskiej to rosyjskie służby podkładały bomby pod bloki mieszkalne w wielu miastach rosyjskich. Potem politycy na czele z Putinem oskarżali Czeczenów o dokonanie masakry i śmierć kilkuset ludzi, co stanowiło pretekst do ataku w ramach akcji wymierzonej w „terrorystów". Podobnie było w Naddniestrzu na początku lat 90., gdzie opowiadano o grożącym ludobójstwie rosyjskojęzycznej ludności ze strony Mołdawian i Rumunów. Osiem lat temu zajmowano Krym pod fałszywym pretekstem zagrożenia ze strony rzekomych banderowskich faszystów, marzących o masowych mordach na obywatelach Rosji. W końcu któryś ostrzał zostanie przedstawiony przez Kreml jako ten, który wywołał wojnę na wschodzie Ukrainy. Ludność cywilna jest tam ewakuowana, co jako żywo przypomina mi sytuację z Osetii Południowej przed atakiem. Można sobie wyobrazić taki scenariusz, że pocisk artyleryjski uderza w konwój humanitarny z ludźmi. Co się dzieje dalej? Rosjanie oskarżają ukraińskie wojsko o dokonanie rzezi, na którą trzeba odpowiedzieć. Oni są mistrzami w prowokacjach, a teraz przygotowują legendę do kłamliwego oskarżenia pod adresem Kijowa.

▶ Czy fakt, że Ukraina dopiero aspiruje do roli członka NATO, przesądza, iż Stany Zjednoczone nie będą interweniować wojskowo? Nie obowiązuje w takim wypadku zasada casus foederis, czyli zjednoczonej odpowiedzi wobec agresji na państwo członkowskie.

To prawda. Postawę Joego Bidena, który wprost powiedział na jednej z konferencji prasowych, że bez względu na rozwój wypadków wojska NATO nie ruszą na Ukrainę, by walczyć z Rosjanami, oceniam jednak jako polityczny błąd. Lepiej byłoby w tej sytuacji pozostawić rosyjskiego przeciwnika w niepewności, niż oficjalnie wykładać strategię. Ukraina w momencie wojny zacznie się bronić, bowiem w innym scenariuszu przestałaby istnieć jako suwerenne państwo. Kapitulacja nie oszczędza krwi, dobrze znamy to z historii II wojny światowej. Deklaracja Bidena – niestety – jedynie zachęciła Moskwę, by ruszyć z impetem. Niewątpliwie prezydent USA miałby problem z wytłumaczeniem się opinii publicznej z decyzji o odpowiedzi wojskowej na zakusy Rosji. Wtedy obserwowalibyśmy pełnoskalową wojnę światową. Zgromadzenie tak ogromnej liczby rosyjskich wojsk przy granicy z Ukrainą i na Białorusi w okolicach Bugu jest jasnym przesłaniem. Czasami decyzje dowódców wojskowych są zależne od impulsu chwili – konflikt może wyrwać się spod kontroli i rozlać na inne kraje. Sytuacja jest doprawdy dramatyczna.

▶ Należy za wszelką cenę dążyć do pokoju? Jeśli Rosja pozostanie nieugięta, świat zachodni poświęci Ukrainę, jej prounijne i pronatowskie aspiracje?

Pokój za wszelką cenę oznacza nic innego jak niewolę zgotowaną przez Rosjan, grozi eksterminacją narodów lub – w najlepszym wypadku – przywódców politycznych. Świat musi się bronić przed Moskwą, ale to nie oznacza, że Zachód zdecyduje się na odpowiedź militarną w imię pokoju na Ukrainie. Decyzja o rozszerzeniu konfliktu będzie leżała w gestii Moskwy. Wolny świat natomiast powinien transportować broń do Kijowa, amunicję, paliwo, przekazywać informacje wywiadowcze i satelitarne. Zakładam, że Unia Europejska i USA zdecydują się nałożyć ostre sankcje wobec Rosji. Kierownictwo na Kremlu ma zmilitaryzowany ogląd świata. To nie dziwi, wszak, jak podawała choćby rosyjska badaczka Olga Krysztanowska z Rosyjskiej Akademii Nauk, ponad 70 proc. kremlowskich elit władzy ma powiązania z aparatem służb specjalnych: czy to FSB, GRU, czy jeszcze KGB. Obawiam się, że sankcje o charakterze ekonomicznym nie działają na ludzi o czekistowskim spojrzeniu na świat. Na ich rachuby wpływają tylko wojskowe dywizje.

▶ Administracja Joego Bidena, a także część europejskich krajów, odradziła swoim obywatelom podróżowanie na Ukrainę. Na początku lutego wybrzmiał też dramatycznie brzmiący apel o to, by Amerykanie w ciągu dwóch dni opuścili Kijów. Wówczas do agresji ze strony Putina nie doszło. Było to przygotowanie obywateli na niekorzystny bieg wypadków? Politycy w USA mieli też w pamięci nieudolną ewakuację z Afganistanu, którą z zainteresowaniem śledził cały świat.

I jedno, i drugie. Nawiasem mówiąc, w chwili gdy rozmawiamy, nastąpił idealny moment do przeprowa-

eprasa.pl 77ed129928

dzenia operacji militarnej. A mianowicie prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski przebywa w Monachium na Konferencji Bezpieczeństwa. Do kraju będzie wracał samolotem. Zgodzimy się, że dla Rosjan taki cel nie byłby nieosiągalny. Sygnałów dopływających z granicy rosyjsko-ukraińskiej jest zbyt dużo, żeby uznawać komunikaty najpotężniejszego mocarstwa na świecie za blef. Nieznany jest natomiast moment uderzenia, ale też nie dziwmy się: Rosjanie nie są wojskowymi partaczami.

▶ Biały Dom prezentował informacje, które musiały pochodzić z danych wywiadowczych. Amerykanie przedstawiali grozę sytuacji na granicy rosyjsko-ukraińskiej: manewry wojsk, złudne wycofanie 11 tys. żołnierzy, transporty z krwią i dostawy broni. Takich działań nie podejmuje się, gdy się tylko ćwiczy?

Pełna zgoda. Dzisiaj obserwujemy anomalię pogodową z wichurami, meteorolodzy przypuszczają, że orkan dotrze dalej na wschód. Czy nie miałoby to wpływu na rozwój sytuacji? Twierdzę, że nawet taki szczegół decyduje o wojskowych planach. Rosjanie nie słyną też z oszczędzania ilości krwi swoich żołnierzy – jeśli uznają, że warto uderzyć w tej chwili, nie będzie mowy o zawahaniu. Zrobią to z pełną premedytacją.

▶ Część ekspertów od geopolityki wskazuje, że Putin chce dyktować nowy światowy porządek. Jednak czy napięcie na granicy rosyjsko-ukraińskiej i to, że Kreml traktuje Białoruś jako własną peryferię, nie jest oznaką neostalinowskich ciągotek? Sowietolodzy podkreślali też, że Władimir Putin wzoruje się na Piotrze Wielkim i jego imperium.

To są dywagacje historyczne, oczywiście poparte pewnymi analogiami i kontekstem. Dodałbym do tego ciekawą koncepcję z Iwanem Kalitą, jednoczycielem ziem ruskich w średniowieczu. Nie łudziłbym się: jedyną strategią Rosji jest napadanie na inne kraje i ograbianie terytoriów, czego doświadczyliśmy boleśnie blisko 80 lat temu. Moskwa żyje przede wszystkim z podbojów z niewielkimi okresami przerwy w historii.

▶ Unia Europejska mówi jednym głosem – może oprócz wypowiedzi, które pochodziły od rządu niemieckiego na początku kryzysu. Berlin będzie dążył do finalizacji Nord Stream 2, mimo tego, co się dzieje?

Niemcy będą unikać jak ognia konfrontacji z Rosją na każdej płaszczyźnie. Należy wiedzieć, że celem Berlina i Paryża jest redukcja skali dominacji amerykańskiej. I Moskwa w tych planach wydaje się elementem pomocnym, a w żadnym wypadku przeszkadzającym. Emmanuel Macron wielokrotnie kładł nacisk na wielobiegunowość w porządku politycznym świata, odrzucając dualizm amerykańsko-chiński czy amerykańsko-rosyjski. Za kadencji George'a W. Busha i Donalda Trumpa mogliśmy dostrzec, jak antyamerykańska postawa w Berlinie staje się opłacalna. Sam byłem świadkiem kompromitującej deklaracji jednego z istotnych ekspertów zaplecza politycznego SPD, który kilka lat temu podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy stwierdził bez emocji: „Jeśli ktoś chce mnie nazwać lobbystą Gazpromu, to ja jestem z tego dumny!". Nie opisuję człowieka z politycznego marginesu, lecz przedstawiciela elity w Niemczech. Wiceadmirał Kay-Achim Schoenbach deklarował, że Krym należy do Rosji i trzeba się z tym pogodzić. Został zdymisjonowany, to dobrze, ale przecież on tylko wypowiedział się tak, jak dokładnie myśli. Dodam, że podobnie uważa wielu niemieckich polityków. Nie spodziewałbym się zatem po Niemcach radykalnych kroków. Na szczęście administracja Joego Bidena wyraźnie zmieniła zdanie na temat Berlina. Rozczarowała się obranym kierunkiem proniemieckim – zarówno na odcinku chińskim, jak i w relacjach niemiecko-rosyjskich. Berlin nie przejął pałeczki lidera w obszarze bezpieczeństwa europejskich państw NATO.

▶ Donald Tusk zorganizował spotkanie z byłymi prezydentami i szefami MSZ, by omówić sytuację na Ukrainie. Debata odbyła się w otoczeniu flag natowskich i unijnych. Dziś szef PO jest krytykiem Kremla, jednak prowadził zupełnie inną politykę w latach 2007–2014 w relacjach z Rosją. Radosław Sikorski jako szef MSZ proponował nawet procedurę przystąpienia Federacji Rosyjskiej do NATO.

Tylko co wynika z tego, że do spotkania doszło? Wnioski, jakie tam padły, ocierają się o banał. Tak – z niektórymi trudno się nie zgodzić, ale czy przeciętny obserwator rozwoju wydarzeń nie wie, że sytuacja jest poważna, niezbędna jest jedność i współpraca w ramach NATO i Unii Europejskiej? Radosław Sikorski wspólnie z Donaldem Tuskiem prowadzili politykę zgodną z linią Niemiec i Francji. To od poparcia tych krajów zależy awans na intratne stanowisko. Przypominam, że Tusk takową szansę otrzymał w 2014 roku i został szefem Rady Europejskiej. W okresie, o którym rozmawiamy, Paryż i Berlin prowadziły politykę resetu. Rząd PO-PSL do niej po prostu dołączył, idąc z prądem głównego nurtu. ■

eprasa.pl 77ed129928



Antoni Rybczyński

PUTINVERSTEHER. WSCHODNI WYBÓR NIEMIEC

Berlin musiał dokonać ostatecznego wyboru w obecnym kryzysie na wschodzie Europy i wykazał się konsekwencją. Niemieckie interesy gospodarcze i mające korzenie jeszcze w czasach aktywności Stasi powiązania w elitach RFN determinują niemiecką Ostpolitik: po pierwsze Rosja.

Stany Zjednoczone i Niemcy niezłomnie popierają suwerenność, integralność terytorialną, niepodległość i wybór europejskiej drogi Ukrainy. Ponownie zobowiązujemy się dziś do odparcia rosyjskiej agresji..." – to fragment wspólnego oświadczenia prezydenta USA Joego Bidena i ówczesnej kanclerz Niemiec Angeli Merkel z lipca 2021 roku. W zamian za możliwość dokończenia Nord Stream 2 to Niemcy wzięły na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo Ukrainy. Co poszło nie tak, że pół roku później Berlin postrzega się w Kijowie jako wspólnika Rosji w jej agresji przeciwko Ukrainie, a wiarygodność Niemiec sięgnęła dna?

Zawiedzione nadzieje

Niemcy były pierwszym i oczywistym wyborem ukraińskich sił politycznych, które przejęły władzę w wyniku „rewolucji godności". To Niemcy były głównym partnerem Rosji w rokowaniach mińskich i to rządząca chadecja „rozprowadziła" politycznie Ukrainę w tamtym czasie, w efekcie czego Petro Poroszenko został prezydentem, a Witalij Kliczko merem Kijowa. Dlaczego Ukraińcy nie mieli innego wyboru? Polskie władze były wtedy klientem Berlina, zaś ekipa Baracka Obamy nie chciała angażować się w Europie, pozostawiając ją niemieckiemu sojusznikowi. Kolejne osiem lat rozczarowało jednak Kijów. Niemcy nie zrobili nic w kwestii przywrócenia Krymu i Donbasu pod kontrolę Ukrainy, za to kontynuowali business as usual z Rosją. Kwestia Nord Stream 2 powinna już dawno uświadomić Ukraińcom, że dla Berlina zawsze ważniejsza będzie Moskwa, nawet jeśli chodzi o projekt śmiertelnie groźny dla Kijowa.

Po zmianie władzy na Ukrainie obóz Wołodymyra Zełenskiego nie był już ograniczony starymi związkami z CDU i mógł bardziej otwarcie wyrażać niezadowolenie z postawy niemieckiej. Kijów irytowało nie tylko poparcie Berlina dla Nord Stream 2, lecz także coraz wyraźniej okazywane lekceważenie Ukrainie. Niemcy zdystansowały się do Platformy Krymskiej, zainicjowanej przez Kijów w celu aktywizacji międzynarodowych wysiłków na rzecz odzyskania Krymu. Pokazywało to, kolejny raz, że Niemcy nie zamierzają narażać się Putinowi poparciem dla Ukrainy w momencie, gdy Kreml znów zaostrzył politykę wobec Kijowa, widząc, że nie zmusi Zełenskiego do ustępstw. W końcu jednak Merkel, która zarobiła sobie nad Dnieprem na przezwisko Frau Ribbentrop, miała odejść. Ukraina wiązała nadzieje z nowym rządem, licząc, że zmieni on politykę wschodnią RFN. Zieloni słynęli z niechęci do Nord Stream 2, zaś współprzewodniczący tej partii Robert Habeck (obecny wicekanclerz) opowiedział się za dostarczaniem broni Ukrainie i pełnym wsparciem w wojnie z Rosją.

Tyle że kanclerzem został socjaldemokrata, a przecież SPD współuczestniczyła w dotychczasowej Ostpolitik Niemiec, a poza tym zawsze słynęła z prorosyjskiego nastawienia. Mało doświadczony Olaf Scholz – jak okazało się już po dosłownie kilkunastu tygodniach – właściwie nie zmienił nic w polityce RFN wobec Ukrainy. „Nie" dla członkostwa Kijowa w NATO, „tak" dla Nord Stream 2 pozbawiającego Ukrainę 3 mld dolarów rocznych dochodów z tranzytu, a jednocześnie zwiększającego ryzyko ataku Putina na Ukrainę, „tak" dla zaprojektowanych przez Rosję „porozumień mińskich", uzupełnionych o tzw. formułę Steinmeiera (nazwaną tak na cześć partyjnego kolegi Scholza, ministra spraw zagranicznych w rządzie Merkel, obecnie prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera), które miałyby rozwiązać konflikt na wschodzie Ukrainy na warunkach rosyjskich. „Nie" dla dostaw broni dla Ukrainy w obliczu rosnącego zagrożenia inwazją rosyjską. Co jednak istotne, takie poglądy mają nie tylko działacze SPD czy większość klasy politycznej RFN.

W styczniu wybuchł skandal, gdy dowódca niemieckiej marynarki wojennej wiceadmirał Kay-Achim Schönbach podczas wizyty fregaty „Bavaria" w Indiach pozwolił sobie na szczere uwagi, raczej nieprzystające oficerowi z kraju, który szczyci się apolitycznością wojska i cywilną kontrolą nad nim. Schönbach powiedział, że Krym został utracony dla Ukrainy na zawsze i nigdy do niej nie wróci, że Putin powinien być „szanowany", a obawy o zbliżającą się inwazję rosyjskich wojsk na Ukrainę nazwał „absurdem". A w ogóle to, zdaniem wiceadmirała, z Rosją należy „współpracować". Na dodatek, w tym samym mniej więcej czasie, premier Bawarii i szef CSU Markus Söder podważył sens zachodnich sankcji wobec Rosji i wykluczył członkostwo Ukrainy w NATO w dającej się przewidzieć przyszłości. Kijów był zszokowany i oburzony oświadczeniem Schönbacha. Ambasador Ukrainy w Niemczech Andrij Melnyk podkreślił nawet, że taki „cynizm" i „niemiecka arogancja" przywodzą na myśl czasy nazizmu, kiedy Ukraińców traktowano jak „podludzi". Szef ukraińskiego MSZ Dmytro Kułeba stwierdził, że opinie te zachęcają Putina do napaści na Ukrainę i stoją w sprzeczności z dotychczasowym wsparciem udzielanym przez Niemcy. 22 stycznia ambasador RFN w Kijowie została wezwana do ukraińskiego MSZ. Oczywiście minister obrony Christine Lambrecht (SPD) stwierdziła, że uwagi wiceadmirała „ani w treści, ani w brzmieniu" nie były zgodne z oficjalnym stanowiskiem Niemiec, zaś Schönbach uprzedził dy-

FOT. SERGEY GUNEEV/KREMLIN POOL/SPUTNIK/PAP/EPA

eprasa.pl 77ed129928

misję, rezygnując ze stanowiska. Tyle że niemal równocześnie z aferą Schönbacha zrobiło się głośno wokół wprowadzonego przez rząd niemiecki zakazu reeksportu broni na Ukrainę z Estonii.

Hełmy zamiast broni

Chodzi o dziewięć haubic samobieżnych średniego kalibru. To broń odziedziczona po armii NRD, najpierw przekazana Finlandii, a następnie Estonii. Dalszy reeksport wymaga zgody Berlina jako pierwotnego eksportera. A Berlin się nie zgadza, choć przecież nie chodzi o bezpośrednie dostawy z Niemiec. „Kurs rządu federalnego od wielu lat jest jasny: nie dostarczamy broni na obszary objęte konfliktami, i z tego powodu nie wyślemy na Ukrainę śmiercionośnej broni" – tak w programie telewizji ARD „Raport z Berlina" 6 lutego Scholz powtórzył niemieckie weto dla wsparcia bronią Ukrainy (o której bezpieczeństwo dbać obiecały Niemcy latem 2021 roku). Dodał, że „większość Niemców postrzega tę sprawę w taki sam sposób".

Od 2021 roku Ukraina uporczywie apeluje do Niemiec, aby te sprzedały jej systemy obrony powietrznej, artylerii nadbrzeżnej, łodzi patrolowych, kutrów rakietowych i lekkich pojazdów opancerzonych. Jednak zarówno poprzedni rząd w Berlinie, jak i obecny odrzuciły apele Kijowa. Partia socjaldemokratyczna jest elementem ciągłości pomiędzy dwoma niemieckimi rządami: jako młodszy partner w koalicji kierowanej przez chadeków pod przywództwem Merkel do grudnia ubiegłego roku, a obecnie lider rządu koalicyjnego z Zielonymi i FDP. Tak więc niemieckie embargo na broń dla Ukrainy jest kwestią ponadpartyjnego konsensusu w tym kraju. Niemieccy urzędnicy uzasadniają tę politykę, głównie powtarzając formułkę o nadziei na „pokojowe rozwiązanie" konfliktu rosyjsko-ukraińskiego i podkreślając konieczność prowadzenia dialogu niemiecko-rosyjskiego. Ale to nie tłumaczy ingerowania w transfer broni na Ukrainę od innych sojuszników z NATO.

Jako państwo aspirujące do NATO, Ukraina korzysta z dostępu do Agencji Wsparcia i Zamówień NATO (NSPA). Na początku 2021 roku Ukraina złożyła wniosek o nabycie 90 karabinów antysnajperskich od Stanów Zjednoczonych i 20 karabinów antydronowych od Litwy za pośrednictwem NSPA. Wykorzystując procedury Agencji oparte na konsensusie, Niemcy zablokowały te transakcje w maju i ponownie w listopadzie 2021 roku. Według ukraińskiego ministra obrony Ołeksija Reznikowa, Berlin ustąpił w grudniu 2021 roku, lecz tylko w sprawie karabinów przeciwdronowych, uznając, że są one przecież nieśmiercionośne. W dalszym ciągu blokuje sprzedaż karabinów antysnajperskich. W połowie stycznia Wielka Brytania dostarczyła na Ukrainę partię pocisków przeciwpancernych. Samoloty transportowe ominęły niemiecką przestrzeń powietrzną, lecąc dłuższą trasą, najwyraźniej z obawy, że niemieckie władze mogą zablokować lub opóźnić zezwolenie na przelot.

Berlin przed coraz większą krytyką broni się, mówiąc, że wspiera Ukrainę finansowo i dostarcza też wojskową pomoc „non-lethal". Dane niemieckiego rządu wskazują na łączne wsparcie finansowe dla Ukrainy w latach 2014–2021 w wysokości nieco poniżej 2 mld euro. Prawie cała ta kwota to pomoc humanitarna. To jakieś 250 mln euro rocznie dla ponad 40-milionowego kraju... W połowie lutego Scholz przyjechał do Kijowa z transzą 150 mln euro z wcześniej zatwierdzonej linii kredytowej i kolejnymi 150 mln euro nowych środków. Biorąc pod uwagę nieocenioną wartość strategiczną Ukrainy, ta cała niemiecka pomoc finansowa wygląda wręcz śmiesznie. Podobnie jak wojskowa pomoc nieśmiercionośna. 19 stycznia Ukraina w trybie pilnym zwróciła się do ministerstwa obrony RFN o zestawy wojskowe dla cywilnych ochotników wstępujących do nowo tworzonych jednostek obrony terytorialnej. Prośba dotyczyła 100 tys. hełmów i takiej samej liczby kamizelek kuloodpornych. Minister obrony Christine Lambrecht zaproponowała jedynie 5 tys. hełmów, „jako jasny sygnał, że jesteśmy po stronie Ukrainy", co wyśmiały niemieckie media. Niemieccy urzędnicy bronią się, że rząd w Berlinie finansuje budowę wartego 5 mln euro szpitala wojskowego dla Ukrainy i leczył w Niemczech w latach 2014–2021 prawie 200 rannych ukraińskich żołnierzy.

Pomocnik Putina

Najgorsze, że Niemcy nie tylko nie pomagają Ukrainie w żaden realny sposób, lecz także stanęły w kluczowym momencie po stronie Kremla. Chodzi o kwestię realizacji tzw. porozumień mińskich. Podpisane w lutym 2015 roku przy udziale Merkel, kończyły gorącą fazę wojny w Donbasie. Ich realizacja miała doprowadzić do pokojowego uregulowania konfliktu „domowego" (jak wciąż twierdzi Moskwa) na Ukrainie. Oczywiście są one skrajnie niekorzystne dla Kijowa. Ukrainie udawało się jednak przez lata unikać ich realizacji. Teraz Putin znów je wyciągnął na stół.

Kanclerz Scholz spotkał się 14 i 15 lutego w Kijowie i Moskwie z prezydentami Ukrainy i Rosji. Swoją wizytę w Moskwie przedstawiał jako próbę de-

eprasa.pl 77ed129928

eskalacji konfrontacji i „uniknięcia wojny w Europie". Polityczne warunki uniknięcia wojny i deeskalacji – a mianowicie przestrzeganie przez Ukrainę „porozumień mińskich" – stały się głównym tematem rozmów Scholza z Putinem. Temat ten został ponadto połączony z kwestią utrzymania Ukrainy poza strukturami Paktu Północnoatlantyckiego (NATO), w formule, która ma być jeszcze dopracowana, zgodnie z żądaniami Rosji dotyczącymi gwarancji bezpieczeństwa. Scholz, rozprawiając o rozwiązaniu konfliktu na wschodzie Ukrainy, przymknął oko na zajęcie Krymu przez Rosję. Na konferencji Putin opowiadał bajki o ukraińskim „ludobójstwie" w Donbasie, a niemiecki kanclerz na to nie zareagował.

Putin wyszedł z rozmowy w cztery oczy na wspólną konferencję prasową, potwierdzając swoje znane stanowisko, a mianowicie: Ukraina odmawia wypełnienia swoich „zobowiązań" wynikających z mińskich „porozumień". Kijów musi przyjąć ustawę konstytucyjną o specjalnym statusie terytorium Doniecka i Ługańska, zaoferować ogólną amnestię po zakończeniu konfliktu, zaakceptować przeprowadzenie wyborów na tym terytorium na podstawie specjalnej ustawy i wprowadzić do ukraińskiego ustawodawstwa „formułę Steinmeiera" (dotyczącą wyborów i aktywizacji specjalnego statusu). Wszystkie te kroki muszą być uzgodnione między Kijowem a władzami Doniecka i Ługańska, zgodnie z „porozumieniami" mińskimi, w drodze bezpośredniego dialogu. „To są drogi do przywrócenia integralności terytorialnej Ukrainy za pomocą środków pokojowych" – oświadczył Putin.

Obaj przywódcy podkreślili swe przywiązanie do treści i procedur porozumień mińskich. Scholz odrzucił „samolubne interpretacje tych porozumień", co najwyraźniej odnosiło się do interpretacji Kijowa, ponieważ on sam właśnie poparł interpretacje Moskwy. Scholz nie wezwał do wycofania sił rosyjskich z terytorium Ukrainy, do przywrócenia ukraińskiej kontroli na granicy ukraińsko-rosyjskiej na tym terytorium ani do rozbrojenia sił separatystów z Doniecka i Ługańska. To warunki wstępne, jakie stawia Ukraina, zanim zgodzi się na przeprowadzenie wyborów w Doniecku i Ługańsku. Te warunki wstępne są w pełni zgodne z międzynarodowymi prawami i normami, w przeciwieństwie do „porozumień mińskich" (plus formuła Franka-Waltera Steinmeiera), które łamią te prawa i normy. A które, należy pamiętać, Kijów podpisał w lutym 2015 roku, mając do głowy przystawiony przysłowiowy pistolet (właśnie padło Debalcewe, Merkel i Hollande byli zgodni z Putinem, a Obama w ogóle się tym nie interesował).

Scholz zrelacjonował swoją rozmowę z prezydentem Zełenskim, którą odbył poprzedniego dnia w Kijowie. W wersji Scholza, Zełenski „stanowczo obiecał" mu, że Kijów wkrótce przedstawi projekty ustaw w sprawie: specjalnego statusu terytorium Doniecka i Ługańska, odpowiedniej poprawki do konstytucji Ukrainy w tej kwestii, przygotowań do przeprowadzenia wyborów lokalnych na terytorium Donbasu oraz formuły Steinmeiera. Według Scholza, prezydent Ukrainy zgodził się, że Kijów przedstawi te projekty ustaw w mińskiej grupie kontaktowej do dyskusji z przedstawicielami separatystów z Doniecka i Ługańska. „To jest dobry postęp" – relacjonował Scholz, ponieważ „to jest to, co zostało uzgodnione w porozumieniach mińskich". Ciekawe, że Zełenski niczego takiego nie mówił podczas wspólnej konferencji z Scholzem w Kijowie 14 lutego. Później też nie. Więc jedynym publicznym stwierdzeniem takich obietnic Zełenskiego są słowa Scholza po spotkaniu z Putinem. Co ciekawe, podobne doniesienia o rzekomych ustępstwach Kijowa w sprawie porozumień mińskich zgłaszał wcześniej w Moskwie Emmanuel Macron. Scholz był jednak bardziej szczegółowy. Jeśli to jego wymysły, to bardzo źle. Jeśli ujawnił, co prezydent Ukrainy mu sugerował za zamkniętymi drzwiami – też źle. Tak czy owak, takie zachowanie z pewnością nie poprawiło i tak fatalnych już notowań Niemiec nad Dnieprem. ■

NIEMIECKIE EMBARGO NA BROŃ DLA UKRAINY JEST KWESTIĄ PONADPARTYJNEGO KONSENSUSU W TYM KRAJU. NIEMIECCY URZĘDNICY UZASADNIAJĄ TĘ POLITYKĘ, GŁÓWNIE POWTARZAJĄC FORMUŁKĘ O NADZIEI NA „POKOJOWE ROZWIĄZANIE" KONFLIKTU ROSYJSKO-UKRAIŃSKIEGO I PODKREŚLAJĄC KONIECZNOŚĆ PROWADZENIA DIALOGU NIEMIECKO-ROSYJSKIEGO.

eprasa.pl 77ed129928

Michał Rachoń



PEGASUS, roszczenia i Polska

Najciekawszym aspektem przyśpieszenia rozwoju afery Pegasusa, również w Polsce, są prawdopodobnie sprawy związane z polityką. Bo najnowsza odsłona afery – ta, w której występują polscy politycy – wydaje się związana ze zmianami, jakie nastąpiły na izraelskiej scenie politycznej wraz z odejściem Benjamina Netanjahu, wieloletniego premiera, śmiertelnego przeciwnika obecnego rządu tego państwa.

W polskiej przestrzeni politycznej temat oprogramowania izraelskiej firmy NSO o nazwie Pegasus zaczął żyć w drugiej połowie ubiegłego roku. Jednak pierwsze informacje dotyczące Polski pojawiły się dwa lata wcześniej. 19 września 2018 roku serwis niebezpiecznik.pl poinformował o raporcie organizacji CitizenLab, która dzień wcześniej wydała komunikat o własnych ustaleniach dotyczących oprogramowania firmy NSO, które z kolei dwa lata wcześniej stało się przedmiotem międzynarodowej afery i śledztwa dziennikarskiego w wyniku błędu, jaki popełniły służby Zjednoczonych Emiratów Arabskich. ZEA próbując włamać się do telefonu międzynarodowego działacza praw człowieka Ahmeda Mansoora, przesłały do niego zainfekowany link, który obiekt ataku uznał za podejrzany. Dostarczył go zatem do CitizenLab, gdzie w kontrolowanych warunkach przeprowadzono analizę sposobu działania mechanizmu, do którego prowadzić miał zainfekowany link. W ten sposób świat dowiedział się o nowych nieznanych wcześniej błędach w oprogramowaniu telefonów marki Apple, z których korzystała firma NSO – producent oprogramowania Pegasus. Apple kilka dni później załatało swój system operacyjny. W momencie aktualizacji systemów na telefonach ówczesne wersje programu przestały działać, z całą pewnością budząc zaskoczenie funkcjonariuszy służb na całym świecie. Jednocześnie świat dowiedział się o samej firmie i o jej flagowym produkcie, który służy do łamania zabezpieczeń telefonów komórkowych i uzyskiwania dostępu w zasadzie do całej ich zawartości.

CitizenLab

W swoim raporcie CitizenLab zamieściło listę państw, na terenie których zarejestrowano aktywności, uznane przez analityków CitizenLab za ślady działania oprogramowania izraelskiej firmy. Dwa dni po opublikowaniu raportu stacja TVN wyemitowała reportaż, w którym powołując się na kontrole NIK, uznała, że polskie służby, a konkretnie CBA, zakupiły oprogramowanie Pegasus. Sprawa Pegasusa nabrała nowego rozpędu dwa lata później wraz z szokującym i głośnym na cały świat zabójstwem Jamala Khashoggiego, saudyjskiego opozycjonisty i dziennikarza „The Washington Post", który 2 października 2018 roku pojawił się w saudyjskim konsulacie w Istambule, żeby dokonać formalności związanych z planowanym małżeństwem. Z konsulatu już nie wyszedł, został na jego terenie zamordowany. Kilka miesięcy później przyjaciel zabitego dziennikarza, obywatel Kanady, sam będący również przeciwnikiem saudyjskich władz, wytoczył proces izraelskiej firmie NSO, twierdząc, że on sam, podobnie jak Khashoggi, był szpiegowany za pomocą tego oprogramowania. To właśnie ta sprawa stała się powodem, dla którego stworzona przez byłych funkcjonariuszy izraelskiego wywiadu firma stała się problemem dla Izraela. W ślad za tym procesem nastąpiły następne, w tym również procesy, które Izraelczykom wytoczyły międzynarodowe korporacje, takie jak Apple czy Facebook. Apple uznało na przykład, że pracownicy tej firmy dla realizowania swoich operacji musieli zaakceptować warunki użytkowników systemu iCloud, po czym je świadomie złamali.

Śledztwo dziennikarskie

Sprawa Pegasusa stała się również przedmiotem międzynarodowego śledztwa dziennikarskiego. W jego ramach ujawniane były kolejne państwa, które używały tego programu. Wśród nich Armenia, Azerbejdżan, Bahrajn, Jordania, Kazachstan, Maroko, Panama, Rwanda czy wspomniana Arabia Saudyjska. W ramach śledztw okazywało się między innymi, że za pomocą tego programu podsłuchana została wymiana informacji pomiędzy najbogatszym człowiekiem świata Jeffem Bezosem a saudyjskim księciem Mohammedem bin Salmanem. Dziennikarze informowali, że Ruanda za pomocą zakupionego od Izraela programu podsłuchiwała amerykańskich dyplomatów akredytowanych w tym państwie oraz że co najmniej kilka amerykańskich służb zakupiło i przez jakiś czas używało tego oprogramowania. Między innymi FBI, które ostatecznie z zakupu się wycofało po zmianie władzy w Waszyngtonie. I to właśnie sprawy związane z polityką są być może najciekawszym aspektem przyśpieszenia rozwoju afery Pegasusa, również w Polsce. Bo najnowsza odsłona afery – ta, w której występują polscy politycy – wydaje się związana ze zmianami, jakie nastąpiły na izraelskiej scenie politycznej wraz z odejściem Benjamina Netanjahu, wieloletniego premiera, śmiertelnego przeciwnika obecnego rządu tego państwa.

Bat na Bibiego

Al Jazeera w swoich materiałach opisujących dziennikarskie śledztwo, stwierdza, że to lista państw, z którymi swoje relacja budował Netanjahu, stanowi wykaz klientów firmy NSO. W skrócie: każdy lider polityczny świata, z którym spotykał się Bi-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 77ed129928

bi, miał dostać ofertę zakupu Pegasusa. Wiele państw miało z oferty skorzystać. Jednak 13 czerwca 2021 roku Netanjahu przestaje być premierem Izraela i władzę przejmują jego konkurenci, a ponieważ aby skutecznie wyrugować Netanjahu z polityki, trzeba posadzić go za kratki – a to idzie na razie opornie – wydaje się, że rozwijająca się afera Pegasusa uznana została za dobre narzędzie do upieczenia kilku pieczeni na jednym ogniu.

Mosad i specgrupa Lapida

20 czerwca, czyli zaledwie tydzień po przejęciu władzy od Netanjahu, nowy izraelski rząd formuje grupę zadaniową, w skład której wchodzą najważniejsi politycy i szefowie służb. Dzień później informuje o nim portal Axios, pisząc: „W skład zespołu międzyagencyjnego wchodzą przedstawiciele ministerstwa obrony, które odpowiada za licencje eksportowe na zbrojenia, ministerstwa spraw zagranicznych, ministerstwa sprawiedliwości, agencji szpiegowskiej Mosadu, wywiadu wojskowego i innych agencji". Zespół ma za zdanie ograniczyć straty polityczne i wizerunkowe, jakie ponosi w związku z aferą Izrael. W skład zespołu wchodzą m.in. Benny Gantz oraz Yair Lapid – bo to właśnie ci politycy pełnią funkcje szefów resortów spraw zagranicznych i obrony.

Miesiąc później, niczym gin z butelki, do liberalnych mainstreamowych mediów w Europie i USA trafia przedziwny przeciek – 50 tysięcy numerów telefonów, które miały być celem Pegasusa. Wśród nich są numery dziennikarzy takich redakcji jak: AFP, „The Wall Street Journal", CNN, „The New York Times", Al Jazeera, „El Pais", „Le Monde", Bloomberg, Reuters, „The Economist"... Tak zbudowany „przeciek" jest gwarancją na to, że sprawa stanie się międzynarodowym skandalem. I faktycznie stała się nim. Co istotne, poza początkowymi informacjami znajdującymi się w raporcie CitizenLab o Polsce jako jednym z państw, w których program działał, nie pojawiał w zasadzie żaden polski wątek. Do czasu.

Polska blokuje roszczenia

Miesiąc później w politycznym sporze pomiędzy Polską a Izraelem pojawił się nowy wątek. Polska przeprowadza nowelizację Kodeksu Postępowania Administracyjnego, która uniemożliwia wzruszenie decyzji sądów dotyczących spraw majątkowych. Izrael uznał tę sprawę za atak na własne roszczenia majątkowe w Polsce. W sierpniu 2012 roku prezydent Andrzej Duda podpisał tę nowelizację. Tego samego dnia izraelski szef resortu obrony oraz członek specjalnego zespołu do spraw Pegasusa, Benny Gantz, wydaje oświadczenie, w którym stwierdza, że ochrona polskiej własności przez polską ustawę jest naruszeniem pamięci ofiar Holocaustu. Inny członek tej samej grupy, Yair Lapid, szef MSZ, oświadcza to samo i dodaje, że przebywający wówczas na urlopie w Polsce ambasador Marek Magierowski nie powinien wracać do Izraela, bo jest w tym państwie niemile widziany. W tym momencie dyplomatyczna wojna między Polską a Izraelem osiąga apogeum. Dokładnie dwa miesiące później izraelski resort obrony, kierowany przez Bennego Gantza, skraca liczbę państw, do których można eksportować tego rodzaju oprogramowanie, ze 102 do 37. Na nowej liście nie ma m.in. Polski i Węgier. „Gazeta Wyborcza" uznaje to wówczas za rzekome „odebranie Polsce licencji" na Pegasusa.

Pudła rezonansowe w Polsce

Dokładnie miesiąc później, 20 grudnia, warszawscy korespondenci europejskich agencji informacyjnych dają komunikat, że oprogramowanie firmy NSO było używane w śledztwie przeciwko Romanowi Giertychowi przez polskie służby. Polskie służby odpowiedziały w tej sprawie jednoznacznie, że wszelkie działania kontroli operacyjnej w Polsce odbywają się legalnie i za zgodą sądu, a Roman Giertych jest podejrzanym w jednej ze spraw, jaką prowadzi polska prokuratura z zawiadomienia spółki giełdowej. Operacja ujawniania kulis działania firmy NSO jest sprawą daleko wykraczające poza polskie granice. Jest w sposób oczywisty rozgrywką pomiędzy służbami wywiadowczymi prowadzącymi swoje gry od wielu lat. Izrael jest oskarżany o udostępnianie oprogramowania szpiegowskiego reżimom z całego świata, szpiegowanie największych mediów na świecie, wspomaganie brutalnych reżimów. W Polsce to oprogramowanie stosowane było do ścigania przestępstw, a pomimo trwającej przez wiele tygodni kampanii politycznej nie udało się przedstawić choćby cienia dowodu na to, że oprogramowanie wykorzystane było ze złamaniem procedur sądowych. Jednak to właśnie Polska stała się powodem powołania komisji śledczej w Parlamencie Europejskim. Nie ma wątpliwości, że sprawa będzie wykorzystana do wywierania na Polskę wpływu. Warto przy tej okazji pamiętać, że spektakl, który przy tej okazji będzie się rozgrywał, jest tylko jego echem rozlegającym się z pudła rezonansowego, w którym chodzi o miliardy dolarów z polskich kieszeni, a nie o wynurzenia smutnego mecenasa albo kostycznego senatora. ■

eprasa.pl 77ed129928



ZAJMUJEMY SIĘ WASZYM **BEZPIECZEŃSTWEM ENERGETYCZNYM**

DYWERSYFIKUJEMY DOSTAWY GAZU
Kończymy z uzależnieniem Polski od dostaw ze wschodu. **Wydobywamy** gaz u wybrzeży Norwegii, stale zwiększając liczbę koncesji. **Importujemy** LNG z Kataru i USA. Mamy kontrakty na Litwie oraz koncesje w Pakistanie, Emiratach Arabskich i na Ukrainie.

AKTYWNIE **DZIAŁAMY** NA RZECZ BEZPIECZEŃSTWA ENERGETYCZNEGO EUROPY
Walczymy z monopolizacją rynku unijnego, angażujemy się w arbitraże i zawieramy nowe kontrakty. Przekonujemy europejskich partnerów do uniezależnienia Europy od wschodniego gazu. Jesteśmy regionalnym **liderem** zróżnicowania źródeł błękitnego paliwa.

REALIZUJEMY I **WSPIERAMY** STRATEGIĘ ENERGETYCZNĄ POLSKI
Magazynujemy gaz, wytwarzamy ciepło i prąd, inwestujemy w paliwa alternatywne, myślimy o Polsce w perspektywie **dekad**, nie miesięcy.

PGNiG

eprasa.pl 77ed129928



Piotr Nisztor



Jak Apple i Facebook walczą o wiarygodność i miliony

Na rozpętaniu afery Pegasusa zależało amerykańskim koncernom, których produkty zostały zhakowane przez izraelskie oprogramowanie. W ten sposób walczą one o ogromne pieniądze, broniąc swojej reputacji. Cały skandal obnaża też wpływy Big Tech-u na szczytach amerykańskiej polityki.

eprasa.pl 77ed129928

Niebezpieczna broń, stworzona pod kontrolą izraelskiego rządu do walki z terroryzmem, została wykorzystana przez niektóre kraje przeciwko dziennikarzom, działaczom opozycji, dysydentom oraz aktywistom walczącym o prawa człowieka i demokrację – taką narrację na temat systemu szpiegującego Pegasus stworzonego przez izraelską firmę NSO Group od wielu miesięcy próbują narzucić niektóre media, think thanki, a także politycy. Wszystko w interesie wpływowego lobby amerykańskiego Big Tech-u, a szczególnie dwóch koncernów – Apple i Facebook. Obydwa w sądach w USA złożyły pozwy przeciwko NSO, żądając od izraelskiej spółki wielomilionowych odszkodowań za nielegalną inwigilację użytkowników ich produktów. Pojawiające się publikacje i wypowiedzi to kluczowe dowody składane przez koncerny w tych sprawach. Chodzi bowiem nie tylko o ogromne pieniądze, lecz także o obronę budowanej przez lata reputacji. Apple uchodzi za producenta najbardziej bezpiecznych urządzeń, niemal niemożliwych do zhakowania. Z kolei należący do Facebooka WhatsApp – za szyfrowany komunikator, zapewniający użytkownikom poufność korespondencji i prowadzonych rozmów. Jednak system Pegasus dzięki lukom w oprogramowaniu był w stanie w obydwu przypadkach złamać zabezpieczenia, inwigilując zarówno użytkowników smartfonów czy laptopów z charakterystycznym jabłkiem w logo, jak i korzystających z popularnego komunikatora. Chodzi jednak nie tylko o biznes. Cała afera ma też swój aspekt polityczny. Ludzie Donalda Trumpa, byłego prezydenta USA, byli lub nadal są związani z NSO, a sama spółka miała powstać pod parasolem rządu jednego z najbliższych jego sojuszników – Benjamina Netanjahu. Z kolei partnerem w kancelarii reprezentującej koncern Apple w sporze z NSO jest były prokurator specjalny ścigający Trumpa i jego ludzi.

Spece z izraelskiego wywiadu wojskowego

Herzlija – to w tym położonym nad Morzem Śródziemnym mieście w północnym dystrykcie Tel Awiwu znajduje się siedziba założonej w 2010 roku spółki NSO Group. Nazwa pochodzi od pierwszych liter imion jej twórców: Niva Karmiego, Shaleva Hulio i Omri Laviego. O ich przeszłości i początkach firmy pod koniec stycznia 2022 roku pisał „The New York Times". Według gazety, Hulio i Lavi to programiści. Poznali się jeszcze w szkole. Razem odbyli obowiązkową służbę wojskową w jednostkach bojowych. Potem założyli wspólny biznes, tworząc system CommuniTake (tak zresztą nazywała się ich pierwsza firma), pozwalający przejąć kontrolę nad telefonem komórkowym za zgodą użytkownika. Nie odniósł on komercyjnego sukcesu. Jednak zainteresowały się nim izraelskie służby, a partnerem biznesowym obydwu programistów został Niv Karmi, były oficer AMAN-u – Dyrekcji Wywiadu Wojskowego Izraela, służący też w Mossadzie. NSO zaczęło rozwijać CommuniTake. To właśnie na tej bazie powstał system Pegasus. W jego opracowaniu i ciągłym udoskonalaniu od początku biorą udział byli członkowie tajnej komórki izraelskiego wywiadu wojskowego specjalizującej się w cyberwojnie – znanej jako jednostka 8200 o nazwie ARAM. Media wskazują, że NSO powstało pod auspicjami izraelskiego rządu, kierowanego od 2009 roku przez Benjamina Netanjahu.

Formalnie system Pegasus pojawił się na rynku w 2011 roku, rok po powstaniu firmy. Dzięki niemu udało się złapać Joaquina Guzmana Lopera, znanego bardziej jako El Chapo, narkotykowego króla z Meksyku. Z czasem system zaczęły kupować kolejne kraje. Wśród nich m.in. Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Mozambik, Jemen, Maroko, Uzbekistan, Tajlandia, Ghana, a także Niemcy, Węgry, Hiszpania i Polska. W sumie około 100 krajów. Niektóre media wskazywały, że Pegasus miał stać się dla Natenjahu narzędziem prowadzenia polityki zagranicznej. Jednym z przykładów była Panama. W 2012 roku po zakupie Pegasusa administracja Ricardo Martinelligo, ówczesnego prezydent tego kraju, zaczęła wspierać Izrael na arenie międzynarodowej. Panama sprzeciwiła się m.in. decyzji ONZ w sprawie podniesieniu statusu delegacji palestyńskiej. Za rezolucją głosowało 138 krajów. Przeciwko były Izrael, Panama i siedem innych krajów. Oficjalnie rzecznik Natenjahu cytowany przez „The New York Timesa" zaprzeczał, aby Pegasus był wykorzystywany do prowadzonej polityki zagranicznej. „Twierdzenie, że premier Netanjahu rozmawiał z zagranicznymi przywódcami i oferował im takie systemy w zamian za polityczne lub inne korzyści, jest kompletnym i całkowitym kłamstwem. Wszelka sprzedaż tego systemu, jak i podobnych produktów firm izraelskich za granicę, odbywa się za zgodą i nadzorem Ministerstwa Obrony, zgodnie z izraelskim prawem".

Doradca Trumpa doradcą NSO

Jednym z najbliższych sojuszników Natenjahu w styczniu 2017 roku po zaprzysiężeniu na 45. prezydenta USA stał się Donald Trump. Jedna z łączących ich nitek prowadziła do NSO Group. Dla twórców Pegasusa od maja 2016 do stycznia 2017 roku pracował gen. Michael Flynn. Formalnie doradzał zarejestrowanej w Luksemburgu spółce OSY Technologies należącej do NSO Group. W tym samym czasie aktywnie wspierał Trumpa w kampanii wyborczej. Po zaprzysiężeniu Trumpa na prezydenta USA, został doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego. Informacje o pracy na rzecz OSY Technologies ujawnił w dniu objęcia stanowiska – 22 stycznia

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 77ed129928

2017 roku – w tzw. Public Financial Disclosure Form (oświadczenie składane przez amerykańskich urzędników, w którym ujawniają źródła dochodu z 12 miesięcy przed objęciem stanowiska). Według „Timesa" Flynn na współpracy ze spółką NSO Group zarobił ponad 40 tys. dolarów. Były doradca Trumpa w czasie kampanii wyborczej pracował też dla funduszu Francisco Partners Management, w latach 2014–2019 głównego akcjonariusza NSO Group (obecnie izraelskie przedsiębiorstwo kontroluje fundusz Novalpina Capital). Flynn był doradcą Trumpa niespełna miesiąc. Odszedł w atmosferze skandalu, gdy okazało się, że w czasie kampanii wyborczej potajemnie spotykał się z przedstawicielami rosyjskiej ambasady, co początkowo zataił. Wątek ten był potem badany w ramach śledztwa dotyczącego tzw. Russiagate, czyli ingerencji przez Rosję w wygrane przez Trumpa wybory prezydenckie. Postępowanie nadzorował prokurator specjalny Robert Mueller, były dyrektor FBI. Na to stanowisko mianował go w maju 2017 roku Rod Rosenstein, ówczesny zastępca Prokuratora Generalnego USA. Te dwa nazwiska miały okazać się potem bardzo istotne w sprawie Pegasusa.

E-maile, które zdyskredytowały śledztwo

Trump od początku śledztwa przekonywał, że grupa Muellera realizuje zlecenie polityczne, szukając haków na niego oraz jego współpracowników. Potwierdzeniem jego słów stała się treść e-maili wysyłanych przez Petera Strzoka, agenta FBI, wchodzącego w skład zespołu śledczego Muellera, do Lisy Page, również pracownika Biura, prywatnie jego kochanki. Wiadomości pochodziły z okresu kwiecień 2015 – grudzień 2016, czyli m.in. prezydenckiej kampanii wyborczej. Strzok wyrażał się w nich bardzo niepochlebnie na temat Trumpa, nazywając go wielokrotnie „idiotą". Pisał, że kandydat na prezydenta jest „niezdolny do przedkładania interesu narodowego nad swój własny". Miał również naciskać, aby jeszcze przed zaprzysiężeniem Trumpa – mimo braku dowodów – nie zamykać prowadzonej przez FBI sprawy dotyczącej Flynna. Wiadomości Strzoka w grudniu 2017 roku znalazły się w posiadaniu Departamentu Sprawiedliwości. Część z nich odzyskano, mimo że zostały wcześniej skasowane. Decyzję o ich upublicznieniu podjął ten sam Rosenstein, który wcześniej mianował formalnie Muellara na prokuratora specjalnego. Media wskazywały jednak, że faktycznie decyzję w tej sprawie miał podjąć Trump. Treść e-maili wywołała burzę, uderzając w wiarygodność śledztwa w sprawie Russiangate. Uprzedzenia Strzoka do ówczesnego prezydenta podważyły jego bezstronność i obiektywizm. Po ujawnieniu skandalu Mueller osobiście zdecydował o odejściu agenta FBI z kierowanej przez niego grupy. Nie wiadomo jednak, skąd Departament Sprawiedliwości USA dowiedział się o e-mailach Strzoka oraz w jaki sposób wszedł w ich posiadanie. Czy jakąkolwiek rolę w tej sprawie odegrał system Pegasus? Nie wiadomo. Choć jedna z hipotez mówi, że informacje o istnieniu korespondencji ekipa Trumpa mogła otrzymać nieformalnie od sojuszników z Izraela. W końcu doskonałe relacje z NSO cały czas utrzymywał Flynn (związana z nim firma zajmująca się bezpieczeństwem oferuje bardzo zaawansowane usługi z zakresu informatyki śledczej, sugerujące związki z tą izraelską firmą). Jednak w tym czasie żadna amerykańska agencja formalnie nie posiadała Pegasusa. FBI nabyło system dopiero w 2019 roku.

Człowiek Trumpa kontra WhatsApp

Możliwości stworzonego i cały czas udoskonalanego przez NSO Group systemu poważnie zaniepokoiły największe amerykańskie koncerny technologiczne (tzw. Big Tech). Te same, które znalazły się na celowniku administracji Trumpa i były wielokrotnie publicznie krytykowane przez byłego już dziś prezydenta USA. W proteście przeciwko publikowanym treściom Facebook (podobnie jak Twitter) zablokował nawet jego konto. Kierowany przez Marka Zuckerberga koncern poszedł też na wojnę z NSO. W październiku 2019 roku pozew przeciwko izraelskiej firmie, z którą współpracował wcześniej były doradca Trumpa, złożyła należący do Facebooka spółka WhatsApp, twórca popularnego, szyfrowanego komunikatora. Pegasus przez kilka miesięcy wykorzystując błąd w aplikacji, mógł mieć bowiem dostęp do smartfonów korzystających z niej użytkowników. Z pozwu wynika, że w ten sposób inwigilowano 1400 osób, w tym dziennikarzy i obrońców praw człowieka.

Działania Facebooka wsparły inne amerykańskie koncerny. Microsoft, Aplhabet, Google i Cisco Systems system Pegasus nazwały „potężną i i niebezpieczną" technologią. Dla NSO Group przy sporze z WhatsApp pracuje Rod Rosenstein, zastępca prokuratora generalnego USA w administracji Trumpa. Jego angaż wzbudził spore kontrowersje ze względu na fakt, że nadzorował on rozpoczęte w 2017 roku śledztwo dotyczące działalności NSO Group, w tym nielegalnego użycia Pegasusa wobec amerykańskich obywateli. Podkreślano, że doradzając izraelskiej firmie, może wykorzystywać wiedzę z tego postępowania. Ronsensteina do sprawy zaangażowała kancelaria King & Spalding. Także jej udział w sporze z WhatsApp wzbudził sporo wątpliwości. Wcześniej reprezentowała ona twórcę popularnego komunikatora w innej sprawie. Według Facebooka – cytowanego przez portal cyberscoop.com – to konflikt interesów, który powinien dyskwalifikować kancelarię w pracy przy tym sporze na rzecz NSO.

eprasa.pl 77ed129928

CitizenLab nie odpowiada na pytania

Działania WhatsApp były dopiero początkiem wojny amerykańskiego Big Tech-u z NSO. W listopadzie 2021 roku pozew przeciwko izraelskiej firmie złożył koncern Apple, producent urządzeń od lat uznawanych za najbezpieczniejsze na świecie. Pegasus udowodnił, że ten wizerunek może być zafałszowany. System stworzony przez NSO był bowiem w stanie złamać zabezpieczenia produkowanych przez Apple laptopów, tabletów czy smartfonów, jednocześnie przechwytując zawarte na nich dane użytkowników. Pozew w imieniu amerykańskiego koncernu złożyła kancelaria prawna WilmerHall, w której partnerem jest Rober Mueller. Ten sam, który jako prokurator specjalny tropił nie tylko Trumpa, lecz także jego ludzi, w tym współpracującego z NSO gen. Flynna. Teraz jego zadaniem jest wygrać z izraelskim przedsiębiorstwem przed sądem.

Ma w tym pomóc CitizenLab, kanadyjskie laboratorium działające przy Uniwersytecie w Toronto, finansowane przez podmioty związane z miliarderem Georgem Sorosem. Organizacja ta od lat prowadzi badania nad użyciem Pegasusa. To właśnie na podstawie raportów opracowanych przez to kanadyjskie laboratorium zaczęto oskarżać m.in. Polskę o rzekomo masową inwigilację opozycji i dziennikarzy. Problem w tym, że z raportów CitizenLab nie wynika, na jakiej podstawie stwierdzono zainfekowanie Pegasusem kilku urządzeń należących do polskich obywateli. Dokumenty te są bardzo ogólne i nie zawierają żadnych dowodów, poza rzekomymi datami ataków na urządzenie. Ich wiarygodność mogą podważać też niejasne relacje CitizenLab z koncernem Apple. Przed publikacją wysłałem do kanadyjskiego laboratorium szereg pytań m.in. na temat tej współpracy. Ile koncerny Apple i Facebook przekazały na działalność kanadyjskiego laboratorium? Jakie projekty realizowało na zlecenie tych amerykańskich koncernów? Ile telefonów polskich obywateli zostało poddanych badaniu? Na ilu z nich odkryto obecność Pegasusa? CitizenLab nie udzieliło jednak żadnej odpowiedzi.

10 mln USD i opłacenie odszkodowań

Szczegółowe pytania dotyczące współpracy z CitizenLab wysłałem też do Apple. Koncern w odpowiedzi odesłał mnie do oświadczenia wydanego 23 listopada 2021 roku. Poinformował w nim o pozwie złożonym przeciwko twórcy Pegasusa. „NSO Group tworzy zaawansowaną, sponsorowaną przez państwo technologię inwigilacji, która umożliwia wysoce ukierunkowanemu oprogramowaniu szpiegującemu inwigilację ofiar" – stwierdził Apple, który przekonywał, że takie działania są podyktowane troską o użytkowników ich produktów, jednocześnie zaznaczając, że serwery koncernu nie zostały zhakowane. Koncern mocno podkreślał w oświadczeniu znaczenie działań podejmowanych przez CitizenLab. Obiecał, że takim organizacjom jak to kanadyjskie laboratorium przekaże w sumie 10 mln dolarów, aby wzmocnić wysiłki „w celu identyfikacji nadużyć cyberinwigilacji i pomocy w ochronie ofiar". Oprócz tego Apple zapewnił, że opłaci również wszelkie odszkodowania wynikające z procesów sądowych wytaczanych w związku ze sporządzanymi raportami. W oświadczeniu cytowany był dyrektor CitizenLab Ron Deibert: „Biję brawo Apple za pociągnięcie ich do odpowiedzialności za ich nadużycia i mam nadzieję, że dzięki temu Apple pomoże wymierzyć sprawiedliwość wszystkim, którzy padli ofiarą lekkomyślnego zachowania NSO Group". Zarówno raporty sporządzane przez laboratorium, jak i powstałe na ich podstawie materiały w mediach mają wzmacniać sądowe roszczenia Apple i Facebooka, jednocześnie odwracając medialną uwagę od wykorzystanych przez Pegasusa luk w systemach produktów obydwu koncernów. To nie wszystko, CitizenLab skupia się na piętnowaniu za użycie systemu NSO Group tylko wybranych krajów, takich jak na przykład Polska. Pomijając korzystające również z izraelskiego systemu m.in. Niemcy czy Hiszpanię. W obydwu krajach – mimo dużo mniej restrykcyjnych przepisów dotyczących stosowania kontroli operacyjnej niż w Polsce – nie ma zresztą żadnych protestów ani oskarżeń o rzekomą nielegalną inwigilację.

Biden wspiera big tech

Raporty CitizenLab budzą wątpliwości także z innego powodu. Z dostępnych w internecie dokumentów spraw Apple vs NSO Group i WhatsApp vs NSO Group wynika, że Pegasus ma nie pozostawiać śladów na urządzeniach, które infekuje. To podaje w wątpliwość jakość odkryć kanadyjskiego laboratorium oraz zakres faktycznej współpracy z koncernem Apple. Izraelskie przedsiębiorstwo załączyło do obydwu spraw też szereg materiałów, wskazujących na brak jakiegokolwiek dostępu do danych użytkowników, wobec których poszczególne kraje-klienci zastosowali Pegasusa. Obydwa koncerny mocno wspiera administracja Joe Bidena, który na fotelu prezydenta USA zastąpił Donalda Trumpa. 3 listopada 2021 roku izraelska firma została umieszczona w Stanach Zjednoczonych na czarnej liście za rzekome dostarczanie oprogramowania szpiegującego rządom, które używały go do „złośliwego ataku" na dziennikarzy czy aktywistów walczących o prawa człowieka i demokrację. Podstawą stały się doniesienia medialne oparte w dużej mierze na stanowiskach i raportach m.in. CitizenLab. ■

eprasa.pl 77ed129928



Ryszard Czarnecki

Międzynarodowe skrzydła „Pegasusa”

Lista podsłuchiwanych polityków na świecie jest tak długa, że zapewne nie zmieściłaby się nawet w specjalnym wydaniu „Nowego Państwa”.

Kogóż to na niej nie ma? Prezydenta Francji Emmanuela Macrona podsłuchiwały służby Królestwa Maroka (!). Zemsta dawnej kolonii? Nie, różnice interesów. Skądinąd inwigilowano również ówczesnego premiera Francji Edouarda Philippe’a oraz jego 16 (sic!) ministrów. Amerykanie za pośrednictwem Duńczyków podsłuchiwali ówczesną kanclerz Angelę Merkel, ale też ówczesnego szefa MSZ, obecnie po raz drugi wybranego na prezydenta RFN Franka-Waltera Steinmeiera. Podsłuchiwany był również ówczesny lider opozycji Peer Steinbrück. Skądinąd duńskie służby nie tylko pomagały Amerykanom śledzić Niemców, lecz także... własny rząd (!), bo szpiegowano MSZ Danii oraz resort finansów tego kraju, a także – co było szczególnie ważne dla Jankesów – firmę zbrojeniową z Kopenhagi „Terma”.

W Meksyku policja korzystała z 25 programów szpiegowskich (Pegasus był jednym z nich). Dość szybko dostęp do nich, dzięki przekupstwu, uzyskały również... kartele narkotykowe. Pegasus był też wykorzystywany przez władze Izraela w walce z aktywistami praw człowieka w Palestynie. Wiadomo o sześciu takich przypadkach. Wspomniane już tu Maroko wykorzystywało Pegasusa do szpiegowania Algierii. Oba kraje Maghrebu są w ostrym konflikcie. Chodzi o prawa do Sahary Zachodniej. Marokańczycy poszli „po bandzie” i podsłuchiwali aż 6 tys. Algierczyków, w tym czołowych polityków i – to szczególnie interesujące – dowódców sił zbrojnych.

Zjednoczone Emiraty Arabskie z kolei szpiegowały władze Jemenu: prezydenta i jego rodzinę, byłego premiera, byłego szefa MSZ, a na dodatek jeszcze ministra sportu. Skądinąd „monitorowana” była przez Pegasusa także ekszona szejka Raszida Al Maktuma, premiera ZEA i emira Dubaju. Owa księżniczka Haya bint Hussein uciekła do Londynu, ale i tam dosięgły ją gniew byłego męża i... Pegasus.

Pod koniec listopada ubiegłego roku doszło do gigantycznego skandalu podsłuchowego w Armenii. Okazało się, że podsłuchiwano 20 czołowych polityków tego najstarszego chrześcijańskiego państwa świata. Nie było dyskryminacji: „na warsztat” wzięto zarówno szefa rządu i ministrów, jak i liderów opozycji. Ba, załapał się również na tę listę były szef kontrwywiadu „Hajastanu” – tak brzmi ormiańska nazwa tego państwa.

Oprogramowanie Pegasus jest wykorzystywane zarówno w szpiegowaniu obcych krajów, jak i niejako „na użytek wewnętrzny”. Produkuje go firma izraelska NSO i choć USA to największy i najlepszy sojusznik Izraela, nie przeszkadzało to jej sprzedać tego oprogramowania do szpiegowania... Amerykanów (a konkretnie dyplomatów USA) w Afryce, w Ugandzie. Licencję zakupił tam gen. Muhoozi Kainerugaba, głównodowodzący UPDS, czyli Ugandyjskich Ludowych Sił Obrony.

Bardzo ciekawe są ustalenia międzynarodowego śledztwa dziennikarskiego dotyczącego używania Pegasusa. Przedstawiciele 17 redakcji przestudiowali 50 tys. numerów telefonicznych inwigilowanych przez NSO. Udało się ustalić właścicieli zaledwie 2 proc. z nich. Na nieco ponad 1000 numerów przeszło 600 należało do polityków i wysokich urzędników państwowych, 189 – dziennikarzy, 85 – aktywistów praw człowieka. Nie można jednak ponoć mówić na 100 proc. o inwigilacji, jedynie o próbach takiej inwigilacji. Nie da się tego zbadać bez sprawdzenia konkretnego smartfona. Zgodę na to wyraziło niespełna 70 osób z tej listy: na 37 telefonach komórkowych odnaleziono ślady inwigilacji. Jednak system ten potrafi zacierać ślady ingerencji, a więc po pewnym czasie trudno stwierdzić, czy podsłuch i skanowanie SMS-ów miały miejsce czy nie.

Śledztwo to jednak ustaliło, że w dziewięciu krajach na czterech kontynentach (Azja, Afryka, Ameryka Łacińska i Europa) służby używały Pegasusa. Te kraje to: Maroko i Rwanda, Meksyk oraz kraje azjatyckie: Indie, Arabia Saudyjska, ZEA, Bahrajn, Kazachstan i Azerbejdżan oraz europejski „rodzynek” – Węgry. Na tej liście krajów używających Pegasusa nie do walki z przestępcami, tylko do inwigilowania opozycji czy dziennikarzy, nie ma Polski... ■

eprasa.pl 77ed129928

Małgorzata Matuszak

Czym jest... piekło

Piekło istnieje. Diabeł też. Wbrew temu, że większość ludzi, nawet katolików, w ich istnienie nie wierzy. To właśnie, że udało się szatanowi przekonać ludzi, iż jego i piekła nie ma, jest jego największym zwycięstwem. Jeśli zaś wierzymy w Boga, nie możemy jednocześnie wątpić w istnienie osobowego zła, jakim jest diabeł, i miejsca czy stanu, w którym zło to tryumfuje. Diabeł to upadły anioł, byt zatem duchowy, nie mniej jednak realny i na wskroś inteligentny, stworzony przez Boga, ale przeciw Niemu się buntujący. Leszek Kołakowski w „Rozmowach z diabłem" tak pisze o sposobach oddziaływania diabła na naszą wyobraźnię i nasze uczucia: „Trzy są rodzaje operacji diabelskich na człowieku: kuszenie, obsesja i opętanie; z pierwszym demon na wszystkich ludzi nastaje, drugą tylko w niektórych godzi, trzecia wreszcie rzadko mu się udaje, ale też męka to i groza straszliwa". Celem diabła zawsze jest działanie na szkodę człowieka – wszystkie jego poczynania, podstępne i przebiegłe, prowadzą do tego, byśmy i my przeciwstawili się Bogu. Byśmy odrzucili Jego miłość.

Kiedyś piekło postrzegano przede wszystkim jako miejsce. Według stereotypowych jego wyobrażeń, w jego centralnym miejscu stoi wielki kocioł, wewnątrz którego gotują się grzesznicy, wokół zaś biegają diabły z widłami, dręczący nieszczęśników bez końca. Czy jednak trzeba tak dosłownie odbierać te artystyczne wizje piekła? Raczej nie, choć bez wątpienia to miejsce przerażające, ciemne, beznadziejne. Każe je sobie wyobrazić na przykład św. Ignacy Loyola w swoich „Ćwiczeniach duchownych" po to, by nie chcieć nigdy tam trafić. Widzieli je także wielcy mistycy Kościoła. Święta Faustyna na przykład opisuje piekło jako bezkresną i ciemną przestrzeń, „straszne lochy", „otchłanie kaźni" pełne duszących dymów, gdzie grzeszne dusze poddawane są bez końca mękom.

W innym rozumieniu piekło to stan fizyczny bądź psychiczny, pewne przeżycie lub odczucie duchowe. Poucza nas o tym Katechizm Kościoła katolickiego, który w punktach 1033–1037 streszcza całe, odwieczne nauczanie Kościoła na temat piekła. Czytamy tam, iż piekło istnieje, to nie Bóg jednak jest tym, który pcha człowieka w jego otchłań. Jest to decyzja samego człowieka, który mówi Bogu: „Nie potrzebuję Twojej miłości, ja sam się zbawię", który oddziela się od Boga. Piekło to właśnie owo „Ja sam!" rozciągnięte na wieczność, poczucie niewyobrażalnego osamotnienia i cierpienia, wynikającego z oddzielenia od Boga i nienawistnej obecności demonów.

Niekiedy sami bądź wskutek niesprzyjającego splotu wydarzeń wpędzamy się, bezradni, w otchłań dojmującego cierpienia psychicznego, w pułapkę bez wyjścia, w otchłań cierpienia. To również może być piekło. Doświadczamy go, gdy nie dostrzegamy iskierki nadziei i światła, gdy powoli umieramy, nie widząc znikąd pomocy i ratunku. A są nimi wiara i nadzieja, które pozwalają się nam dźwignąć z piekielnej sytuacji.

Święta Faustyna opisuje piekło jako „otchłanie kaźni" pełne duszących dymów, gdzie grzeszne dusze poddawane są bez końca mękom.

Piekło istnieje w każdej sytuacji, w której zwycięża zło, a dobro takiemu stanowi rzeczy się nie przeciwstawia, pozwalając złu działać. Istnieją jednak sytuacje, w których dobro wydaje się bezsilne. Zło bierze górę, unicestwiając wszystko, co dobre. Takim złem jest wojna. Wszyscy, którzy ją przeżyli, i ci, którzy jej doświadczają, są w swoich przekazach jednomyślni: wojna to piekło. Niesie ze sobą śmierć, zniszczenie, cierpienie niewinnych ludzi. W imię czego? Tego, że ktoś uważa się za Boga? Stawia siebie jako pana życia i śmierci? Mówi: „Ja sam", „Dla swojego interesu jestem w sanie zrobić wszystko", nie zważając na konsekwencje, na to, ile cierpienia zada innym, ile istnień unicestwi. Nie zważa na to, jak będzie wyglądać świat. Czy jeszcze będzie świat. Przynajmniej w takiej formie, jaką znamy. Wojna to zło, któremu trzeba przeciwdziałać tak dalece, jak to możliwe. Chociaż możliwości, jakie mamy w paktowaniu ze złem, są ograniczone, jeśli nie chcemy ze złem współdziałać. Do tego potrzeba wielkiej mądrości. Miejmy nadzieję i módlmy się o to, by mądrość i dobro zawsze zwyciężały. ■

eprasa.pl 77ed129928



Dariusz Jarosiński



„PRZEPRASZAM, CO GŁOWA NADUŻYŁ”

eprasa.pl 77ed129928







1. Por. Zygmunt Błażejewicz (trzeci z prawej strony) wśród dowódców 5. Wileńskiej Brygady AK, Podlasie 1945 r.
2. Por. Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt", dowódca 1. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK na Białostocczyźnie, 1945 r.
3. Zygmunt Błażejewicz przy symbolicznym pomniku w roku 2007. Napis na powstałej w 1990 roku tablicy brzmi: „Pomnik ten pochodzi z okresu, w którym gwałt uchodził za męstwo, a cnota i patriotyzm były reliktami przeszłości"

Porucznik Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt" należał do najbardziej wyklętych przez komunistów żołnierzy. I nic dziwnego – nie miał litości dla wrogów Polski, tylko z jego ręki zginęło kilkudziesięciu bolszewików – oficerów, żołnierzy NKWD, funkcjonariuszy UB, szpicli, a wszystkie stoczone pod jego dowództwem bitwy, potyczki z bolszewią kończyły się zwycięstwem. Za głowę por. „Zygmunta" komuniści wyznaczyli nagrodę 100 tysięcy złotych.

FOT. BOGUSŁAW ŁABĘDZKI, ARCH (2)

eprasa.pl 77ed129928

1 kwietnia minie 5. rocznica śmierci por. Zygmunta Błażejewicza „Zygmunta", kresowego zagończyka, dowódcy plutonu szturmowego 6. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej por. Adama Boryczki „Tońka", dowódcy 1. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", zwycięskiego dowódcy bitwy w Miodusach Pokrzywnych z 18 sierpnia 1945 roku, jednej z największych bitew polskiego podziemia niepodległościowego z siłami NKWD, komunistycznego WP i UB.

Na obczyźnie

Choć „Zygmunt" słynął z twardego charakteru, który od swoich żołnierzy wymagał niemal bezwzględnego posłuszeństwa i karności, to po wileńsku też był człowiekiem szczerym, z „sercem na dłoni". Dbał o podkomendnych, nie szafował ich życiem. Posiadał jakiś nadprzyrodzony wręcz instynkt żołnierski, który nigdy go nie zawodził, nawet w najtrudniejszych sytuacjach nie tracił opanowania.

Jesienią 1945 roku, po rozformowaniu 5. Wileńskiej Brygady AK, por. Błażejewicz zdecydował się wraz z żoną Alicją, sanitariuszką „Krystyną" z 5. Brygady, wyjechać z Polski za granicę. Była to prawdopodobnie najtrudniejsza decyzja w jego życiu – w kraju okupowanym przez Sowietów zostawiał swoich żołnierzy, przyjaciół, rodzinę. „Nadszedł pamiętny dla mnie dzień – października 1945" – wspominał po latach Zygmunt Błażejewicz. „W tym dniu w uzgodnieniu z »Łupaszką« przekazałem »Wiktorowi« dowództwo nad resztą 1. szwadronu i opuściłem partyzantkę. Od Ojczyzny (Londyn) przez ręce majora »Łupaszki« otrzymałem 20 dolarów w złotej monecie".

Przez kilkadziesiąt lat Zygmunt Błażejewicz z żoną Alicją tułali się po świecie – początkowo mieszkali w Niemczech, później w Anglii, przez 12 lat ich dom rodzinny znajdował się w Argentynie. W 1960 roku osiedlili się w USA, gdzie co jakiś czas zmieniali miejsce zamieszkania. W 1981 roku, po dwudziestu latach pracy fizycznej w Stanach Zjednoczonych, Zygmunt Błażejewicz przeszedł na emeryturę. W swoim życiu imał się różnych zawodów, w Anglii był górnikiem i serowarem, w Argentynie cieślą, w USA nocnym stróżem, monterem, mechanikiem, preparatorem – wypychaczem zwierząt.

W 1994 roku zmarła po ciężkiej chorobie jego ukochana żona Alicja. Na emigracji zmagał się z kłopotami finansowymi. Państwo polskie jednorazowo udzieliło mu pomocy finansowej w przeliczeniu na amerykańską walutę w wysokości około 400 dolarów. Po 1990 roku „Zygmunt" kilkakrotnie odwiedzał Polskę, pierwszy raz przyjechał do ojczyzny w 1998, a ostatni w 2007 roku. Zmarł 1 kwietnia 2017 roku w mieście Mesa w stanie Arizona. Był najdłużej żyjącym dowódcą oddziału partyzanckiego podziemia niepodległościowego.

Odznaczony był dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej, medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939" oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. 1 marca 2017 roku awansowany został do stopnia pułkownika.

Pierwsze działania zbrojne „Tońka"

Zygmunt Błażejewicz był rówieśnikiem odrodzonej po latach niewoli II RP. Urodził się 20 września 1918 roku w Witebsku, na Kresach należących ongiś do I RP. Ojciec Zygmunta, Kazimierz, był inżynierem miernictwa, czyli geodetą, po studiach w Moskwie, a matka, Maria z domu Raubo, ukończyła Instytut Stomatologiczny w Petersburgu. Przodkowie Zygmunta byli Tatarami krymskimi, w Rzeczypospolitej osiedlili się w XV wieku, kiedy byliśmy potęgą w Europie. Zygmunt wychował się w katolickiej, religijnej rodzinie.

Ponieważ Polska na mocy traktatu ryskiego zawartego ze Związkiem Sowieckim utraciła ziemie I Rzeczypospolitej, jesienią 1922 roku rodzina Błażejewiczów ewakuowała się z Witebska do Polski. Początkowo państwo Błażejewiczowie zatrzymali się w majątku dziadka Zygmunta ze strony ojca w powiecie oszmiańskim, a w roku 1923 zamieszkali w Wilnie. Mieszkali na Pohulance przy ulicy Objazdowej 8. Ojciec Zygmunta, Kazimierz Błażejewicz, pełnił funkcję radnego miasta ze Stronnictwa Narodowego, świetnie sobie radził zawodowo i finansowo, jako przysięgły mierniczy zatrudniał kilkunastu techników. Zygmunt uczęszczał do renomowanej szkoły powszechnej „Dziecko Polskie" prowadzonej przez panią Stefanię Świdową. Do tej szkoły chodził również m.in. Czesław Miłosz.

Po złożonym egzaminie maturalnym w roku 1938 w Gimnazjum oo. Jezuitów odbył szkolenie wojskowe w Szkole Podchorążych Rezerwy w słynnym 5. pułku piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego w Wilnie. Niemal prosto po zakończonym szkoleniu i otrzymaniu dyplomu, kapral podchorąży Zygmunt Błażejewicz został zmobilizowany pod koniec sierpnia 1939 roku i otrzymał przydział do 6. pułku piechoty Legionów. W kampanii wrześniowej walczył z Niemcami w ramach Grupy

eprasa.pl 77ed129928

Operacyjnej „Wyszków" jako działonowy moździerza. Po zakończeniu walk dotarł szczęśliwie do Wilna i jeszcze w listopadzie tego samego roku złożył przysięgę konspiracyjną w grupie SZP – ZWZ „Niemenczyn", przyjmując pseudonim „Zygmunt".

Zagrożony aresztowaniem, w maju 1940 roku opuścił Wilno i przebywał u znajomych w wiejskich majątkach na Wileńszczyźnie – w Landwarowie, Dorże. Jedynie sporadycznie i na krótko odwiedzał Wilno. Z majątku Świeniec wyruszył we wrześniu 1943 roku w drogę do oddziału partyzanckiego por. Adama Boryczki „Brony", „Tońka", cichociemnego. Oddział liczył początkowo 18 osób, w nieodległej przyszłości stanowił on kadrę dowódczą 6. Wileńskiej Brygady AK. „Zygmunt" trafił do patrolu por. Piotra Motylewicza „Szczepcia", tak samo jak „Tońko", cichociemnego. Obóz oddziału znajdował się w Puszczy Rudnickiej niedaleko wioski Rudnia i Popiszki nad jeziorem Popis.

Już jesienią 1943 roku oddział „Tońka" zaczął pierwsze działania zbrojne, zwalczał przede wszystkim sowieckie bandy nękające miejscową ludność. Pod koniec grudnia podjęta została współpraca z oddziałem por. Gracjana Fróga „Szczerbca", późniejszą 3. Brygadą. W styczniu 1944 roku oba oddziały stoczyły zaciętą bitwę z ugrupowaniem litewskich i niemieckich żołnierzy we wsi Mikuliszki. W bitwie zginął niezwykle lubiany przez żołnierzy, utalentowany oficer, cichociemny por. Piotr Motylewicz „Szczepcio". Wspólnych akcji zbrojnych wileńskich oddziałów było kilka. Bardzo dobrze rozumieli się dowódcy, żołnierze, prezentowali podobny poziom wyszkolenia, uzbrojenia. Wyróżniający się w boju „Zygmunt" otrzymał 6 lutego 1944 roku nominację na podporucznika.

W marcu 1944 roku do oddziału por. „Tońka" dołączył oddział por. Piotra Słoniny „Piotra". Licząca prawie 200 żołnierzy formacja otrzymała nazwę 6. Wileńska Brygada AK. Dowódcą Brygady został mjr Franciszek Koprowski „Konar", cichociemny, olimpijczyk z Amsterdamu w pięcioboju nowoczesnym. Żołnierze, w tym również „Zygmunt", nie kryli rozczarowania, że ich szanowanego, lubianego dowódcę, por. „Tońka", odsunięto na bok.

▶ Sekcja egzekucyjna

6. Wileńska Brygada AK nie wzięła udziału w lipcowej operacji „Ostra Brama" – nie zdążyła dotrzeć na koncentrację. Zagrożeni aresztowaniami przez Sowietów żołnierze nowogródzkich i wileńskich oddziałów partyzanckich podejmowali próby przedostania się do Polski centralnej. Również ppor. „Zygmunt" z czternastoma żołnierzami wyruszył 26 lipca w kierunku Warszawy – wcześniej uzyskał pozwolenie na wymarsz od komendanta „Tońka". Major Koprowski „Konar" 17 lipca został aresztowany przez NKWD i wywieziony do łagrów. W grupce żołnierzy z „Zygmuntem" szedł m.in. kapral Lucjan Minkiewicz „Wiktor", przyszły dowódca odtworzonej na Białostocczyźnie 6. Wileńskiej Brygady AK.

Przyfrontowy teren naszpikowany był dosłownie oddziałami NKWD. Codziennie natykali się na sowieckie patrole, codziennie ocierali się o śmierć. Głodni, wycieńczeni, z bagażem koszmarnych przygód, żołnierze „Zygmunta" dotarli pod koniec sierpnia 1944 roku w okolice Bielska Podlaskiego. Z piętnastoosobowej grupy doszło siedmiu partyzantów. Dziękowali Bogu, że chronił ich w czasie potwornej drogi i darował jeszcze trochę życia.

„Tu nawiązaliśmy kontakt z ówczesnym komendantem Obwodu AK Bielsk Podlaski por. „Świdą" – wspominał Zygmunt Błażejewicz. Po zorientowaniu się w sytuacji (Powstanie Warszawskie upadło) i załatwieniu formalności zgodziłem się na pozostanie w tymże Obwodzie, zachowując broń. Za wikt najałem się za pastucha na kolonii Wólka Biszewska u państwa Żurawskich. Reszta zakwaterowała się jak wypadło u okolicznych gospodarzy. Roboty miałem sporo – 6 krów i 14 owiec".

W dzień pasał krowy i owce, a w nocy spał z pistoletem pod poduszką i granatem w kieszeni. Któregoś dnia postanowił wracać do Wilna. W drodze towarzyszyło mu dwóch żołnierzy – „Kizak" i „Orwid". Żołnierze siatki terenowej AK odradzali im wyprawę do Wilna, uważali to za szaleństwo. W jednej z wiosek trafił się sołtys – szpicel, który doniósł NKWD o ich pobycie. Zostali zaskoczeni w nocy w czasie snu, kiedy akurat jeden z dwóch żołnierzy „Zygmunta", „Orwid", ciężko się rozchorował. „Do izdebki wepchnęło się 5 osób (początkowo myślałem, że 4), 2 kapitanów NKWD (1 w zielonej czapce z daszkiem), lejtnant, »starszyna« i ów sołtys z Kamionki" – opowiadał „Zygmunt". „Ruscy mieli tylko tokarewy – całe szczęście, byli bez automatów. Żołnierz z karabinem pozostał na dworze. [...] uniosłem się na ręku i wypaliłem drabowi w lewo – to jest w prawą pierś. [...] trafiony drab z dzikim rykiem rzucił się do drzwi, rozpychając sięgających za spluwy. [...] »Kizak« walił po

eprasa.pl 77ed129928

brzuchach, ja w piersi. Od mojej kuli zwalił się trafiony w serce kapitan (koalicyjka z tokarewem przecięta) i stojący obok z prawej sołtys z Kamionki, którego rąbnąłem w plecy. Wybiegł ranny na dwór, zarzęził i koniec. Do nóg zwalił się trafiony przez »Kizaka« »starszyna«. Ranny przez nas obu lejtnant też wypadł na dwór. Za nim, strzelając, wyskoczył »Kizak« i dobił siedzącego w kucki i celującego z tokarewa".

„Zygmunt" zrezygnował z dalszej drogi do Wilna. Partyzanci wrócili w okolice Bielska Podlaskiego. Należało jak najszybciej zająć się ciężko chorym „Orwidem". Na przełomie listopada i grudnia 1944 roku „Zygmunt" podporządkował się rozkazom nowego komendanta Obwodu AK Bielsk Podlaski, por. Janowi Trusiakowi „Koryckiemu". Z kilku partyzantów wileńskich utworzył sekcję egzekucyjną, której został dowódcą. W skład sekcji wchodzili: Lucjan Minkiewicz „Wiktor", nazywany przez „Zygmunta „ „Wićką" i Janusz Rybicki „Kukułka", później do nich dołączyli Witold Kozłowski „Pikuś" i NN „Julek". Na większe akcje komendant „Korycki" przydzielał „Zygmuntowi" miejscowych partyzantów. Likwidowani byli funkcjonariusze NKWD, UB, działacze PPR, szpicle oraz pospolici bandyci, choć tak naprawdę bolszewicy niczym nie różnili się od pospolitych bandziorów. Wyroki zazwyczaj „Zygmunt" wykonywał osobiście, partyzanci stanowili obstawę.

W nocy z 5 na 6 stycznia 1945 roku w miejscowości Boćki „Zygmunt" wraz z por. Stanisławem Gołaszewskim „Ostoją", miejscowym partyzantem, zlikwidowali starszego lejtnanta Aleksandra Dokszyna, oficera kontrwywiadu sowieckiego (Smiersz), na powiat Bielsk Podlaski oraz jego obstawę – funkcjonariusza UB i komendanta miejscowego posterunku MO. Przy sowieckim oficerze znaleziono m.in. spis szpicli z terenu gminy Boćki, co ułatwiło późniejszą robotę sekcji egzekucyjnej. „Zygmunt" opowiadał później, że posłał Dokszynowi „trzy kulki, które trafiły prosto w serce przebijając legitymację Smiersz". Sprawa zastrzelenia Dokszyna, wysokiej rangi oficera sowieckiego, który rozpracowywał miejscową siatkę AK, stała się głośna w okolicy. W lutym z Lucjanem Minkiewiczem „Wiktorem" i siedmioma innymi partyzantami zlikwidowali kilkuosobową załogę posterunku MO w Boćkach, która dawała się mocno we znaki miejscowej ludności.

27 lutego z właściwą sobie fantazją i brawurą przeprowadził „Zygmunt" ze swymi partyzantami akcję na załogę magazynu w Czajach Wólce. Załogę stanowili Sowieci – tzw. zaopatrzeniowcy i enkawudziści. „Zygmunt" wystąpił w płaszczu i czapce zastrzelonego półtora miesiąca wcześniej Dokszyna, udając sowieckiego sołdata. Tak tę akcję wspominał: „Szedłem pod rękę ze spotkaną Sowietką i paplałem: »Ja w Witiebskie na Gogolewskoj ulice rożdion«. Myślała, że idziemy na odbywającą się tam zabawę. »Wićka« pierwszy otworzył drzwi i natknął się na lejtnanta. Wywalił do niego z prawie przyłożonego pistoletu trzy razy. No, umarł. Siedmiu czy ośmiu podniosło ręce. Jeden pijany w sztok chwycił mnie za lufę pepeszy i nie chciał puścić. Sypnąłem mu serię w brzuch, bo reszta ruszyła do prycz po broń. Posiekaliśmy ich trochę".

„Mogli was tam wysiec co do jednego"

Porucznik Zygmunt Błażejewicz w sylwestra 1944 roku spotkał się z przybyłym na Białostocczyznę mjr. Zygmuntem Szendzielarzem „Łupaszką". „Łupaszka" i jego podkomendni zamelinowani na kwaterach w pobliżu Kiersnowa czekali na wiosnę, aby wyjść w pole i bić wroga.

5 kwietnia odbyła się koncentracja odtwarzanej 5. Wileńskiej Brygady AK w gajówce w Oleksinie nad rzeką Nurc. Na koncentrację stawił się por. „Zygmunt" ze swoją grupą egzekucyjną – z „Wićką", „Kukułką", „Pikusiem" i „Julkiem". „Zygmunt" objął dowództwo 1. szwadronu, jego zastępcą został Lucjan Minkiewicz „Wiktor". Szwadron początkowo liczył piętnastu żołnierzy, już w kilka dni później trzydziestu pięciu, a w szczytowym okresie osiemdziesięciu. Wszyscy podkomendni „Zygmunta" byli bardzo dobrze uzbrojeni, jednakowo umundurowani. Posiadali zdobyczne mundury zdobyte na żołnierzach KBW, a sprzęt, broń na Sowietach. Pozostałymi szwadronami dowodzili por. Romuald Rajs „Bury", por. Marian Pluciński „Mścisław" i ppor. Jan Zaleski „Zaja".

Już w kwietniu na rozkaz mjr. „Łupaszki" „Zygmunt" przeprowadził ze swoim szwadronem kilka akcji, m.in. zajął osadę Mała Narewka; urządził zasadzkę na kolumnę czterech samochodów jadących na szosie z Białegostoku do Wołkowyska i rozbroił jadących nimi milicjantów i sowieckich żołnierzy. Pod koniec kwietnia do szwadronu „Zygmunta" przydzielone zostały dwie sanitariuszki: Alicja Trojanowska „Krystyna", przyszła żona „Zygmunta", jak mawiał – „kobieta na całe życie", oraz Wanda Czarnecka „Danka", przyszła żona Lucjana Minkiewicza „Wiktora".

Długo by można wymieniać akcje bojowe przeprowadzone przez szwadron „Zygmunta"

eprasa.pl 77ed129928

– toczył on regularne bitwy z oddziałami sowieckich wojsk, likwidował komunistyczną agenturę, funkcjonariuszy UB. Dla uczczenia święta 3 maja, jak powiedział, zorganizował zasadzkę na samochód powracający z pochodu 1. majowego z milicjantami - zginęło siedmiu milicjantów i dwóch uzbrojonych członków PPR. 7 maja ponownie zaatakował posterunek MO w Boćkach, bo po pierwszej akcji milicjanci niczego się nie nauczyli – nadal współpracowali z NKWD, terroryzowali miejscową ludność. Po dwugodzinnej walce zginęło kilkunastu milicjantów i konfidentów, oficer NKWD starszy lejtnant Iwan Czernow i szeregowy sołdat NKWD. Zastępca komendanta posterunku MO, Marcin Aksiutycz, wyjątkowy zwyrodnialec, został powieszony przez partyzantów na wiejskim placu.

Zygmunt Błażejewicz oskarżany jest o niecne czyny na Białorusinach, mieszkańcach wsi Potoka w maju 1945 roku. Tak opisywał te wydarzenia po latach: „[...] mieszkańcy Domanowa i sąsiedniej Patoki [takiej nazwy używał Zygmunt Błażejewicz – przyp. D.J.] naprowadzili oddział NKWD (ok. 100 Ruskich) na dwór Hieronimowo, gdzie mieszkało 40 polskich rodzin przesiedlonych zza Buga. Skomunizowani chłopi chcieli zagarnąć ziemię przez nich uprawianą. Ruscy dwór spalili, a polskie rodziny obrabowano. Mieszkańcy Patoki i Domanowa byli wrogo nastawieni do nas, posiadali broń i współpracowali z NKWD. W odwet za ich postępek z rozkazu majora 20 maja obie te wsie spaliłem (pomimo gróźb dalszych represji ze strony komendanta NKWD). »Nu, kara za płochije otnoszenije«. W większości płonących zabudowań i stodół eksplodowała amunicja. Zlikwidowany też został sołtys Bekiesz, jego syn i jeszcze ktoś".

28 maja, po akcji na kolumnę sowieckich samochodów ciężarowych na drodze Hajnówka –Białowieża, szwadron „Zygmunta" został zaatakowany przez dużą grupę operacyjną NKWD i KBW. Atak nastąpił z zaskoczenia, nad ranem, kiedy partyzanci nocowali w osadzie puszczańskiej Majdan-Topiły. „Zygmunt" dokonał wówczas nie lada wyczynu ze swoimi partyzantami – zresztą nie po raz pierwszy i ostatni. Tak poprowadził walkę, że grupa operacyjna została rozbita – zginęło 15 bolszewików, a 16 zostało rannych. Śmierć ponieśli dwaj dzielni partyzanci „Zygmunta" – „Julek" i „Jastrząb", dowódcy drużyn białoruskich żołnierzy prawosławnych, którzy zdezerterowali z komunistycznego wojska, czterech partyzantów odniosło rany. Ranny został m.in. Dymitr Sprudin „Kim", jeden z trzech braci Sprudinów, żołnierzy AK – autorów fotografii wileńskich brygad, prawosławnych Rosjan pochodzących z tzw. białej emigracji. „Kim" dostał trzy kule w rękę. „Rękę »Kima« powyżej łokcia uciął chirurg – kapitan sowiecki, dezerter [...]. Przed operacjami wypijał szklankę »pierszaka« [samogonu – przyp. D.J.]. Używał do zaciskania żył spinaczy od bielizny. A operował perfekt – na żywca. W lipcu »Kim« z narzeczoną odwiedził szwadron. Twierdził, że jako ranny cywil przez swą dawną przyjaciółkę – sekretarkę Mikołajczyka, uzyskał z nim spotkanie. Mikołajczyk, bardzo pewny siebie, radził pozostać w lesie do amnestii! Później osadzimy was na Ziemiach Odzyskanych. Że takowe spotkanie się odbyło, nie mam podstaw nie wierzyć" (ze wspomnień Zygmunta Błażejewicza).

11 czerwca na odprawie mjr „Łupaszka" nie krył zdenerwowania, że bitwa w Majdanie mogła się źle skończyć. Miał wtedy Major powiedzieć do „Zygmunta: „Toż was tam mogli wysiec co do jednego". „Mogli, panie majorze" – ze spokojem odpowiedział „Zygmunt".

▶ Typowy wygląd kawalerzysty

Jeden z żołnierzy „Zygmunta", Jerzy Olszewski „Puszcza", tak wypowiadał się o swoim dowódcy: „Był to wybitnie zdolny oficer liniowy, trzymający swój oddział w ryzach i wielkiej dyscyplinie. Typowy wygląd kawalerzysty, wysoki, dobrze zbudowany blondyn, z nieodłącznym pistoletem maszynowym i mapnikiem, maszerował ze swym szwadronem zmieniając prawie codziennie miejsce postoju". W terenie cieszył się „Zygmunt" zasłużonym szacunkiem wśród patriotycznie nastawionej polskiej ludności, bronił jej przed komunistycznym terrorem, inaczej było ze skomunizowaną, oczywiście nie całą, społecznością białoruską, która współpracowała z NKWD, UB. W meldunkach NKWD, UB szacowano siły szwadronu „Zygmunta" na 550 ludzi, a faktycznie oddział liczył 80 żołnierzy.

26 czerwca żołnierze dwóch szwadronów – „Zygmunta" i por. Romualda Rajsa „Burego" – zdobyli stację kolejową Strabla nad Narwią, rozbroili posterunek straży kolejowej oraz rozstrzelali pięciu czerwonoarmistów sowieckiego posterunku wojskowego. Dwa tygodnie później szwadron „Zygmunta" zlikwidował 10-osobową grupę sowieckiej prokuratury wojskowej, w tym płk. Pawła Wasilijewa i trzech oficerów w stopniu kapitana.

Na początku sierpnia połączone siły 1. szwadronu i współdziałającego z 5. Brygadą od po-

eprasa.pl 77ed129928

czątku sierpnia oddziału ppor. Władysława Łukasiuka „Młota", w sumie setka doświadczonych, ostrzelanych partyzantów, wyruszyły za zgodą mjr. „Łupaszki" w rajd po Podlasiu na lewym brzegu Bugu. 8 sierpnia żołnierze „Zygmunta" i „Młota" stoczyli zwycięską walkę z 225-osobową grupą operacyjną komunistycznego wojska. Wielu jeńców chciało przejść pod komendę „Zygmunta", ale w związku z zapowiedzianą demobilizacją oddziałów podziemia niepodległościowego, „Zygmunt" nie mógł spełnić ich woli. „Powiedziałem, że nie mogę ich przyjąć, ale wierzę, że pozostaną dobrymi Polakami, a spotkanie z nami zadało kłam o »bandytach z lasu«" – opowiadał dowódca bojowego szwadronu.

Na uroczystości Święta Wojska Polskiego i Cudu nad Wisłą 15 sierpnia ściągnęła do miejscowości Jabłonna Lacka prawie cała 5. Brygada – 1. szwadron „Zygmunta", 2. szwadron „Burego", 4. szwadron „Mścisława". Ppor. „Młot" unikał koncentracji, więc jego 20-osobowy oddział pozostał na dotychczasowych kwaterach. Żołnierze wzięli udział w porannej Mszy świętej. Po Mszy „Zygmunt" ze stopni schodów kościoła wygłosił patriotyczne przemówienie do zebranych na uroczystości mieszkańców, podziękował też za serdeczne przyjęcie. Przy obiedzie gospodarze z siatki podziemia poskarżyli się „Zygmuntowi", m.in. na pacyfikacje okolicznych wiosek dokonywane przez grupę operacyjną NKWD i UB pod dowództwem mjr. Wasilija Gribki. „Zygmunt" obiecał, że wraz z ppor. „Młotem" „sprawę załatwią". I słowa dotrzymał.

Do starcia z grupą operacyjną bolszewików doszło już wkrótce, bo 18 sierpnia w Miodusach Pokrzywnych. Była to jedna z trzech największych bitew oddziałów podziemia antykomunistycznego. Tuż przed walką rozpętała się burza i część komunistycznych żołnierzy schroniła się w wielkiej stodole na skraju wsi. Partyzantom udało się podpalić stodołę, co w znacznym stopniu zdecydowało o ich sukcesie. Bitwa trwała dwie godziny, ogniem zajęło się kilka zabudowań wiejskich. O mały włos nie zginął „Zygmunt": „Gałązka nad skronią spadła ścięta kulą, zrobiło mi się zimno. Później gorąco. To była kula dla mnie. Wola Boska. Ten sam snajper z lornetką położył walki trzech moich żołnierzy strzałami w czoło!". W trakcie bitwy zginęło kilkunastu enkawudzistów, w tym dowódca ekspedycji sowieckiej mjr Gribko. W tej bitwie „Zygmunt" jeńców nie brał – według niego samego razem zginęło 61 bolszewików. „Uratował się tylko konny goniec mjr. Gribki i jego dwa konie, które spłoszone strzałami wyniosły go z pola walki".

Na marginesie należy dodać, że „Zygmunt" nie pozwalał rozstrzeliwać szeregowych żołnierzy komunistycznego wojska i KBW, a żołnierzy Armii Czerwonej, w przeciwieństwie do NKWD, traktował pozytywnie.

O północy z 27 na 28 sierpnia 1945 roku por. Zygmunt Błażejewicz i Alicja Trojanowska wzięli ślub w kościele w Osmoli. Sakramentu małżeństwa udzielił im ksiądz proboszcz Kazimierz Godlewski, kapelan partyzantów. Pan młody miał pożyczoną obrączkę ślubną, a panna młoda rodzinną pamiątkę – pierścionek z datą 1883 rok. Świadkami pary młodej byli dwaj partyzanci: „Wiktor" i „Bolek Biały". Bezpieczeństwa uroczystości strzegli partyzanci z erkaemami.

Na początku września 1945 roku Komenda Okręgu Armii Krajowej Obywateli wydała rozkaz rozformowania 5. Wileńskiej Brygady AK. Rozkaz ten był związany z akcją prowadzoną przez Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ) „rozładowywania lasów". W polu pozostał oddział kadrowy 1. szwadronu, na bazie którego wkrótce potem sformowano 6. Wileńską Brygadę AK.

4 października „Zygmunt" i „Krystyna" pożegnali się z żołnierzami 5. Brygady. W niedługim czasie na belgijskich paszportach wyjechali za granicę.

***

Po raz pierwszy Zygmunt Błażejewicz przyjechał do Polski w 1998 roku. Jego głównym przewodnikiem po kraju był przyjaciel – partyzant z 6. Brygady, Jerzy Gillern „Świst". „Zygmunt" odwiedził wówczas wielu jeszcze żyjących podkomendnych, partyzantów z 6. i. 5. Wileńskiej Brygady AK. Przyjeżdżał do Polski również na zaproszenie Fundacji „Pamiętamy", a także Ligi Republikańskiej.

Dziś nie ma już na tym świecie por. „Zygmunta", nie ma też jego żołnierzy, z którymi Pan Bóg mu jeszcze pozwolił spotkać się w Polsce za życia. Kiedy odjeżdżał z Polski i żegnał się z przyjaciółmi, bliskimi, na warszawskim lotnisku, zwykł był mawiać po wileńsku: „Przepraszam, co głowa nadużył". ■

_____

Przy pisaniu korzystałem z książki wspomnieniowej: Zygmunt Błażejewicz, „W walce z wrogami Rzeczypospolitej. Partyzanckie wspomnienia z Wileńszczyzny i Podlasia", opracował i przypisami opatrzył Jerzy Gillern, Zwierzyniec – Rzeszów 2013.

eprasa.pl 77ed129928



UBEZPIECZENIE PKO DOM

- Kilka pakietów do wyboru + **opcje dodatkowej ochrony** (np. sprzęt elektroniczny, garaż)
- Atrakcyjny **assistance dla domu** 24/7
- Wygodny **zakup online** w serwisie iPKO i aplikacji IKO

Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Materiał marketingowy. Ochronę ubezpieczeniową świadczy PKO TU SA. Informacje o ubezpieczeniu, w tym o włączeniach oraz ograniczeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela, znajdziesz w Warunkach Ubezpieczenia, dostępnych na pkobp.pl.

eprasa.pl 77ed129928

W styczniu 1962 roku ukazał się pierwszy numer „Zeszytów Historycznych”, wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu i środowisko paryskiej „Kultury”. Przez prawie 50 lat istnienia „Zeszyty” były jednym z najważniejszych ośrodków polskiej historiografii – tworzyły emigracyjny, historyczny dyskurs, ogniskowały istotny punkt refleksji zarówno nad polskimi dziejami, jak ich rolą w teraźniejszości. Stały się nie tylko inspirującym projektem wydawniczym, lecz także swego rodzaju nieformalną instytucją, której szefował współzałożyciel i szef Instytutu Literackiego oraz „Kultury”, Jerzy Giedroyć. Był jednym z ostatnich wielkich Redaktorów polskich, a jego osobowość stanowiła rdzeń intelektualnej działalności w Maisons-Laffitte.



Tomasz Łysiak

REDAKTOR I JEGO ZESZYTY



FOT. JERZY RUCIŃSKI/PAP

Zeszyty Historyczne" to zjawisko. Fenomen, który na gruncie historiografii, kultury i polityki znaczy tak wiele, iż w krótkim tekście – niejako z założenia – trudno nawet je wszystkie pobieżnie opisać i wymieć. Sam szereg znakomitych postaci, których pióro naznaczyło charakter kolejnych „Zeszytów" – historyków, wojskowych, ludzi kultury i polityków, dziennikarzy oraz „historyków-amatorów" – stanowi długą listę fascynujących osobowości. A co dopiero, gdy dodamy konteksty dotyczące poruszanych spraw i tematów, wspomnień i źródeł, recenzji czy tekstów o charakterze epitafijnym (m.in. wspaniale pisanych pożegnań wybitnych przedstawicieli polskiej historiografii), a wreszcie cały obszar refleksji politologicznej i politycznej. Dlatego w tym „rocznicowym tekście" pozwolę sobie jedynie na podzielenie się garścią rozważań – których osią będzie osoba Redaktora: Jerzego Giedroycia.

Z Armii Andersa

Minęło 60 lat od chwili, gdy ukazał się pierwszy „Zeszyt Historyczny" (8 stycznia 1962 roku), w 2010 roku wyszedł ostatni – o numerze 171. Redaktor nie żył od lat dziesięciu. Odeszła też Zofia Hertz, która zmarła w roku 2003. Brat Jerzego Giedroycia, Henryk, który podjął decyzję o tym, by właśnie ten „Zeszyt" był ostatnim, także nie doczekał się jego wydania – umarł 21 marca 2010 roku. „171" stanowi swego rodzaju podsumowanie działalności środowiska „ZH" – na część poświęconą Redaktorowi, zatytułowaną „Kustosz Pamięci", złożyły się artykuły m.in. Wojciecha Karpińskiego, Marka Kornata, Piotra Wandycza, Grzegorza Mazura, Rafała Stobieckiego, Grażyny i Krzysztofa Pomianów, a wreszcie Małgorzaty Ptasińskiej-Wójcik.

Kim był Giedroyć i z czego wyrosła idea „Zeszytów Historycznych"? Jaki był ich swoisty charakter, w jaki sposób dokonywano wyboru tekstów? To fundamentalne pytania – wyobraźnia nieubłaganie biegnie ku zdjęciom, na których widać Giedroycia siedzącego przy biurku, z charakterystycznym fularem na szyi, i biegnie nie bez kozery. „Zeszyty" to on i jego wizja pisania o roli historii Polski i sposobu pisania o tejże historii. Zanim jednak o tym, to warto wyobraźnią swoją zobaczyć jeszcze innego Jerzego Giedroycia – jako żołnierza Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w 1941 roku pod Tobrukiem, jako pracownika Biura Propagandy 2. Korpusu Polskiego w Syrii, Palestynie i we Włoszech. To środowisko intelektualne utworzone przy Korpusie przez gen. Władysława Andersa stanowiło źródło, z którego wyłoni się potem działalność Instytutu Literackiego – najpierw w Rzymie (1946), a potem w Paryżu (1947). To pod okiem i z inspiracji generała tworzy się grupa literatów, dziennikarzy, pisarzy, którzy mają za zadanie opisywać historię działań Korpusu na bieżąco i to tu rodzą się (mające potem trwać wiele

egrasa.pl ?ed129928

lat) przyjaźnie i relacje konstytuujące środowisko „Kultury". Niewątpliwą zasługą Andersa było to, iż zdawał on sobie sprawę, że historia (zarówno ta odległa, jak i ta dziejąca się tu i teraz) ma bezpośredni wpływ na politykę, stanowi jej narzędzie. Dlatego taki nacisk kładł na prace literackie, dziennikarskie, propagandowe, tworzone tuż za linią frontu. Dostęp Melchiora Wańkowicza do stanowisk bojowych Korpusu nie był przypadkiem – jego dowódca wiedział, że trzeba samemu napisać swoją historię, gdyż może być gorzej, kiedy zrobią to za nas inni. Notabene Giedroyć, w „Autobiografii na cztery ręce", dobrze wspominał postać Andersa, pisał, że „bronił (on) idei" powstania Instytutu Literackiego, chociaż „nie był entuzjastą tego projektu".

Uczciwość historyczna

Najważniejszą zasadą wyniesioną z doświadczeń 2. Korpusu było przekonanie, iż pisanie o historii stanowi swego rodzaju obowiązek obywatelski – ta myśl przyświecała całej historyczno-redaktorskiej działalności Giedroycia. Wszystkie inne pytania i tropy mają swój korzeń właśnie w tym głębokim przeświadczeniu o ważnej roli i misji do wypełnienia, szczególnie w sytuacji, w której Polska znalazła się po 1945 roku. W tejże sytuacji bowiem, w której historiografia krajowa została skazana na zafałszowania czy białe plamy (szereg tematów zakazanych bądź propagandowo zakłamanych), paryski ośrodek historiograficzno-edytorski stał się wobec tego niejako wydawcą – drukowanej w formie „Zeszytów Historycznych" – odpowiedzi historyków piszących z „wolnej stopy", nie naznaczonych jakimiś tendencjami czy wymogami propagandy. Nawiasem mówiąc, trzeba także pamiętać, że w sposobie patrzenia na polskie dzieje Redaktor był ukształtowany przez myśl i dokonania Krakowskiej Szkoły Historycznej. Już w pierwszej prelekcji na powstającej w 1869 roku Katedrze Historii Polski UJ, prof. Józef Szujski apelował o to, by o historii pisać krytycznie i obiektywnie. Odrzucał wszelkie tendencje i napominał, aby „korzystać z materiału bez naginania go do swoich uprzedzeń, zdać z niego sprawę wedle przekonania swego, oto warunek pierwszy uczciwości historycznej". Giedroyć zatem widział rolę „Zeszytów Historycznych" tak, aby naczelnym hasłem przyświecającym wszelkim publikacjom zamieszczanym na ich łamach była wierność tym wartościom z poszukiwaniem prawdy na pierwszym miejscu. Idąc za Szujskim, który w rozprawie o „fałszywej historii" będącej „mistrzynią fałszywej polityki", sam powtarzał nieraz, iż „nie ma kraju o bardziej zafałszowanej historii, niż Polska".

W biegu zatrzymana polityka

Zamiary swoje Redaktor odkrył zresztą już w pierwszym numerze „ZH". W redakcyjnym wstępie napisał: „»Zeszyty Historyczne«, których pierwszy tom dajemy Czytelnikom, będą poświęcone materiałom dotyczącym Najnowszej Historii Polski. Na ich zawartość będą składały się relacje, wspomnienia, pamiętniki, specjalne opracowania, recenzje itp. Począwszy od następnego tomu będziemy w nich zamieszczali bibliografię prac historycznych, ukazujących się na Zachodzie, a dotyczących w jakiejkolwiek mierze Polski czy Europy Wschodniej. Specjalnie uwzględniane będą wydawnictwa emigracyjne polskie, francuskie, niemieckie, angielskie amerykańskie, ukraińskie, litewskie i białoruskie". I dodawał: „Naszym zadaniem będzie szukanie obiektywnej prawdy a nie przykrawanie faktów do jakiejkolwiek koncepcji politycznej czy historiozoficznej".

We wstępie tym jest jeszcze zawarty inny aspekt dotyczący „Zeszytów" – wywiedziony z federacyjnej idei Piłsudskiego: chodzi o rolę, jaką odegrać winna Polska na Wschodzie. Wspominał o tym bliski współpracownik Giedroycia z „Kultury" Juliusz Mieroszewski, który podkreślał rolę czynnika „ULB" (Ukraina, Litwa, Białoruś) jako niezmiernie istotnego dla strategicznego kierunku myśli polskiej, jeśli chodzi o wschodnią politykę zagraniczną, i mówił: „Historia jest w biegu zatrzymaną polityką". Jednocześnie Mieroszewski wskazywał na to, że tyle jest historii, ile jest narodów, które ją po swojemu rozumieją, postrzegają, piszą i – mówiąc językiem współczesnym – „promują". „[...] Polityk musi umieć spojrzeć na ciąg wydarzeń zarówno Polaka, jak i oczami Rosjanina" – podkreślał. „Polityka jest bowiem dalszym ciągiem historii i nie można zrozumieć polityki rosyjskiej, nie rozumiejąc, jak Rosjanie odczytują historię".

Kustosz pamięci narodowej

Jakie zadania stawiał Redaktor przed swymi autorami? Kogo zapraszał na łamy? Otóż jeśli przy autorach jesteśmy – otwiera się tu przepiękna przestrzeń nie tylko tematów, lecz właśnie piór i wielkich osobowości polskiej historiografii. Z grubsza można ich podzielić na trzy grupy: historyków i pisarzy emigracyjnych, autorów różnorakich wspomnień i pamiętników czy wreszcie historyków krajowych. Jeśli chodzi o autorów emigracyjnych – trzeba pamiętać o różnych falach owej emigracji (na przykład kilku autorów zawitało do „Zeszytów" po marcu 1968 roku – Józef Lewandowski, Aleksander Litwin, Paweł Korzec). Niektórych drukowano pośmiertnie (Józef Piłsudski, Józef Beck). Wymieńmy też kilka znakomitych nazwisk historyków, świadków historii i jej kreatorów – Jerzy Łojek, Wacław Jędrzejewicz, Tadeusz Katelbach, Karol Popiel, Marian Kukiel, Andrzej Paczkowski, Zbigniew Siemaszko, Tadeusz Wyrwa, Grzegorz Mazur, Marek Kornat, Piotr Wandycz. Lista powinna być o wiele dłuższa. Jeszcze dłuższa byłaby lista wszystkich autorów, którzy na łamach „Zeszytów" pisywali. W różnych

eprasa.pl 77ed129928

zresztą okresach. Niedawno żegnaliśmy jednego z autorów laffickich – prof. Krzysztofa Tarkę, autora znakomitych prac o emigracji polskiej oraz próbach wciągnięcia jej do współpracy ze służbami wywiadowczymi PRL. Niektóre wątki biograficzne podjęte zostały przez historyków piszących w zbiorowej pracy wydanej przez IPN „Zeszyty Historyczne z perspektywy półwiecza". O fenomenie Piotra Wandycza pisał w niej Rafał Stobiecki, uwypuklając ciekawe wątki sposobu redagowania, wymiany myśli z autorami i funkcjonowania całego „środowiskowego organizmu". Bo przecież „Kustosz narodowej pamięci", jakim był Giedroyć – choć zwykle samorzutnie kierował linią pisma i dobierał autorów (czasem korzystając z tego, co oferowano, stąd często kolejne numery stanowiły niekiedy dość zaskakujące zbiory materiałów) – bardzo uważnie słuchał, radził się, dyskutował. Jego korespondencje, wydane w wielu tomach, to zapis wymiany listownej ze znakomitymi postaciami intelektualnych elit emigracyjnych. A trzeba pamiętać, ile pracy należało wykonać, by wydawać dwa pisma (jedno w cyklu miesięcznym – „Kultura", drugie w półrocznym, a potem kwartalnym – „ZH") , oraz długi szereg książek, źródeł, materiałów przyczynkowych. Dodatkowo Redaktor gromadził w Maisons-Laffitte olbrzymie archiwum.

Refleksje nad przeszłością

Stobiecki pisze: „Nie byłoby to możliwe bez licznego grona doradców i współpracowników. To oni zapełniali swoimi historycznymi tekstami łamy laffickich periodyków, byli autorami książek i recenzentami przysłanych do domu »Kultury« maszynopisów". Piotr Wandycz w opinii Stobieckiego „był przez lata jednym z głównych doradców Redaktora na polu historii". Zresztą właśnie przykład profesora z Yale jest tu o tyle ciekawy i dobry do podjęcia, gdyż był on jednym z najdłużej piszących na łamach „ZH" autorów, i to w dodatku nie tylko jeśli chodzi o duże, autonomicznie funkcjonujące teksty, lecz także recenzje czy też artykuły pisane po śmierci wielkich historyków. Te „pożegnania" Wandycza to właściwie jedna z modelowych, przykładowych form „zeszytowych" – stanowiły często perełki same w sobie. Historia była ważna i centralna nie tylko *per se*, przez pryzmat merytoryczny, lecz także w optyce, w której sami historycy stają się częścią intelektualnej elity narodowej – niosą ze swym dziełem ważne treści, przez refleksje nad przeszłością uczą i wskazują kierunki na „tu i teraz". Gdy dodamy do tego szeroką plejadę historyków polskich, autorów krajowych (często nieświadomych tego, iż ich teksty, drukowane w kraju w podziemiu, były przedrukowywane w „ZH"), a nawet historyków zagranicznych – uzyskujemy olbrzymią paletę nie tylko autorską, lecz także tematyczną.

Notabene o historykach zagranicznych publikujących w „ ZH" dr Anna Brzezińska pisze, wskazując na to, iż ze stale i regularnie publikujących można wymienić jedynie czterech: Michaiła Hellera, Bohdana Osadczuka, Daniela Beauovois i Normana Daviesa. Ten ostatni zresztą, ze swym „Bożym igrzyskiem", trafił na łamy przez tekst recenzyjny, a potem stał się swego rodzaju ambasadorem polskiej sprawy w obszarze historiografii na Zachodzie.

„Zeszyty Historyczne" to zamknięte, składające się ze 171 tomów, dzieło o historii Polski i Europy Wschodniej. Obecnie dostępne są w formie cyfrowej, stanowiąc bogaty zespół znakomitych tekstów oraz źródeł. I co najważniejsze – w sensie owej misji wyznaczającej rolę rozumienia i pisania o historii jako narzędziu ułatwiającym rozumienie teraźniejszości i podejmowanie decyzji politycznych – mogą być ciągle na nowo odkrywane i być przedmiotem dalszej debaty i dyskusji.

Spojrzenie z lotu ptaka

W „Autobiografii na cztery ręce" Jerzy Giedroyć zawarł swoje przesłanie zaczynające się od słów: „Jeśli spojrzeć na historię Polski z lotu ptaka...". Podjął w nim kilka różnych wątków, dochodząc podsumowań i szans, które się kryją „w tej wielce łamigłówce", jaką jest przebieg dziejów. „Taką szansą może być nasza polityka wschodnia" – znormalizowanie kontaktów z sąsiadami (Niemcami i Rosją), przy jednoczesnym bronieniu niepodległości Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich i przy ścisłej współpracy z nimi". I wreszcie bardzo ważne zdanie: „Powinniśmy sobie uświadomić, że im mocniejsza będzie nasza pozycja na wschodzie, tym bardziej się będziemy liczyli w Europie Zachodniej".

Na koniec chciałbym poruszyć kwestię „amatorskiego" podejścia Redaktora do historii, a także braku „naukowych" cech „Zeszytów Historycznych". Otóż ten właśnie autorski, „nieprofesjonalny" (z punktu widzenia reguł obowiązujących w czasopismach naukowych) styl komponowania zawartości kolejnych numerów stanowił o ich wielkiej wartości. Giedroyć wierzył, że o historii należy pisać z pasją i w sposób taki, aby był łatwo przyswajalny przez czytelnika. Słowo „amator" miewa czasem wymiar pejoratywny. Najlepiej być może odczytywać je tak, jak czynił to Zbigniew Herbert, który o sobie mawiał, iż jest „poetą-amatorem". Słowo to pochodzi bowiem od łacińskiego słowa *amo, amare* – czyli kochać. Amator zatem to ktoś, kto działa z miłości. I być może to jest najważniejsze dziedzictwo nie tylko Jerzego Giedroycia, lecz także całego środowiska „Zeszytów Historycznych", które łączyła – pomimo różnic w poglądach – miłość do Polski. ■

eprasa.pl 77ed129928







Ewa Polak-Pałkiewicz



Ten przebiegły facet z szyderczym uśmiechem

O Leonie Krzeczunowiczu mówiło się, że ma serce Polaka, humor Węgra, spryt Ormianina i rozum Niemca. Był mistrzem błyskawicznego refleksu. Jedną z jego „zupełnie zwyczajnych misji", jak twierdził, był objazd, w przebraniu oficera Wehrmachtu, pewnych odcinków niemieckiego frontu wschodniego; miał złożyć później meldunek o sytuacji dowództwu AK.

eprasa.pl 77ed129928

Potańcówki, brydż, goście, suto zastawiony stół, śpiewy i toasty – tak ukazywane jest życie dworów ziemiańskich podczas okupacji na większości filmów wojennych wyprodukowanych w Polsce za PRL i dziś. Próżno liczyć na wyjaśnienie, że rozrywki kulturalne – nawet domowy teatr, koncerty i tłumy gości – były często starannie wyreżyserowaną zasłoną dymną przeznaczoną dla niemieckich oczu. Poza nią toczyła się w dworach i na ich zapleczu intensywna działalność konspiracyjna: tajne nauczanie, praca podziemnych szpitali, punktów aptecznych i szwalni dla potrzeb Armii Krajowej; ukrywali się tu uciekinierzy przed gestapo. Tak było zwłaszcza na terenie GG i Podkarpacia. Nawet najmniejsze dworki i oficyny dworskie okazywały się niezwykle pakowne, tuż pod bokiem Niemców. Polskie Państwo Podziemne istniało i działało sprawnie właśnie dzięki oparciu w tym ostatnim przyczółku względnie normalnego życia gospodarczego, jakim pozostały w czasie wojny dwory, oraz dzięki odwadze, inteligencji i zmysłowi organizacyjnemu ich właścicieli.

Zasługi „Uprawy"

W kierownictwie konspiracyjnej organizacji ziemian „Uprawa" (vel „Tarcza", „Opieka") znalaleźli się Roman Lasocki, Leon Popławski, Andrzej Józef Sapieha z Żurawicy, Paweł Żółtowski i w jego zastępstwie Konstanty Radziwiłł oraz Jan Zamoyski. Ostatni z przywódców organizacji Roman Gumiński zmarł w Londynie w latach 90. „Ze względów wojskowych Niemcom zależało na utrzymaniu sprawnie działającej produkcji rolnej i leśnej oraz przemysłu. Nie chcieli i nie mogli wszystkiego obsadzać własnymi ludźmi. Wprawdzie jesienią 1939 roku wielu wybijających się ziemian rozstrzelali lub uwięzili, lecz chodziło wtedy o wprowadzenie terroru" – podkreśla Michał Żółtowski, autor książki o „Uprawie". Temu służyło wyeliminowanie najwybitniejszych jednostek. Później ziemianie korzystali z pewnej swobody. Powód był banalnie prosty: byli w posiadaniu uznawanych przez policję papierów, tak jak i przemysłowcy zostali uznani za potrzebnych Rzeszy jako prowadzący Grossbetrieb – wielkie zakłady produkcyjne. Niemcy chcąc nie chcąc, liczyli się z tymi, którzy dysponowali bazą dającą im pewną niezależność.

Pragmatyzm Niemców w okupowanej Polsce spotkał się z intelektualnie dojrzałą i moralnie jednoznaczną postawą ziemian, którzy postanowili wykorzystać tę specyficzną sytuację i podjąć ryzykowną grę na rzecz zbrojnego wyswobodzenia Polski. Spiritus movens struktury był Karol Tarnowski h. Leliwa, z Chorzelowa. W drugim miesiącu wojny ocenił, że nadeszła chwila, kiedy ziemiaństwo polskie stanąć musi do konfrontacji z historycznym wrogiem Rzeczpospolitej, wykorzystując wszystkie zasoby swych możliwości intelektualnych – także siłę gospodarczą majątków ziemskich – całą gamą pomysłowości, rzutkości, inteligencji, doświadczenia, kultury, znajomości w świecie dyplomatycznym Europy i znajomości języków. Do podobnych wniosków doszedł Leon Krzeczunowicz z Jaryczowa pod Lwowem. Gdy w październiku 1939 roku spotkali się w Krakowie, obaj byli już wewnętrznie gotowi do podjęcia działań na szeroką skalę.

Tadeusz Bór-Komorowski jednoznacznie ocenił zasługi organizacji: „Gdyby nie »Uprawa« – »Tarcza«» Armia Krajowa nie mogłaby była spełnić wielu swoich zasadniczych zadań. Jej opieka uchroniła od głodu, demoralizacji i rabunku wiele oddziałów partyzanckich powstających jak grzyby po deszczu po 1943 roku" – napisał w jednym z raportów.

Nie bać się przegrywać

Jedna z jego nielicznych zachowanych fotografii przedstawia Leona Krzeczunowicza (ps. „Roland", „Express") (1901–1944), przywódcy „Tarczy" w Okręgu Krakowskim, jako młodzieńca, który konno wyskakuje przez okno rodzinnego dworu. Brał udział w obronie Lwowa jako siedemnastolatek, bez zgody ojca. Jako ochotnik walczył dwa lata później w wojnie bolszewickiej. W czasie pierwszej bitwy z Rosjanami, otwartej słynną szarżą na stację kolejową w Maniewiczach, w styczniu 1919 roku, został poważnie ranny w ramię. Po intensywnej rehabilitacji wrócił na front. Gdy po maturze zapisał się na Wyższe Kursa Ziemiańskie, zwane Kursami Turnaua, żeby nauczyć się praktycznego rolnictwa, zadarł z szefem kursów, bo podczas praktyki w jego majątku urządził pokaz skoków na fornalskich koniach. W gospodarowaniu rodzinnym majątkiem w Jaryczowie wykazywał niepospolitą energię i zdolności; uprawiał także zawodowo jeździectwo, był trenerem konnej jazdy, co było rzadkością wśród ziemian. Konie wymagały dużych nakładów i były domeną wojska. Przygotowywał do zawodów swoją przyszłą żonę Wandę z Czaykowskich, utalentowaną amazonkę. Rodzinny dwór był zniszczony przez bolszewików, zamieszkali więc z żoną w małej leśniczówce na skraju majątku.

Pasjonowały go wszelkie rodzaje sportów i nie bał się ryzyka. Po galicyjskich dworach opowiadano sobie historię udziału Leona w narciarskim biegu zjazdowym, do którego przystąpił, przypinając sobie narty pierwszy raz w życiu – i dotarł do mety

FOT. ARCH.

eprasa.pl 77ed129928

w pierwszej dziesiątce, naśladując wiernie ruchy poprzedzającego go zawodnika; było to w Austrii w 1931 roku, podczas podróży poślubnej Leona i Wandy. Był też skok ze skoczni w Zakopanem, do którego ktoś go namówił, mówiąc, że to przecież takie proste. Skakał, wywijając kijkami i budząc powszechną wesołość. Na wielkich wyścigach skoków konnych w Kopenhadze w latach 30. wszystkie pieniądze, które miał przy duszy, a była to niebagatelna kwota, postawił na konia z wyraźnym defektem, przyłęgowatego, i ta „pokraka", jak określili ją znawcy, „skakała jak pchła i wygrała w cuglach". „Przecież to było jasne" – tłumaczył żonie – „w największym wyścigu sezonu nie puściliby takiej karykatury końskiej, gdyby nie miała ukrytych talentów".

Fantazję, odwagę i polot z pewnością odziedziczył po przodkach. Jego ojciec, Walerian Krzeczunowicz, pochodził z rodziny spolonizowanych Ormian i był wielkim oryginałem, miłośnikiem i znawcą literatury, sztuki i historii; przed I wojną został marszałkiem szlachty powiatu lwowskiego. Matka, Ilona Fricke de Sölvenihaza, była Węgierką wywodzącą się z ziemiańskiej rodziny austriackiej o tradycjach wojskowych. Wybitną osobowością w życiu polskiej Galicji był dziad Leona, Kornel Krzeczunowicz, współzałożyciel Akademii Rolniczej w Dublanach, który działał na rzecz zniesienia pańszczyzny i walczył z rządem austriackim o uczciwą politykę rolną. Zacięcie społeczne Leon odziedziczył po dziadku. Jako młody ziemianin został prezesem Towarzystwa Hodowców Koni we Lwowie, wiceprezesem Związku Ziemian i wójtem gminy Jaryczów.

Miał dar wnikliwej oceny ludzi. Zawsze otaczała go młodzież ziemiańska. Pociągał ich nie tylko pogodą ducha, autoironią, humorem, lecz przede wszystkim autentyczną powagą, z jaką traktował ich problemy, cierpliwością, skupieniem, gdy przychodzili do niego ze swoimi sprawami. Obserwował ich uważnie, potrafił wskazać słaby punkt rozumowania, pomóc wyciągnąć właściwe wnioski. Nigdy im nie pochlebiał. Był wymagający, uważał, że nie powinni brać się za rzeczy „na ich miarę", ale zawsze sięgać po te bardziej ambitne. Rozumiał, jak ważnym życiowym zadaniem każdego młodego mężczyzny jest hartowanie ducha. Dla niego samego trudności były zawsze wyzwaniem, lubił je pokonywać.

Był niezwykle skrupulatny w prowadzeniu majątku, opłacaniu pracowników i zawsze gotowy do niesienia pomocy, także chłopom. To była cecha rodzinna. Jego ojciec, który w czasie wojny prowadził księgowość w Gorajowicach, majątku Sroczyńskich w powiecie jasielskim, nie mógł wprost fizycznie znieść konieczności zapisywania fikcyjnych danych – przepisy niemieckie uniemożliwiały prowadzenie normalnej rachunkowości – i nosił stale na piersiach medalion z prawdziwymi danymi.

Gdy 1 września 1939 roku Leon Krzeczunowicz zgłosił się do wojska na ochotnika, nie przyjęto go. Jako wójt miał pozostać w gminie, przeszkodą był też trwały defekt ręki, która była częściowo usztywniona (pozostałość po wojnie bolszewickiej). Był zawiedziony, ale podarował z miejsca najlepszego swojego konia terenowego „Junaka" gen. Fabrycemu, Inspektorowi Armii we Lwowie. Aresztowany przez Sowietów w jesieni 1939 roku, życie zawdzięczał gromadnemu wstawieniu się za nim chłopów z Jaryczowa. Zmuszony do opuszczenia swego majątku początkowo usiłował z rodziną przedostać się do Francji i tam wstąpić do wojska. W przeciwieństwie do Karola Tarnowskiego, który po zainicjowaniu działalności „Uprawy" nie był w stanie aktywnie nią zawiadywać, mając w swoim domu na co dzień Niemców, Leon przez pięć wojennych lat, wraz z grupą najbliższych współpracowników, dzień w dzień prowadził z okupantem krańcowo niebezpieczną grę.

„Roland" nadaje ton

O Leonie Krzeczunowiczu mówiło się, że ma serce Polaka, humor Węgra, spryt Ormianina i rozum Niemca. Był mistrzem błyskawicznego refleksu. Jego charakterystyczna postać – miał sylwetkę sportsmena, nieustannie tryskał dobrym humorem i zawsze miał na podorędziu kilka świeżej daty anegdot – pojawiała się także w miejscach, gdzie ziemianie musieli przymusowo kontaktować się z niemiecką administracją. Dzięki znakomitej znajomości niemieckiego zdołał szybko owinąć sobie wokół palca starostę trzech podkrakowskich powiatów Kreislandwirtha Staupego, którego biuro mieściło się w Miechowie. Wyrażał się on o Leonie z mieszaniną typowej dla Niemców atencji wobec „wielkich panów" i podejrzliwości: Der schlaue Kerl mit höhnischem Lächeln („Ten przebiegły facet o szyderczym uśmiechu"). Wykorzystując nieco dwuznaczny podziw, jaki budził u Staupego, „Roland" uchronił m.in. od wciągnięcia na listę folksdojczów dwóch wyróżniających się w działalności konspiracyjnej ziemian, Ludwika Popiela i Stanisława Reya, przekonując Niemca, że takie posunięcie narazi go na kompromitację i ośmieszy. Bo przecież „pierwszy pochodzi z królewskiego rodu, drugi jest potomkiem znanego pisarza z czasów odrodzenia". Barczysty olbrzym Staupe wylewnie dziękował „Rolandowi" za tę radę, nie chciał być wzięty za prostaka w towarzystwie lepiej od niego urodzonych.

eprasa.pl 77ed129928

Pod koniec wojny, zimą 1944 roku Krzeczunowicz po raz ostatni wykpił Kreislandwirtha, organizując na jego polecenie polowanie na zające – w „kotłach", z nagonką. Grupom naganiaczy i wozom przydzielił tylko dwa kolory – biały i czerwony. Okoliczni chłopi patrzyli z rozbawieniem, gdy Staupe dopytywał się o pochodzenie tych barw, a szef „Uprawy" wyjaśnił z niewzruszoną miną, że to tutejsza tradycja myśliwska.

Rolnik cudotwórca

Decyzję o poprowadzenia zadłużonego majątku Stanisława Reya w Sieciechowicach pod Krakowem, by w ten sposób utrzymywać siebie i rodzinę podczas wojny, podjął dopiero wtedy, gdy wszyscy tamtejsi chłopi zrzekli się, na jego prośbę, roszczeń wobec właścicieli. Aby wyprowadzić Sieciechowice z długów, wstawał codziennie przed czwartą, doglądał osobiście czyszczenia i karmienia koni, dojenia krów i wszelkich prac gospodarskich. Załatwiał tysiące uciążliwych spraw w starostwie w Miechowie.

„By zrobić dobre wrażenie na niemieckiej administracji kazał się zwracać chłopom do siebie per »panie kierowniku«, rozpowiadając na prawo i lewo, że uczynił tak ze względu na Hitlera, który także zrezygnował z tytułu kanclerza i nazwał się »skromnie« »Führerem« (kierownikiem). Wiedział, że od jego sprytu w stosunkach z Niemcami zależał los wielu ludzi i wydajność majątku – przydział narzędzi, nawozów mineralnych i faktyczna wielkość kontyngentów. Odważył się nawet na ryzykowny w czasie wojny zakup ciągnika, co okazało się korzystne dla gospodarstwa. Utrzymywał majątek we wzorowym stanie, zapewniając jego rozwój mimo realiów okupacyjnych; ziemianie mieli obowiązek oddawania Niemcom znacznej części swoich plonów. Po roku takiej harówki Sieciechowice zaczęły przynosić dochód. Pola starannie uprawione, ludzie wypłaceni, stajnia fornalska odmłodzona i przeselekcjonowana" – wspomina M. Żółtowski, częsty gość Krzeczunowiczów.

Jako trzeźwy analityk sytuacji historyczno-politycznej, w jakiej znalazła się Polska, a wraz z nią środowisko ziemian, wykorzystywał przedwojenne znajomości z wojskowymi jeźdźcami, by wpływać na poglądy polityczno-społeczne w Komendzie Głównej AK. „Liczono się tam z jego zdaniem i zasięgano opinii, znając zarówno jego bezstronne podejście do zagadnień, jak również wiedzę i zdrowy rozsądek. W okresie scalania różnych organizacji oddał nieocenione usługi, będąc urodzonym dyplomatą i po prostu czytając myśli ludzkie, zawsze baczny, aby nie urazić nadętego ego jakiegoś miejscowego kacyka. Jeśli chodzi o sprawę reformy rolnej, o którą dowództwo się niejednokrotnie wypytywało, jako że miała się stać kamieniem węgielnym układu społecznego przyszłej Polski, to potrafił całkowicie zapomnieć o interesie własnej warstwy, osądzając ją niekiedy surowo. Chodziło tu o pewną grupę ludzi, których ani stosunki okupacyjne, ani wisząca nad krajem, jak miecz Damoklesa groźba interwencji sowieckiej w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej nie potrafiły wyrwać z pęt małoduszności, egoizmu klasowego i prywaty" (por. AK Jerzy Lambl „Brzeszczot").

Nie przeszkadzało mu to zajechać któregoś dnia do dawnego swego majątku, Jaryczowa, gdy załatwiał we Lwowie jakieś sprawy konspiracyjne, okazałą pożyczoną karetą zaprzężoną w parę świetnych siwych koni. Zelektryzowani wiadomością o przybyciu „pana" dawni pracownicy majątku, służba i mieszkańcy miasteczka wylegli tłumnie, by go powitać, a on w barwnym przemówieniu przekonywał, że teraz dopiero doskonale mu się powodzi.

Nikt nie domyśliłby się, że ten „wielki pan" w butach do konnej jazdy, w kurtce z futra z kotów, wciąż w doskonałym humorze, codziennie ryzykował życie. Wyczerpanie zaś intensywnym życiem w konspiracji, pracą fizyczną i prowadzeniem w trudnych warunkach majątku doprowadziło go w 1942 roku na skraj śmierci, zapadł bowiem na ciężki tyfus brzuszny i przez kilka miesięcy powoli wracał do zdrowia.

Szanowano jego wyważone, pozbawione tromtadracji sądy, gdy dowodził, że nie czas na opłakiwanie strat, oglądanie się wstecz, rozpaczanie nad utraconymi dobrami, już nie do odzyskania. Każde czasy, nawet najtragiczniejsze, są wystarczająco dobre, przekonywał, by czynić to, co czynić należy. „Dyskusja z »Rolandem« była prawdziwą przyjemnością – dopowiada Jerzy Lambl – gdyż wysłuchiwał z reguły wszystkich wywodów i dopiero kiedy przyszła jego kolej, krótko, zwięźle i przeważnie dowcipnie przedstawiał swój punkt widzenia. Rząd gen. Sikorskiego uznawał bez zastrzeżeń, tylko kiedy dotarły do nas wieści o rozdźwiękach w jego łonie, szeptał mi w żartach na ucho: »Schowaj tam trochę granatów na tych starostów i wojewodów z zagranicy«".

Rozśmieszyć, to znaczy zwyciężyć

Ściśle współpracował z dowództwem wojskowym, wykonując najbardziej niebezpieczne rozkazy, osłaniając ryzykowne operacje, organizując przerzuty oficerów przez zieloną granicę na Węgry, przekazując wywiadowi AK meldunki o wyrzutniach rakiet V1 i V2 w lasach tarnobrzeskich.

eprasa.pl 77ed129928

Nigdy nie twierdził, że rzeczy, w które się pakował, były zbyt trudne czy niebezpieczne. Jedną z jego „zupełnie zwyczajnych misji", jak twierdził, był objazd, w przebraniu oficera Wehrmachtu, pewnych odcinków niemieckiego frontu wschodniego; miał złożyć później meldunek o sytuacji dowództwu AK. Przygotowany od dzieciństwa do zmagania się z przeciwnościami, traktujący je jako oczywistość, lęk i stres maskował pokpiwaniem z siebie, zawsze pokazując rodzinie i znajomym pogodną twarz i skłonność do życia towarzyskiego, nawet gdy wykończony wracał z terenu, a w domu właśnie byli goście. Im było trudniej, tym częściej żartami i autoironią rozładowywał sytuację. Przejeżdżając późnym wieczorem konno przez Wolbrom, położony u podnóża Gór Świętokrzyskich, gdzie była silna partyzantka AK i gdzie miał umówione spotkanie z kimś z konspiracji, zajechał do przydrożnej restauracji. Konia uwiązał na dworze. Gdy przestąpił próg, zobaczył, że jest tu pełno oficerów SS. „Postać jego zwróciła zaraz uwagę" – wspomina jego młodszy przyjaciel i współpracownik, Michał Żółtowski. – „Miał przefarbowane na czarno bryczesy po polskim oficerze i wysokie buty z ostrogami. W tej okolicy mogło to budzić podejrzenia. Leon błyskawicznie podniósł rękę do góry, zawołał »Heil Hitler«, po czym cofnął się za próg, wskoczył na konia i odjechał galopem. Był to jedyny raz, kiedy tak postąpił, ale groźba była rzeczywista".

Innego dnia, podczas pobytu w Warszawie, „Leon wyszedł z odprawy w dowództwie [przy placu Napoleona] i zobaczył, że na placu szykuje się łapanka. Wszystkie wyloty ulic obstawione były patrolami SS. Przy jednym z dwuosobowych patroli stała esesmanka. Leon zwrócił się prosto w tę stronę i będąc blisko rzucił jakiś słony dowcip, a esesmankę klepnął po plecach. Wszyscy się roześmiali, a on spokojnym krokiem opuścił plac".

Pod Nowym Targiem żywiołowo rozwijała się akowska partyzantka, Niemcy usiłując ją zniszczyć, zastosowali typowy dla nich akt terroru. Wszystkich mężczyzn wysiadających z pociągu na dworcu w Nowym Targu aresztowali i poddawali ciężkim przesłuchaniom. Odtąd bano się przewozić w te rejony rozkazy od dowództwa AK. „Wtedy zgłosił się na ochotnika Leon" – wspomina Żółtowski. „Gdy dojechał na miejsce, rzuciła się nań żandarmeria niemiecka i odprowadziła na wartownię przy stacji. »I co? – pytałem – co było dalej?«. »Nic – odpowiedział Leon – tak ich rozśmieszyłem, że mnie puścili«".

Brawura Leona Krzeczunowicza nie miała odpowiedników u żadnego chyba dowódcy z rodowodem ziemiańskim w Małopolsce, a przecież był też troskliwym mężem i ojcem, odpowiadał za powierzonych sobie ludzi i majątek. Robił zawsze rzeczy, których wróg najmniej się spodziewał, i w ten sposób uzyskiwał duchową przewagę. Swoim młodym podopiecznym i współpracownikom z konspiracji zawsze powtarzał, że mają być odważni jak lwy i chytrzy jak węże.

„Czarujący kwestarz" kiwa lepiej od innych

Znalazł się kiedyś w kancelarii Staupego w Miechowie, gdy Niemca wywołano do telefonu w sąsiednim pomieszczeniu. Na biurku została otwarta księga z odnotowaną ołówkiem liczbą sztuk żywca z Sieciechowic oddawanego w ramach kontyngentu i liczbą świń, które można było legalnie ubijać w danym roku. Ten limit był już osiągnięty. Leon sięgnął po gumkę, błyskawicznie wymazał cyfrę i zastąpił ją mniejszą. Jego gospodarstwo mogło nadal żywić potrzebujących – żołnierzy AK, uciekinierów, ukrywających się w majątku „spalonych" wojskowych, Żydów, rodzinę i pracowników.

„Jako komendant wojskowej jednostki, w zimie z 1941 na 1942 r., Leon otrzymał zarządzenie AK, by członkowie Armii Krajowej wstrzymali się całkowicie od picia wódki (chodziło o uniknięcie wsyp spowodowanych nieostrożnością w mówieniu). Musiał to niepopularne zarządzenie przekazać podkomendnym. Rozwiązał je w swoisty sposób. Zapraszał po kolei członków AK z sąsiedztwa i nie szczędził im wódki. Sam też starał się od niej nie uchylać, żeby pokazać, co potrafi. Głowę miał mocną, nigdy nie było widać po nim najmniejszego działania alkoholu, podczas, gdy inni byli wykończeni. Wreszcie uznał, że nadszedł odpowiedni moment, aby zakaz picia wódki został dobrze przyjęty i faktycznie tak się stało" (M. Żółtowski).

Zdobył autorytet wśród chłopów. Jak wspomina Jerzy Lambl: „Razem z »Kmicicem« sformowali szwadron jazdy składający się z synów ziemian, podoficerów pracujących w czasie wojny w ich majątkach i ludzi folwarcznych, wybranych starannie, aby unikać pijackich przechwałek i awantur, o które tak łatwo na wsiach".

„Był czarującym kwestarzem – wspomina Jerzy Lambl – i zbierał wielkie sumy na AK zupełnie bezboleśnie, znając ludzi na wylot i stosując psychologiczne podejście. Dom jego, lubo wypełniony tajemniczymi indywiduami ukrywającymi się przed gestapo, rozbrzmiewał gwarem i śmiechem, a nierzadko dźwiękami walczyków. Bakcyle wesołości rozsiewała na lewo i prawo pani Wanda, która bez psoty i śmiechu żyć nie umiała, toteż bez przerwy ktoś przyjeżdżał z okolicy i drzwi się nie zamykały. Nawet dystyngowany łowca szczura piżmowego [Niemcy utworzyli

eprasa.pl 77ed129928

specjalny zawód »zwalczających szczura piżmowego« tak zwanych Bisambieberbekaempfer – M.Ż], przedwojenny książę Sapieha z Żurawicy, który obecnie nazywał się »pan Kodeński« i pomimo pośledniego zawodu ciągle jeszcze używał szczotek do ubrań z pańskimi herbami, rozkręcał się zupełnie i brał czynny udział w ogólnej zabawie. Ale pod trzpiotowatą opieką pani domu chroniła się wdowa z dwojgiem dzieci po majorze Nowackim, a pan zatrudniał młodzież ziemiańską z Wielkopolski i stale komuś pomagał".

Nie zdążył „zniknąć" w lesie

Pod wisielczą czasami wesołością Leon krył naturę refleksyjną, przy pozorach beztroski był introwertykiem. Nie obnosił się ze swoją religijnością. Szanując wychowawczą i patriotyczną rolę Kościoła, na tematy religijne się nie wypowiadał. Na chwilę jednak przed planowanym „zniknięciem" w lesie – bo już w styczniu 1944 roku dowództwo AK, któremu podlegał także jako szef „Uprawy", wiedziało, że atmosfera wokół niego się zagęszcza (otrzymał wtedy rozkaz przyjęcia obywatelstwa węgierskiego „dla dobra służby") – odszukał ukrywającego się w Gołyszynie księdza, z którym był zaprzyjaźniony, i odbył spowiedź z całego życia.

„Po aresztowaniu dowódcy Okręgu Kraków (1944 r.) i załamaniu się łączności AK, organizował ją na bazie siatki »Tarczy«. Po rozpoczęciu działań ukraińskich za Sanem i ofensywy radzieckiej załamała się także łączność ze Lwowem. Leon otrzymał zadanie odtworzenia jej i dokonał tego własnym wysiłkiem, bazując na resztkach siatki AK. W tym czasie urodził się mu upragniony syn, jednak Leon musiał opuścić żonę. Gestapo po kilku latach zorientowało się w jego działaniach i wielokrotnie bezskutecznie zastawiało na niego zasadzki" (Wolna Encyklopedia Polskich Ormian).

Do wtopienia się w oddziały „leśnych" przygotowywał się starannie, studiując zasady walki partyzanckiej, gromadząc i ukrywając krótką broń. Ten wojownik „ostrożny jak żuraw", stale zmieniający trasy swoich przejazdów, posługujący się licznymi, wciąż nowymi pseudonimami, domyślał się, że gestapo jest na jego tropie; obawiał się też tego, co będzie się działo po rychło zapowiadającym się wkroczeniu Armii Czerwonej. Zdołał zapewnić perspektywę bezpiecznego schronienia żonie i dzieciom w zaprzyjaźnionym majątku.

1 sierpnia 1944 roku aresztowali go Niemcy, gdy wieczorem powracał bryczką z ostatniej swojej tajnej misji z Krakowa do sieciechowickiego dworu. Przez kilka miesięcy, na Montelupich i Pomorskiej, poddawany był okrutnemu śledztwu. Niemcy wiedzieli, że mają kogoś ważnego z podziemia, i robili wszystko, by go złamać. Próba wykupienia go za pokaźną ilość klejnotów oraz interwencja kardynała Adama Sapiehy okazały się spóźnione. Wanda Krzeczunowiczowa po latach opowiedziała, że odszukał ją ksiądz, który był z jej mężem w jednej celi: „Pani mąż – powiedział – był przez wszystkich więźniów uważany nieomal za świętego, wszystkim pomagał. Paczki, które przynosiłem, rozdzielał między innych, sobie nic prawie nie zostawiając. [...] Najgorszą torturą były dla niego podstępne pytania, bo w tym stanie osłabienia wymagało nadludzkiego wysiłku, aby nikogo nie wsypać. [...] Był tak twardy, że nawet jego kat powiedział, że jeszcze takiego nie spotkał. I nigdy nikogo nie wsypał, a wielu ludziom uratował życie".

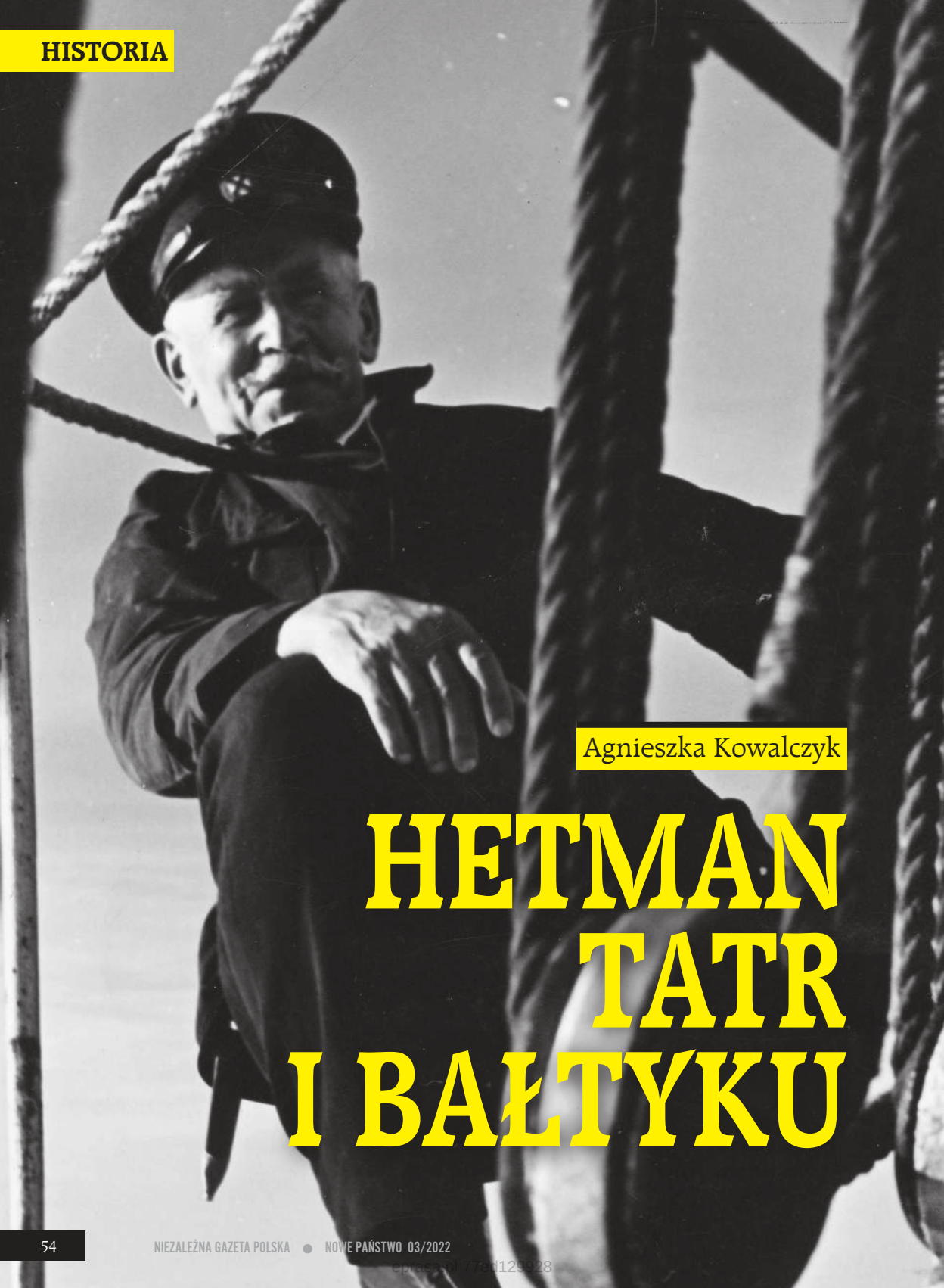
Ten nieznany współczesnym Polakom bohater – skazany na zapomnienie, bo jego pochodzenie społeczne nie było właściwe – człowiek wielkiego charakteru i siły moralnej, którą wciąż rozwijał dzięki żelaznym zasadom, jakie przyjął w młodości (przez całą dorosłość praktykował ścisłą dyscyplinę życia, co graniczyło niemal z ascezą: wczesne wstawanie, ćwiczenia fizyczne, sporty, ograniczenia w pożywieniu), przewieziony został przez Niemców do KL Gross-Rosen, a następnie, w styczniu 1945 roku, do KL Dora-Mittelbau, jednego z najstraszliwszych obozów, umieszczonego we wnętrzu wydrążonej góry, w paśmie Harzu. Zmuszano tu więźniów do pracy niewolniczej przy produkcji pocisków V-2 oraz latających bomb V-1. Ogromna liczba uwięzionych nie przetrzymała tych nieludzkich warunków. Pojmano go podczas brawurowej próby ucieczki; zamordowano przed samym zamknięciem obozu 19 marca 1945 roku.

***

Tyle się wciąż podejmuje wysiłków, żeby całą odrębność życia warstwy, która tworzyła przez wieki historyczną i kulturową tkankę życia kraju, sprowadzić do upodobania do ucztowania, polowań, kart, koni i zbytkownych wnętrz. Bo o tym, co najważniejsze, o właścicielach dawnych historycznych siedzib ziemiańskich, ludziach często ogromnych zasług dla Polski, rzadko się wspomina. Kiedyś byli, a potem po prostu zniknęli. Jak to zniknięcie naprawdę wyglądało? Kto dziś o tym wie? Prawie sześćdziesiąt lat milczenia – ale i wymyślnych kłamstw preparowanych z premedytacją – miało także pogrzebać definitywnie pamięć o ofierze złożonej przez tak wielu z nich dla Polski. ■

Źródła:
Michał Żółtowski, „Leon Krzeczunowicz. »Uprawa« – »Tarcza«", Warszawa 2005 (wszystkie cytaty pochodzą z tej pracy).
Karolina Lanckorońska, „Wspomnienia wojenne 22 IX 1939 – 5 IV 1945", Kraków 2002.
Portal Wiki.Ormianie, Wolna Encyklopedia Polskich Ormian.

eprasa.pl 77ed129928



Agnieszka Kowalczyk

HETMAN TATR I BAŁTYKU

Copyright 7765129928



„Gdy stanę przed świętym Piotrem i ten zapyta, jak mnie zameldować, odpowiem: Łamałem młotem wrzeciądza niewoli, prowadziłem Polaków w góry i na morze, ażeby stali się twardzi jak granit, a dusze mieli czyste i głębokie jak morze". Tak powiedział o sobie generał Mariusz Zaruski, który ponad wszystko umiłował morskie odmęty Bałtyku i niedostępne szczyty Tatr.



fot. NAC (3)

Mariusz Zaruski łączył w sobie wiele różnych talentów, pasji i dążeń jako obdarzony artystyczną duszą poeta i malarz, pionier polskiego żeglarstwa, taternictwa i narciarstwa, twórca Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, szturman mórz lodowatych wpatrzony w blask zorzy polarnej. To także działacz niepodległościowy, więzień polityczny i zesłaniec syberyjski, żołnierz Legionów Polskich, to wreszcie uwielbiany przez harcerzy kapitan „Zawiszy Czarnego".

Syn stepów, który ukochał morze

Urodził się 31 stycznia 1867 roku na Podolu, gdzie jego ojciec Seweryn dzierżawił majątek Dumanów nad Smotryczem, słynący z dorodnych łanów pszenicy, plantacji tytoniu i buraków cukrowych. Dzieciństwo Mariusza przypadło na czas wzmożonych prześladowań ludności polskiej po klęsce powstania styczniowego, w którym walczył jego ojciec. Przed tragicznym losem zesłańca uratowały pana Seweryna zeznania służby dworskiej i chłopów, zaświadczających przed carską władzą, że nie opuszczał dworu podczas powstańczej zawieruchy. Dzięki temu Mariusz mógł cieszyć się beztroskim dzieciństwem, a potem uczyć się w Mohylowie i ukończyć gimnazjum w Kamieńcu Podolskim, kiedy to zamieszkał u stryja Józefa, powstańca styczniowego, który wtajemniczał go w zasady konspiracji.

W 1885 roku przed utalentowanym młodzieńcem stanął otworem wydział matematyczno-fizyczny uniwersytetu w Odessie – barwnym i pełnym życia mieście, stanowiącym naówczas największy port Cesarstwa Rosyjskiego. Tu, z perspektywy Schodów Potiomkinowskich, po raz pierwszy ów syn podolskich stepów ujrzał morze, które stało się odtąd jego wielką miłością. Widoki łodzi rybackich i statków chyboczących się na kotwicach, egzotyczne zapachy, barwy i dźwięki pobudzały jego wyobraźnię do tego stopnia, że zaczął utrwalać je pędzlem, tworząc marynistyczne obrazki i ujawniając tym samym talent plastyczny, który postanowił rozwijać w odeskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wsłuchany w głos morza, zaciągał się w czasie wakacji na statki handlowe płynące do Syrii, Egiptu, Indii, Chin i Japonii, a złapawszy żeglarskiego bakcyla, marzył, by zostać kapitanem żaglowca. Aby więc zdobyć marynarski patent, wstąpił do odeskiej szkoły morskiej, w której dał się poznać jako twórca oryginalnych projektów służących rozwojowi żeglugi. W tym też czasie zapełniał grube bruliony własnymi wierszami i tłumaczył utwory młodo zmarłego poety rosyjskiego Siemiona Nadsona, w których pociągało go nieokreślone poczucie bólu istnienia przezwyciężane przez rwącą się do życia i ideału siłę młodości.

ed129928

W konspiracji i na zesłaniu

Obok poezji i dalekich wypraw morskich coraz więcej miejsca w jego życiu zajmowała podziemna działalność niepodległościowa. W Odessie nie brakowało wówczas młodych zapaleńców podnoszących się przeciwko carskiej władzy i złaknionych prawdziwej wolności, którzy potajemnie w ośrodkach akademickich skupiali się w nielegalnych kółkach o charakterze rewolucjonizującym i socjalistycznym. „W kosmopolitycznej, beztroskiej, zdawałoby się, Odessie – pisze Henryka Stępień – wyczuwało się podskórny niepokój i wrzenie. W wielu domach długo w noc paliły się światła, rzucając migotliwe błyski na rozgorączkowane twarze spiskowców. Jednym z takich miejsc konspiracyjnych spotkań stał się domek Zaruskich przy ulicy Bazarnej". W gronie wtajemniczonych czytano nielegalne pisma i zakazane książki przemycane z zagranicy, odezwy i manifesty polityczne, a przede wszystkim dyskutowano o Polsce i możliwościach jej odrodzenia. Wiedziano, że niepodległość trzeba wywalczyć z bronią w ręku, więc młodzi konspiratorzy, w tym i Mariusz, zawczasu szykowali się do przyszłej walki, ćwicząc w leśnym ukryciu musztrę, posługiwanie się bronią i komunikację za pomocą alfabetu Morse'a. Zaruski wstąpił nawet do carskiego wojska, odbywając w nim roczną służbę w 10. Batalionie Strzelców 14. Brygady, by zdobyć praktyczną wiedzę żołnierską i podzielić się nią ze współtowarzyszami konspiracji. Brał udział w wielkich manewrach wojskowych pod Odessą oraz w letnich ćwiczeniach w Międzyborzu i Mikołajewie, nawiązując zarazem kontakty z polskimi organizacjami niepodległościowymi – Ligą Polską i Polskim Towarzystwem Gimnastycznym „Sokół".

Kres jego podziemnej działalności położyło aresztowanie w 1894 roku. Od dawna carscy szpiedzy mieli na oku dom Zaruskich, tym bardziej że przychodził tam człowiek znający Aleksandra Ulianowa – brata Lenina, skazanego na śmierć za udział w zamachu na cara Aleksandra III. Wiele miesięcy przyszło więc spędzić Zaruskiemu za kratami odeskiego więzienia przy Nowej Rybnej, gdzie w zatłoczonej celi pomogły mu wytrwać codzienne ćwiczenia gimnastyczne wymagające wręcz akrobatycznej sprawności, jak podnoszenie na palcu dłoni albo i na nosie ciężkiego krzesła. Oskarżony o związki z odeskim „Sokołem" i innymi nielegalnymi organizacjami wykrytymi w Odessie skazany został 6 grudnia 1895 roku na pięć lat zesłania do guberni archangielskiej. Na wyznaczone miejsce podążał tym samym szlakiem, co tysiące polskich powstańców i konspiratorów, tą samą trasą, co jego przyszły dowódca i rówieśnik – Józef Piłsudski, skazany na pięć lat zsyłki na Syberię.

Z Petersburskiej tiurmy wieziono Zaruskiego etapami do Archangielska. Jego wygnańczy los znaczyły więzienia w Szlisselburgu, Pododze, Ładijnym Polu, Kargopolu i Wytagrie, gdzie znosił głód, zimno i tysiące grasujących pluskiew. Pierwszym miejscem jego zesłania były Chołmogory znane z handlu sobolami, rybą i solą, skąd udało mu się przenieść do Archangielska w celu ukończenia kursów szyperskich i złożenia egzaminu na szturmana. Zatrudnił się tam w porcie przy rozładunku łodzi rybackich, kutrów i statków, a tymczasowe przytulisko znalazł na ciasnym poddaszu, które podzielił z polskim pisarzem Andrzejem Strugiem, zesłanym w głąb Rosji za działalność niepodległościową. Sam Mariusz rzucony na daleką Północ ukojenie odnajdywał we własnej twórczości poetyckiej. Nad zmrożonymi wodami Oceanu Arktycznego rodziły się jego „Sonety morskie", które opublikował na wygnaniu, podobnie jak własne przekłady poezji Nadsona.

Szturman mórz lodowatych

W głębi duszy pragnął znów znaleźć się na morzu i choć wydawało się to nierealne, stanął przed obliczem rosyjskiego gubernatora i poprosił o zgodę na udział w dalekomorskich rejsach. Zapytany, jaką otrzyma gwarancję na to, że nie ucieknie do Europy, bez wahania odpowiedział, że daje słowo honoru Polaka. To wystarczyło, by przekonać gubernatora. I tak oto otwarła się przed zesłańcem niezmierzona swoboda mórz i oceanów. Od razu też zaciągnął się na stary, wysłużony szkuner „Dzierżawa", co po rosyjsku znaczy „Mocarstwo". Na nim to właśnie w rejonach Morza Białego przeżył noc niepodobną do żadnej innej w swoim życiu. Sztorm zaskoczył załogę po tym, jak zbłądziła, posuwając się między skalistymi brzegami a ogromnymi połaciami zdradliwej mielizny. Pijany kapitan Bajow, wychyliwszy ostatnią butelkę wódki, zaszył się w swej kajucie gotowy na śmierć. Samotni w obliczu rozszalałego żywiołu marynarze rzucili się do brasów i kliwrów. Nagle zza prawej burty okrętu wyrosła spieniona ściana, z kłębiącym się wałem wodospadu na wierzchołku. Statek zwalił się na bok, a Mariusz, by przywrócić poziom pokładu, chwycił odruchowo za talrepy drabinki sznurowej i nie wypuścił ich z rąk nawet wtedy, gdy olbrzymi, wodny grzywacz wpadł na niego z całym impetem. „Poczułem uderzenie w głowę – opowiadał – i znowu zanurzyłem się w głębię. [...] naraz jakaś siła wyrwała mnie z odmętów i wraz z burtą wyrzuciła wysoko. Ujrzałem światło dzienne. »Dzierżawa« dźwignęła maszty swe z wody". Wtedy to, widząc, że okrętowy bosman Andreicz, choć „wciąż ryczał i płakał u steru", kręcił nim zawzięcie, Zaruski skoczył do wyrąbywania burt, bo nie nadążano już z wylewaniem wody wiadrami. Gdy zaś wicher wyrwał dolny róg żagla, bez którego nie mogli iść naprzód, wraz z Andreiczem wspięli się po łańcuchu bukszprytu i kołysząc się między niebem

eprasa.pl 77ed129928

a wodą, ujarzmili uciekiniera. Potęga fal była jednak silniejsza od żagli. Toteż Zaruski, widząc już niosące śmierć zarysy skał, upatrzył sobie belkę tłukącą się po pokładzie, której zamierzał się uczepić w razie katastrofy. I oto w tym dramatycznym momencie stała się rzecz nieprawdopodobna – nastąpił odpływ morza cofającego się ku rzece Mezeni. Byli uratowani! Ale tylko na chwilę... Bo oto po szczęśliwym ominięciu granitowych urwisk przylądka poczuli, że „Dzierżawa" na gwałt wypełnia się wodą przez rozluźnione wstrząsami spojenia. Woda lała się wszystkimi szczelinami. Tonęli! Każdy kto żyw podrywał się do pomp, a gdy te wreszcie zaczęły wypluwać pianę na pokład, stało się jasne, że idzie ona już z samego dna okrętu i że wydarli się z paszczy śmierci. Burza ustawała. Na horyzoncie zamajaczył Brzeg Zimowy.

Po dobiciu do portu w Archangielsku zrobiło się głośno o młodym marynarzu Zaruskim, co tak odważnie poczynał sobie podczas sztormu na „Dzierżawie". Jeden z bogatych kupców rosyjskich, niejaki Smietatin, zaproponował mu nawet opłacenie dalszej nauki w szkole morskiej i przejęcie dowództwa na żaglowcu „Nadzieja". I tak też się stało. Mariusz w ciągu zaledwie sześciu miesięcy zdał wzorowo wszystkie egzaminy, zdobywając tytuł szturmana żeglugi kabotażowej i wyruszając wiosną 1899 roku w swoją pierwszą podróż dalekomorską jako pełnoprawny kapitan.

Na polską ziemię powrócił w 1901 roku i wtedy też poznał swą przyszłą żonę Izabelę Kietlińską – córkę odeskiego lekarza, zakochaną w nim na zabój dwudziestoletnią pannę. Jako świeżo zaślubieni małżonkowie wyjechali razem do Krakowa, ówczesnej artystycznej stolicy Młodej Polski, w której to uzdolniony plastycznie marynarz kontynuował studia malarskie na Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Józefa Mehoffera, Juliana Fałata i Leona Wyczółkowskiego. Bywał też częstym gościem w literacko-muzycznym salonie Andrzeja Struga, przyjaciela z czasów archangielskich, który wciągnął go w barwny nurt życia młodopolskiej bohemy. Ciesząc się wolnością i artystyczną atmosferą Krakowa, Zaruski zaangażował się w działania Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza, wydał ponownie zbiorek „Sonetów morskich", przekłady wierszy Nadsona, wreszcie operujący specjalistyczną terminologią pionierski podręcznik żeglarstwa „Współczesna żegluga morska".

„Król Tatr" i pierwszy narciarz Zakopanego

Swoje miejsce na ziemi odnalazł jednak dopiero w Zakopanem, które na przełomie XIX i XX wieku przeżywało swoją złotą erę, przyciągając z magnetyczną siłą rozkochanych w tatrzańskim pięknie malarzy, pisarzy, poetów, ludzi nauki i kultury, a do tego niezliczone rzesze dotkniętych bakcylem gruźlicy kuracjuszy oraz miłośników białego szaleństwa i wysokogórskich wędrówek. Państwo Zaruscy, urzeczeni majestatem ośnieżonych Tatr i zwabieni perspektywą szybkiego zarobku w przeżywającym prawdziwy boom turystyczny Zakopanem, przeprowadzili się tam na stałe wiosną 1904 roku. Wynajęty przez nich dom przy ulicy Ogrodowej przeobrazili w przytulny pensjonat, ochrzczony mianem „Krywania" – od świętej góry Słowaków. Do jego stałych bywalców należały znane osobowości świata sztuki i polityki – Ignacy Daszyński, Władysław Stanisław Reymont, bracia Józef i Bronisław Piłsudscy, Witold Lutosławski, Ludomir Różycki i Stanisław Witkiewicz. Sam Mariusz z cepra, przybysza z Kresów, przedzierżgnął się w człowieka gór. Jako pierwszy zdobył ponad dwadzieścia szczytów w porze zimowej oraz pokonał kilkanaście tatrzańskich przełęczy, grani i szlaków turystycznych. Swą przygodę z taternictwem rozpoczął w 1904 roku od śmiałego marszu przez Zawrat i zdobycia Kasprowego, Giewontu, Skrajnej i Pośredniej Turni. Do jego niewątpliwych wyczynów należały zjazdy narciarskie z Rysów i Kościeliska oraz osiągnięcie na nich Koziego Wierchu. Świetnie obeznany ze sztuką narciarską, z którą miał do czynienia już w Archangielsku, doprowadził do stworzenia Zakopiańskiego Oddziału Narciarzy Towarzystwa Tatrzańskiego, w którym jako instruktor wtajemniczał wszystkich chętnych w arkana narciarstwa uprawianego na Gubałówce, Pod Reglami i na Żywczańskiem. Pierwszy w historii Zakopanego kurs z udziałem 53 wielbicieli dwóch szybkich desek rozpoczął się 25 grudnia 1908 roku. Dla Zaruskiego narciarstwo było koroną sportów zimowych, kochał je tak samo jak żeglarstwo i całą duszą pragnął tę miłość wpoić swoim rodakom, co czynił m.in. jako dziennikarz sportowy w piśmie „Zakopane". Będąc autorem tekstów zamieszczanych w rubryce „Z Tatr", raczył swoich czytelników górską witaminą C – najlepszym lekarstwem na dekadentyzm. W jednym ze swoich elektryzujących artykułów promujących narciarstwo pisał, że jest to sport inny niż wszystkie, bo otwiera na oścież „zamknięte na siedem zamków lodowych wrota do gór, do hal pogrzebanych pod śniegiem, do stawów zamarzłych, do turni siwobrodych, do majestatu zimowej tatrzańskiej pustyni [...]. Na nartach, tylko na nartach, można ją podejść, podsłuchać, podpatrzeć". Toteż niż dziwnego, że Zaruski w niedługim czasie zabłysnął jako autor prekursorskiego „Podręcznika narciarstwa według alpejskiej szkoły jazdy".

Jak powstał TOPR

Nic jednak nie da się porównać z realizacją spektakularnego przedsięwzięcia, jakim było stworzenie przez Zaruskiego Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratun-

eprasa.pl 77ed129928

kowego, które powstało 29 października 1909 roku w celu poszukiwania zaginionych i niesienia pomocy ofiarom wypadków górskich. Pragnął, by była to „organizacja ratunkowa o charakterze humanitarnego zakonu z surową dyscypliną". Zanim jeszcze TOPR ruszyło ze swą działalnością, Zaruski wraz z zaufanymi ludźmi organizował już takie akcje ratownicze na własną rękę. Przychodziły do niego zrozpaczone rodziny zaginionych i błagały o pomoc. Nigdy nikomu nie odmówił. Pierwsza akcja z udziałem tymczasowej straży ratunkowej ruszyła ku Buczynowym Turniom na pomoc zabłąkanemu turyście Zygmuntowi Daglezie 10 września 1907 roku i zakończyła się sukcesem.

Wielką traumą dla Zaruskiego stała się śmierć jego przyjaciela Mieczysława Karłowicza – wybitnego kompozytora i wielkiego orędownika ucieleśnienia idei ratownictwa tatrzańskiego. Całe życie wędrował on po górach, by dzielić się swoimi wrażeniami z czytelnikami „Słowa Polskiego" czy „Taternika". Tym razem 8 lutego 1909 roku zamierzał przejść na nartach przez Boczań na Halę Gąsienicową, a potem dotrzeć na Żółtą Turnię. W momencie gdy fotografował oszronioną gałąź świerkową, nagle śnieg drgnął i ugiął się pod nim. Była to lawina! Gdy Zaruski dowiedział się o jego zaginięciu, natychmiast posłał po Staszka Gąsienicę-Byrcyna – świetnego narciarza – i czym prędzej wyruszyli na poszukiwania. Ciało Karłowicza odnaleźli dopiero nazajutrz – najpierw dokopali się do jego kutych gwoździami turystycznych trzewików, a potem ukazała się cała postać nieszczęśnika leżąca na nartach twarzą do ziemi z rękami wyciągniętymi przed siebie.

Tragedia ta zdecydowanie przyspieszyła działania skoncentrowane wokół stworzenia TOPR-u. Jego prezesem został doktor Kazimierz Dłuski – twórca zakopiańskiego sanatorium dla gruźlików, Naczelnikiem Straży Ratunkowej – Mariusz Zaruski, a jego zastępcą – legendarny przewodnik tatrzański Klimek Bachleda, któremu pisana była śmierć podczas akcji ratunkowej w 1910 roku, kiedy to puścił się w stronę głębokiego żlebu, by odnaleźć zaginionego studenta Stanisława Szulakiewicza. Ten jednak już nie żył, a na Klimka runęła cała kamienna lawina. Nazajutrz toprowcy odnaleźli jego ciało „na wpół z odzienia odarte, pogruchotane i pozbawione połowy głowy, przywalone [...] ogromnym głazem. Serdak i kabat zostały wysoko na ścianie, trzewiki zdarło mu z nóg, tak w potwornym upadku z wysokości blisko 200 m rozebrała go skała". Dla Zakopanego tragiczna śmierć Bachledy świadczyła jednocześnie o ogromnym poświęceniu pierwszych działaczy TOPR-u, wśród których prym wiódł Zaruski, okrzyknięty jeszcze za życia zakopiańskim hetmanem.

▶ Na skraju przepaści

Na ostatnią wyprawę ratunkową wyruszył 27 lipca 1914 roku. Jej celem były Granaty w Tatrach Wysokich. Poszukiwano doktora Bronisława Bandrowskiego – profesora krakowskiego gimnazjum, jego siostry Marii oraz towarzyszącej im Anny Hackbeilówny. Gdy ratownicy znaleźli się nad brzegiem Czarnego Stawu i wyciągnąwszy polowe lornety, zaczęli kamień po kamieniu wpijać wzrok w przeciwległe ściany gór, przewodnik Staszek Byrcyn dostrzegł człowieka w białej koszuli, tkwiącego nad przepaścią w połowie wysokości skalnego komina. Niżej, u podnóża skał, na piargach, leżał trup. W powietrzu rozległa się trąbka sygnałowa Zaruskiego, na dźwięk której wahadłowe ruchy odnalezionego ustały.

Do zakleszczonego w kamiennym potrzasku można się było dostać tylko od góry komina, spuszczając się przez niego na liniach w głąb złowrogiej czeluści. Śmiałków było dwóch – Zaruski i Jędrzej Marusarz. Obwiązani linami, z latarkami w zębach powoli zsuwali się w dół. W momencie gdy woda ze żlebu zaczęła strumieniem lać się im na głowy, latarki od razu pogasły. Nagle trzydziestometrowa lina skończyła się i aby wyciągnąć zapasową, trzeba było zaczepić gwoździami trzewików o jakąś skalną wypustkę i za pomocą zębów oraz lewej ręki związać jedną z drugą węzłem alpejskim. Dopiero niżej Zaruski ujrzał ludzką postać leżącą na samym skraju płyty silnie nachylonej nad przepaścią. Była to Maria Bandrowska! Okrywszy czymś ciepłym przemarzniętą do szpiku kości i wyczerpaną do cna kobietę, dał jej dla wzmocnienia parę kropel koniaku i trochę czekolady, po czym rozpoczął wraz z Marusarzem wymagającą Herkulesowej sprawności i siły akcję wyciągania jej w górę. Ratownicy posuwali się metr po metrze aż do chwili przejęcia zaginionej przez czekających w pogotowiu toprowców. Okazało się później, że schodząca po pomoc Hackbeilówna zginęła w sąsiednim żlebie, a Bronisław Bandrowski popełnił samobójstwo, rzucając się w przepaść. Maria, która przeleżała w wodzie długie godziny, „zdecydowała się pójść w ślady brata. Dźwignęła się do pozycji półsiedzącej [...] i poruszając się wprzód i wstecz, zaczęła zsuwać się z płyty". I w tej to właśnie chwili usłyszała zbawczy głos trąbki i krzyk Zaruskiego. Wiedziała, że jest ocalona, upadła na płytę i zasnęła.

▶ Zamiast nart i kijów szary mundur i Mannlicher

Ukochane Tatry i miły sercu „Krywań" przyszło Zaruskiemu opuścić na wieść o wybuchu I wojny światowej, kiedy to wysłużone narty i kije postanowił zamienić na szary mundur i austriackiego Mannlichera. Już bowiem od 1912 roku należał do tajnego Związku Walki Czynnej oraz działającego oficjalnie w Galicji paramilitarnego Związku Strzeleckiego, którego duszą i mózgiem był Komendant Piłsudski, zawczasu przygo-

eprasa.pl 77ed129928

towujący kadry przyszłego wojska polskiego do walki o wolną ojczyznę. Gdy wybiła godzina próby, 5 sierpnia 1914 roku, Zaruski wymaszerował z Zakopanego na czele oddziału piechoty, by dotrzeć do krakowskich Oleandrów i stamtąd ruszyć w bój o Niepodległą.

Służąc w 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich pod dowództwem Władysława Beliny-Prażmowskiego, rotmistrz Zaruski brał udział w kilkudziesięciu bitwach i potyczkach staczanych w latach 1915–1916 na Wołyniu i Polesiu. Podczas kryzysu przysięgowego w 1917 roku został aresztowany i zamknięty w twierdzy przemyskiej jako „nieugięty bojownik idei brygadiera Józefa Piłsudskiego". Zwolniony z więzienia objął dowództwo nad tajnymi strukturami Polskiej Organizacji Wojskowej na Podhalu. W listopadzie 1918 roku na czele podległych mu oddziałów strzelców podhalańskich wyzwalał polskie wsie na Spiszu, a kwietniu 1919 roku wraz z majorem Gustawem Orliczem-Dreszerem w brawurowym natarciu zdobywał Wilno opanowane przez bolszewików. W Niepodległej powierzono mu dowództwo nad 23. Pułkiem Ułanów Grodzieńskich oraz zaszczytną funkcję generalnego adiutanta prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego. Uwieńczeniem jego służby wojskowej były szlify generalskie, a także Order Virtuti Militari i Order Odrodzenia Polski.

„Na skrzydłach jachtów"

Dla generała Zaruskiego nie istniało pojęcie spoczynku, zwłaszcza że odradzająca się Polska uzyskała dostęp do morza, a on był przecież człowiekiem o duszy marynarza. Miał świadomość, że Bałtyk to dla II Rzeczypospolitej okno na świat, dające niewyobrażalne wprost możliwości rozwoju w zakresie gospodarki, handlu, polityki i siły zbrojnej. Dlatego ponad wszystko pragnął w polskim społeczeństwie obudzić miłość do morza, „skąpać po prostu je w wodzie, wychować pokolenie ludzi znających morze, rozmiłowanych w nim do najwyższej tęsknoty". Za jego to sprawą powołano do życia w 1924 roku Yacht Klub Polski – pierwsze w Rzeczypospolitej zrzeszenie ludzi, których połączyła pasja żeglarska. Z jego też inicjatywy zakupiony został pierwszy polski jacht pełnomorski „Witeź", na którego pokładzie wypłynął w inauguracyjny rejs do Szwecji, odbywając tym samym pionierską jachtową podróż morską pod polską banderą.

Kapryśne morze lubi jednak poddawać swoich żeglarzy próbie i tak było też z „Witezią". Gdy Zaruski spostrzegł podczas wachty czarną toń wody zasnutą kotłującą się białą pianą, od razu pojął, że oto idzie szkwał, ba, nadlatuje jak jastrząb. Zdążył więc jeszcze krzyknąć, by refowano żagle, a sam doczołgał się na kolanach do masztu. Jacht podskoczył kilkakrotnie, po czym legł na boku. Kapitan Zaruski nie stracił jednak zimnej krwi i trzymając się nogą liny, kręcił co sił korbą refową, podczas gdy ktoś inny wypuszczał odpowiednią linę. Dzięki temu „Witeź" podniosła się, zdoławszy dopłynąć do malutkiej wysepki Hanö.

Nieraz jeszcze Zaruski wypuszczał się do Szwecji, Danii i Finlandii na jachtach prywatnych bądź należących do Yacht-Clubu. Ten niedawny szturman mórz lodowatych i zdobywca wód Dalekiego Wschodu przeistoczył się w II Rzeczpospolitej w jachtsmana, dla którego idea morza miała swój głęboki sens. Generał zapragnął przede wszystkim „kształtować spiżowe charaktery młodzieży". Myśl tę najlepiej chyba wyraził we wstępie do swojej książki „Wśród wichrów i fal", pisząc: „Pływałem, [...] mokłem i marzłem na pokładach jachtów nie po to, ażeby z Was uczynić sporowców, [...] lecz dlatego, ażebyście Wy, jako Polacy, poznali morze, uczuciem z nim się związali, uznali je za własną bezcenną wartość, bez której nie ma życia dla dzisiejszej Polski". Dlatego też z wielką pasją uczył sztuki żeglarskiej rwących się na morze harcerzy, prowadząc dla nich w Jastarni kursy na stopnie żeglarza i sternika morskiego. Był mistrzem dla harcerki Jadwigi Wolffowej, która zdobyła stopień kapitana jachtowej żeglugi morskiej jako pierwsza kobieta w Polsce i zastała kapitanem jachtu „Grażyna", zakupionego specjalnie dla polskich harcerek w 1934 roku. Wkrótce też i chłopcy z drużyn harcerskich doczekali się własnego jachtu, który otrzymał imię „Zawisza Czarny" i pod dowództwem Zaruskiego odbył 17 rejsów, przemierzając 14 tys. mil morskich i zarzucając kotwice w 26 portach.

W ostatni swój rejs, planowany na koniec sierpnia 1939 roku, Mariusz Zaruski już nie wyruszył. Jego żeglarskie plany unicestwił wybuch II wojny światowej. Ze względu na swój wiek nie mógł być przyjęty do wojska, choć pragnął tego z całej duszy. Mimo iż harcerze ukryli go wraz z żoną we lwowskim ogrodzie botanicznym i dostarczyli mu fałszywe papiery, został i tak z końcem 1939 roku aresztowany przez NKWD i osadzony we lwowskich „Brygidkach", gdzie przetrzymywano dużą grupę polskich oficerów. Wiosną 1940 roku przeniesiono go do więzienia w Chersoniu. Tam, jako „element społecznie niebezpieczny", skazany został na 5 lat łagrów w Kraju Krasnojarskim. Na zesłanie nigdy jednak nie dotarł. Zapadłszy na krwawą dyzenterię, wycieńczony i zagłodzony, zmarł w więziennym szpitalu 8 kwietnia 1941 roku. Tak odszedł „król Tatr", żołnierz Legionów Polskich, pierwszy żeglarz Rzeczypospolitej, „człowiek obdarzony jasną, świetlaną duszą". ■

_____

Źródło: Henryka Stępień, „Mariusz Zaruski. Opowieść biograficzna", Warszawa 1997; Bartosz Januszewski, „Mariusz Zaruski", Warszawa 2020.

eprasa.pl 77ed129928



Anna Wylegała, „Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce", Czarne, Wołowiec 2022

Krzysztof Wołodźko



PRZECIW MITOM I PROPAGANDZIE. WIEŚ PO REFORMIE ROLNEJ PKWN

Choć od czasów przemiany ustrojowej minęło ponad trzydzieści lat, wiele zjawisk związanych z Polską Ludową nie znalazło pełnego omówienia. W niemałym stopniu dlatego, że wciąż stanowią temat tabu albo nie ma dla nich właściwego sposobu opisu w debacie publicznej. „Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce" pióra Anny Wylegały to lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy chcą lepiej zrozumieć, jak głębokich przemian poprzedni ustrój dokonał w polskiej rzeczywistości.

eprasa.pl 77ed129928

Wielkopolskie dworki i pałace z Manieczek, Brodnicy Śremskiej, Piotrowa, Chaław, Szołder, Czempinia i Rogalina to część pejzażu, wśród którego się wychowałem. Więcej jeszcze: są częścią mojej osobistej biografii i historii wspólnoty, do której wciąż wracam – nie tylko w rodzinnych podróżach, lecz także jako do ważnego elementu własnej tożsamości.

Ballada postfeudalna

Urodzony pod koniec lat 70., poznałem dawne ziemiańskie dworki jako element mniej lub bardziej oczywistej infrastruktury socjalistycznego państwa. Chodziłem do przedszkola urządzonego w takim dworku – czasem też na obiady do stołówki dla chłoporobotników z wzorcowego PGR Manieczki. Wypożyczałem książki z biblioteki publicznej urządzonej w pięknym pałacyku na obrzeżach małego, sennego dziś miasteczka. Tam też brałem pierwsze prywatne lekcje języka angielskiego, tuż po przełomie ustrojowym.

Jeszcze w latach 80. w niedziele – raczej rzadziej niż częściej – chodziłem na Mszę do katolickiej kaplicy, urządzonej w jednym z takich miejsc. I razem z matką nauczycielką odwiedzałem innych nauczycieli, którzy w latach 80. zamieszkiwali pokoje w dworkach. W jednym z nich jako dziecko mieszkał mój kuzyn – w opustoszałej sali na dole graliśmy w ping-ponga, a na wielkim strychu niemądrze próbowaliśmy rozwścieczyć już i tak rozpieklone szerszenie.

Z gorzkim uśmiechem myślę o „Balladzie feudalnej" Jacka Kaczmarskiego, songu, który opisywał ten świat przed kolejnym wielkim dziejowym zakrętem: „Dwór stoi jak stał, siedlisko wróbli i kukułek / Chociaż plotka i wróżba przyszłość jakąś tu stwarza / W zmatowiałych salonach gdzie się niegdyś snuły / Karmione pamięcią duchy przodków gospodarza / Ciągle w modzie kolumny i obce statuy!". Rozpad tamtego świata, wiatr zmian i nadejście kapitalizmu stanowiły dla mnie czas wyjścia z dzieciństwa, był to więc podwójny, niesamowity przecież przełom. W latach 90. i później widziałem, jak państwowe instytucje obumierają i opuszczają pokoje, kuchnie, sale kominkowe i buduary tych dworków. Widziałem, jak znikają stamtąd pracownicy PGR najróżniejszego szczebla i prowincjonalni inteligenci; jak znikają stamtąd przedszkola, biblioteki, domy kultury, świetlice, kaplice, sale muzealne, przychodnie lekarskie. Widziałem – i wciąż oglądam – ruinę i rozkwit tych wielkopolskich dworków.

Gdy zamknę oczy, bez trudu przypominam sobie, jak wyglądają dziś. Dobrze wiem, zza których okien wygląda nicość, a które stały się luksusowymi przybytkami dla wyższej klasy średniej. Mój sentyment do tych miejsc nie ma w sobie nic baśniowego. Dobrze wiem, czyją były własnością przed 1939 rokiem albo jak potoczyły się ich losy po 1990 roku. Zniszczone lub odrestaurowane, zamknięte na cztery spusty lub ponownie tętniące życiem, często oddzielone od lokalnej społeczności w sposób nieznany ani w epoce PRL, ani w czasach, gdy istniało jeszcze polskie ziemiaństwo, z czasem coraz bardziej zaczęły mnie ciekawić jako miejsca o kompletnie zapomnianej historii. Miejsca, które wciąż nierzadko otacza dziwne milczenie lokalnych społeczności.

Chłopi, fornale i ziemianie

Autorka, socjolożka z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, wpadła na pomysł napisania tej książki właśnie w Wielkopolsce, ale jej praca koncentruje się na Kielecczyźnie. Nie jest to jednak spojrzenie wycinkowe: „Był dwór, nie ma dworu" pozwala lepiej zrozumieć, czym był, jest i mógłby być dworek w wiejskim pejzażu, w jego przestrzeni społecznej i kulturowej. Opis oparty na procesach związanych z długim trwaniem umożliwia lepsze zrozumienie także tej rzeczywistości: „co się działo z funkcjami, które przed 1944 rokiem pełnił właściciel ziemski – ekonomicznymi, opiekuńczymi, kulturotwórczymi? Jakie przemiany dotykały sfery symbolicznej, obrzędowej, religijnej w społecznościach wiejskich, gdy znikał dziedzic i dwór przestawał być istotnym elementem życia społecznego?".

Bohaterami tej książki są chłopi, fornale, ziemianie i wiejska przestrzeń, zmieniająca się radykalnie w momencie wejścia sowieckich wojsk. Anna Wylegała mówi jasno: przed reformą rolną był rabunek i szaber, były próby ocalenia choć części ziemiańskich dóbr i jeszcze po dekadach okryte milczeniem lokalnej społeczności przechodzenie ziemiańskiego majątku z rąk do rąk. Zapisy rozmów ze świadkami wydarzeń i tych, którzy są dziedzicami pamięci o tamtych czasach, nadają niekiedy mocno emocjonalny ton tej popularnonaukowej książce. Szeroka perspektywa badawcza, spojrzenie zarówno na mocno niejednorodną społeczność chłopską, jak i na nie mniej nieoczywistą warstwę ziemiańską – czyni obraz nader złożonym.

Gdy zajrzymy pod podszewkę wielkiej transformacji lat 40. XX wieku w Polsce, zobaczymy przede

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 77ed129928

wszystkim liczne instytucje, ustanowione przez podległy Moskwie „lubelski rząd", na czele z powiatowymi i gminnymi pełnomocnikami do spraw reformy rolnej, a także urzędnikami Państwowych Nieruchomości Ziemskich. Ale „w praktyce podział ziemi stanowił arenę, na której ścierały się również interesy różnych innych aktorów – Polskiej Partii Robotniczej i Polskiego Stronnictwa Ludowego, Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Milicji Obywatelskiej – a także – zwłaszcza w pierwszych miesiącach realizacji reformy – Armii Czerwonej oraz najważniejszych lokalnie oddziałów partyzanckich". Ponadto „wbrew temu, co głosiła propaganda, proces podziału »ziemi obszarniczej« był złożoną machiną urzędniczo-polityczną, nie zaś ruchem spontanicznym". W dużej mierze przesądziło to o tym, że niemała część wsi wcale nie czuła się usatysfakcjonowana z rezultatów PKWN-owskiej reformy rolnej. Już wtedy narodziły się nieufność i awersja niemałej części wsi wobec nowego ustroju i władzy.

Rabunek, szaber, głód

Przypomnijmy, że na terenach należących przed II wojną do państwa polskiego parcelację dawnych ziemiańskich majątków przeprowadzano na podstawie dekretu PKWN z 6 września 1944 roku. W 1946 roku uzupełniono go dekretem o ustroju rolnym i osadnictwie na Ziemiach Odzyskanych i byłego Wolnego Miasta Gdańska. Nie mniej istotna cezura to pojawienie się Sowietów we dworze: w centralnej Polsce był to przełom 1944 i 1945 roku. Był to strach o życie, lęk przed gwałtem i mniej lub bardziej dojmująca świadomość, że czas się pożegnać z własnym dziedzictwem. I to nie tylko w wymiarze materialnym: wraz z podpalanymi bibliotekami, odpiłowywanymi meblami, rozkradanymi obrazami, wynoszonymi z dworów precjozami upadał ziemiański świat. Świadomość poczucia straty pojawiała się niekiedy także wśród ludzi nowej administracji, w formie argumentu: to wszystko, co zniszczono, rozkradziono, wywieziono, powinno dalej służyć całej wiejskiej wspólnocie.

Powojenne realia, wygnanie z majątków, widmo głodu powodowały, że nawet tam, gdzie nie dochodziło do rabunku i szabru, decydowała i tak biologiczna chęć przeżycia. Dawni ziemianie wymieniali majątki na żywność. Maria Walewska (majątek Kowale) wspominała: „znaleźli się chętni nabywcy mebli. Niestety były to przeważnie transakcje bezgotówkowe, typowy handel zamienny czasów wojny. [...] Sprzedawałam [meble i] talerze, te z wyprawowego serwisu mojej matki. Za 6 sztuk talerzy – 1 kilogram masła lub słoniny". Dla wielu najgorsza była niepewność. Stanisław Turnau z Wlonic zapisał w swoim dzienniku: „Żyjemy ciągle w zawieszeniu, rzeczy mamy częściowo w walizkach. Nie wiemy, czy wiosną osiądziemy w mieście, czy też trzeba się będzie kłopotać o wiosenne zasiewy. To oczekiwanie jest bardzo ciężkie, tym bardziej że każdy dzień stracony dezorganizuje coraz więcej warsztat rolny, pozbawia go środków produkcji, utrudnia zdobycie zboża siewnego. Cały system komisarzy i milicji prowadzi tylko do rabunku, próżniactwa i rozstroju".

Na pożegnanie z majątkiem, wsią i lokalną wspólnotą często wpływ miało to, jak dziedzic w dawniejszych czasach żył z chłopami, fornalami, służbą. Dochodziło do sytuacji, gdy Sowieci lub przedstawiciele nowej władzy dla przykładu chcieli wieszać lub surowo karać „panów", ale lokalna społeczność wstawiała się za nimi, podnosząc, że byli to dobrzy ludzie. Czasem przeważało jednak poczucie zadawnionych krzywd, poczucie zamętu i bezkarności, które najczęściej kończyło się grabieżą, a później szabrem, którego psychospołeczne mechanizmy, sięgające konsekwencjami czasów nam współczesnych, autorka opisuje dość szczegółowo. Rabowali nie tylko żołnierze sowieccy: majątek w Plechowie był areną sporu między milicjantami ze Stojanowic i Kazimierzy Wielkiej, którzy regularnie „przechodzili z tragarzami": przy okazji zaprowiantowania wynosili meble ze dworu. Powiatowy pełnomocnik do spraw reformy rolnej słał co prawda liczne skargi na milicję, ale władzę realną sprawował ten, kto miał prawo posiadania i używania broni palnej.

Bambrzy i „ci z majątku"

Wylegała prowadzi czytelników i czytelniczki przez czas tamtych gwałtownych przemian. Wiele mówią nazwy kolejnych rozdziałów: „»Nie było na wsi spokoju«. Lęk, chaos i przemoc", „»Każdy chciał być na swoim«. Parcelantów droga do samodzielnego gospodarstwa", „»Dwór nie wieś, dworusy nie chłopy«. Przemiana poparcelacyjnej wsi", „»Zacząć wszystko od nowa«. Ziemianie bez ziemi", „»I tak nam ten dwór zmarniał potem«. Dworska przestrzeń po reformie", „»Wszyscy we wsi wiedzą«. Długie trwanie reformy".

Już tylko po nich widać dość dobrze, w jak wielkim stopniu nowe doświadczenie (indywidualne, społeczne, ustrojowe, historyczne) było mieszaniną poczucia zysku i straty, triumfu i porażki lub dalszej życiowej niepewności. Z pozoru radykalnie

eprasa.pl 77ed129928

zmodernizowany przez przemiany 1944 i 1992 roku wiejski świat wciąż ukrywa naprawdę stare antagonizmy. W książce „Był dwór, nie ma dworu" bez trudu odnalazłem wątki, które dobrze znam z Wielkopolski: ukryty podział na dawne wsie należące do majątku i wsie, w których gospodarzyli bogatsi chłopi, niekiedy bambrzy, czyli potomkowie XVIII-wiecznych niemieckich osadników z rejonu Bambergu. To dotyczyło i dotyczy także pojedynczych wsi, w których ostali się w czasach PRL nieliczni gospodarze, a wokół nich rozciągał się pofornalski, PGR-owski żywioł. To podział, w którym niewykorzenione drzemią ukryte kompleksy, wzajemna niechęć, poczucie wyższości, lokalne stereotypy i strefy wpływów.

W grę nie wchodzi też jedynie prosty podział na ziemian i wieś – ten antagonizm nie był zresztą tak oczywisty jeszcze w czasie PKWN-owskiej reformy rolnej. Poczucie niepewności, czasem niesprawiedliwości, dotyczyło tych, których propaganda PRL jednoznacznie przedstawiała jako beneficjentów przemian. Dwór przestał być dworem. To nie oznacza, że wielu z tych, którzy wcześniej od niego zależało, stało się ludźmi zasobnymi czy pełnoprawnymi obywatelami (nawet mimo formalnie przysługujących im praw). Dzieje chłoporobotników z Państwowych Gospodarstw Rolnych – zarówno historia z czasów PRL, jak i ich późniejsze losy w III Rzeczpospolitej – świetnie to pokazują.

Wyzysk w PRL – nieznana ludowa historia

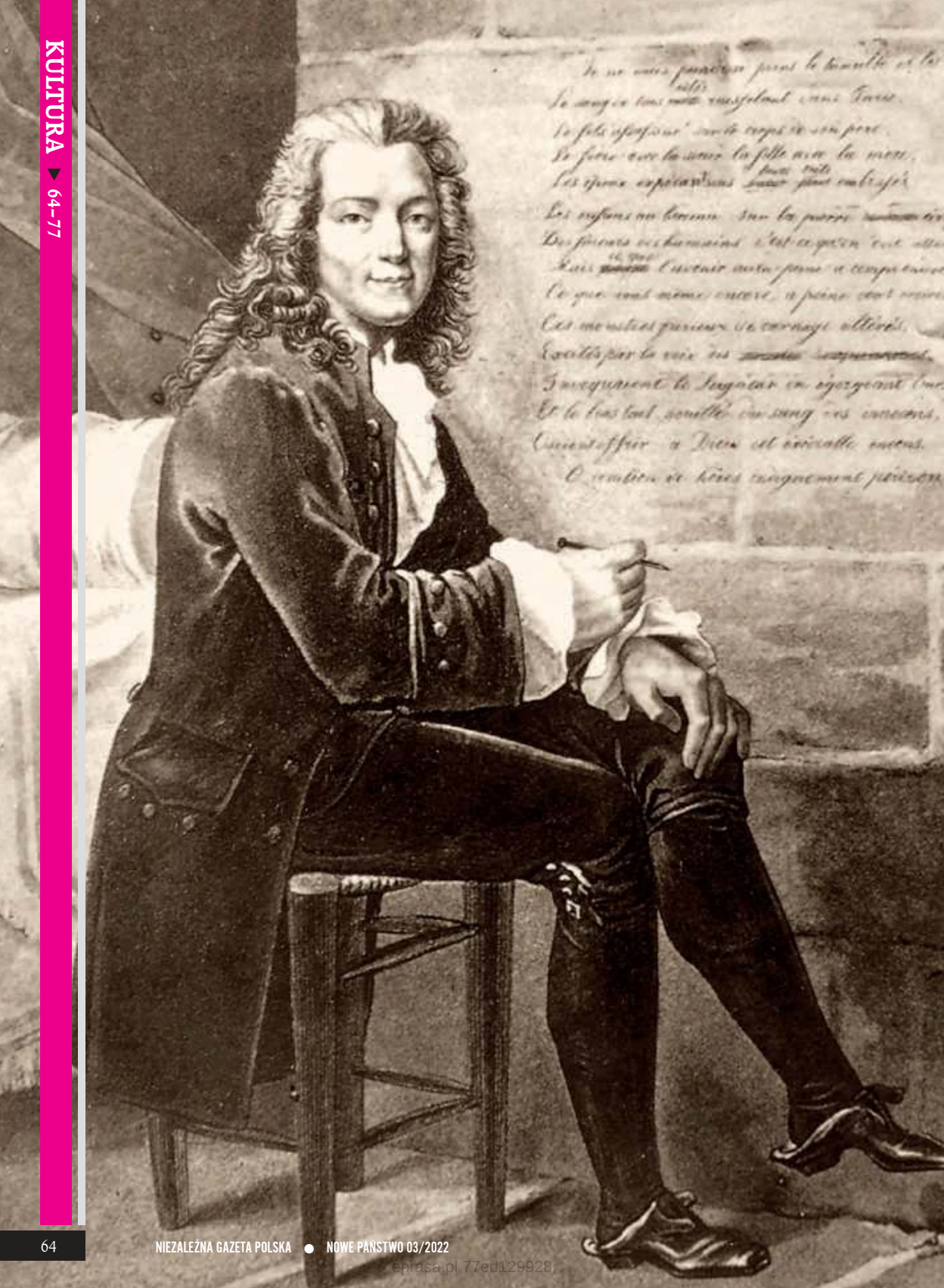
Zatrzymajmy się na moment przy tych, którzy byli beneficjentami reformy rolnej z lat 40. XX wieku. Bezrolni i małorolni otrzymali ziemię. Wielu z nich to uszczęśliwiło. Szybko się jednak okazało, że ziemia to za mało. Marian Assynger, przed wojną bezrolny, dostał od nowej władzy niemal hektar dobrej ziemi. Ale wtedy zaczęły się nowe problemy. Jak wspominał: „była ziemia, nie było czym jej obsiać, obsadzić. Zapanował głód. Chodziliśmy po polach, zbieraliśmy zgniłe i zmarznięte zeszłoroczne ziemniaki, tak zwane »ciuły«, z których piekliśmy placki". Inny, częsty problem opisuje Wylegała: „działki często leżały daleko od miejsca zamieszkania parcelantów, niejednokrotnie nawet w wioskach odległych o kilka kilometrów, co dla chłopów małorolnych, przeważnie niemających konia ani wozu, było ogromnym utrudnieniem".

W dodatku – wbrew propagandzie „ludowej władzy" – ziemia i inwentarz zabrane dawnym właścicielom (z zasady przejęte bez odszkodowań) wcale nie były za darmo: „nabywca musiał wpłacić dziesięć procent należności, resztę zaś rozkładano na raty – na dziesięć lat dla małorolnych, dwadzieścia lat dla bezrolnych. O tym, że dla wielu dopiero co bezrolnych było to obciążenie nie do udźwignięcia, świadczy fakt, że ściągalność rat wynosiła 40,9 procent w 1951 roku do 53,5 procent w 1955 roku". Dodajmy jeszcze jedną rzecz: często mówi się, że w początkach PRL, w czasie organizowania PGR-ów, władze celowo odmawiały sprzętu rolnego bogatym chłopom, żeby utrudnić im życie albo zachęcić do oddania ziemi „kołchozowi". Ale od początku reformy rolnej system skonstruowany był tak, żeby jak najwięcej wyciągnąć z harówki na roli: małorolni i bezrolni „obdarzeni ziemią" przez nową władzę musieli radzić sobie, jak umieli: „słowa »mordęga«, »harówka«, »ugór« i »męka« pojawiają się właściwie we wszystkich wspomnieniach chłopów nadzielonych ziemią. Daleko położone działki, brak inwentarza, brak zabudowań, brak pieniędzy na inwestycje, a do tego konieczność spłacania gruntu sprawiały, że „to utęsknione nowe życie na swoim kawałku ziemi bywało czasem beznadziejne".

Można pokusić się o hipotezę roboczą: jeśli potraktować niemałą część książki Anny Wylegały jako mniej oczywistą opowieść o ludowej historii Polski, to zobaczymy, że od swoich początków komunistyczne metody zarządzania wsią i zarabiania na jej pracy pod pewnymi względami niewiele się różniły od najgorszych pańszczyźnianych tradycji. Nawet jeśli weźmiemy poprawkę na technologiczny i cywilizacyjny postęp na wsi, który nie był przecież wyłącznym osiągnięciem nadwiślańskiego socjalizmu. Po prostu: wyzysk lepiej zamaskowano. Co więcej – szczególnie dla małorolnych chłopów przyłączenie do PGR-ów było w takiej sytuacji lepsze niż „pozostawanie na swoim". Absurdy systemu co prawda nadal doskwierały (Reportaż „Kartki z pegeeru" Janusza Rolickiego wciąż wart jest lektury), ale można było sobie choć trochę lepiej ułożyć życie, odjąć sobie i bliskim choć trochę harówki.

Książka Anny Wylegały nie jest sentymentalnym opisem utraconego dworskiego świata, nie jest też paszkwilem na przemiany na wsi po reformie rolnej z początków Polski Ludowej. Rzeczowa, chłodno napisana, obfituje w szczegóły i maluje najróżniejsze perspektywy dotyczące polskiej wsi. I lepiej pozwala zrozumieć współczesny dworek-nie-dworek, który stał się dziwacznym niekiedy świadectwem najradykalniejszych polskich przemian w XX wieku. ■

eprasa.pl 77ed129928



eprasa.pl 77ed129928



Jakub Augustyn Maciejewski

WOLTER. ŚWIECKI PAPIEŻ OŚWIECENIA

Gdyby żył dzisiaj, byłby zapraszany do wszystkich najważniejszych programów telewizyjnych, a przed ekranami zasiadałyby dla niego miliony ludzi. Zapewne prowadziłby własne konto na YouTube, a pisarze, dziennikarze i politycy bardzo by się bali mu podpaść. Czy jednak poza błyskotliwymi powiedzeniami i powiastkami Wolter naprawdę zostawił po sobie coś wybitnego?

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 77ed129928

François-Marie Arouet (1694–1778), który później nazwał się Wolterem, był legendą XVIII wieku. Korespondował z carycą Katarzyną, popularności zazdrościł mu król Ludwik XV, pieniędzmi, pochlebstwami i podstępem próbował go zwabić do Berlina król pruski Fryderyk Wielki. Uwielbiała go cała europejska elita, bali się go intelektualiści od Lizbony do Sankt Petersburga, nieśmiało i pokornie pisał do niego król Polski na wygnaniu Stanisław Leszczyński, swoje pytania o sens życia przesyłał mu król szwedzki Gustaw III. Korespondowała z nim połowa brytyjskiej arystokracji, czytano, tłumaczono i wydawano go nawet, gdy on sam któregoś ze swoich dzieł nie chciał upubliczniać. Podczas rewolucji francuskiej jego ciało przeniesiono do świeckiej świątyni nowoczesnych bogów – Panteonu, wyprawiając filozofowi niejako drugi pogrzeb. Amerykański historyk Will Durant nazwał XVIII stulecie wiekiem Woltera, a sto lat przed nim francuski pisarz Victor Hugo pisał: „Wymówić imię Wolter, to jest nazwać XVIII stulecie".

Ideolog absolutyzmu oświeconego

Paryżanin zamierzał być jednocześnie i bogaty, i znany. Obu tych rzeczy chciał dokonać poprzez zostanie pisarzem, co w tamtych czasach było przypadkiem nieznanym. Pisarze na poszczególnych dworach bywali zamożni albo bogacze zostawali pisarzami, ale Wolter chciał być człowiekiem wolnym i niezależnym od wszystkich: od królów, książąt, Kościoła, a nawet od samego Boga. Pozostawił po sobie 99 tomów licznych prac i listów, zjeździł całą Europę, poznał całą elitę Starego Kontynentu i stał się kimś na kształt intelektualisty-celebryty, filozofa-ideologa. Stał się ikoną oświecenia.

Korespondowała z nim zafascynowana filozofem caryca Katarzyna II, ubolewał nad tym w proszalnych listach do Woltera były król Polski Stanisław Leszczyński. Podczas swojego pobytu w Londynie (po tym jak we Francji skazano go na pobyt w Bastylii) zauroczył się angielskim parlamentaryzmem, poznał połowę tamtejszej elity politycznej, spotykał się z sędziwym już Isaacem Newtonem.

Autor „Kandyda" był kimś na wzór współczesnych idoli dla potężnego pruskiego króla – Fryderyka Wielkiego. Monarcha z Berlina nie tylko był ze swoim ulubieńcem w stałym kontakcie, lecz także nakłonił go do przyjazdu na swój dwór, a stamtąd... nie chciał go wypuścić. Hohhenzollern chciał uchodzić za wielkiego myśliciela, a Wolter potrafił schlebiać – zachwalał dziełko „Anti-Machiavel", esej o tym, że władza powinna być szlachetna i oświecona. Przy tej okazji widać było wyraźnie całą istotę aktywności XVIII-wiecznego pisarza – głęboką rozbieżność między wysublimowaną teorią a brutalną praktyką. Wolter pomógł monarsze wydać ów traktat, w którym Fryderyk potępiał XVI-wiecznego pisarza Machiavellego za cyniczne podejście do zarządzania krajem. Tekst z 1740 roku krytykował surowość i hipokryzję władzy, formułował wizję prostego i dobrodusznego władcy, który pracuje nad rozwojem edukacji swoich poddanych przy pełnym poszanowaniu innych władców i apelował o prowadzenie czystej gry międzynarodowej. Tymczasem Fryderyk był właśnie idealnym zaprzeczeniem tych postulatów – łamał wszelkie prawa i układy europejskie, zasłynął jako wojenny agresor, a ze swoich poddanych zrobił bezduszną wojskową machinę. Panowanie rozpoczął od napaści na Austrię i podbicia Śląska oraz zakwestionowania praw Marii Teresy do tronu w Wiedniu, był osią wielkiej wojny, tzw. siedmioletniej (1756–1763), prowodyrem intryg zakończonych pierwszym rozbiorem Rzeczypospolitej. W tym samym czasie, gdy w eleganckiej rezydencji Sanssouci Fryderyk przygrywał swojemu dworowi na flecie, jego poddani zostali wtłoczeni w administracyjno-wojskową strukturę, w której chłop pańszczyźniany w cywilu był jednocześnie podwładnym swojego pana-szlachcica – w wojsku. Była to nowoczesna forma niewolnictwa, podrasowanego bezmyślną dyscypliną pruskiej armii – to wtedy uczono szeregowców maszerować z wymachem nóg ponad wysokość twarzy.

Ten wątek Fryderycjański Woltera jest ważny, bo pokazuje, że elity oświecenia niewiele sobie robiły ze szczytnych haseł, które głosiły. Przypomina to dzisiejsze zloty proekologicznych liderów, którzy nakazują całemu światu oszczędzać wodę i nie jeść mięsa, a czynią to po podróży prywatnymi odrzutowcami, które trują atmosferę spalinami. Bo też właśnie oświecenie jest ojcem chrzestnym takiej postawy, w której elity nie muszą stosować się do własnych zasad.

Nie inaczej było w przypadku „Semiramidy Północy", czyli carycy Katarzyny II. Wolter zachwalał jej tolerancję, gdy armia rosyjska podpalała Rzeczpospolitą i tłumiła Konfederację Barską. „Przykład, który daje Imperatorowa Rosji, jest wyjątkowy w skali światowej. Wysłała ona czterdzieści tysięcy Rosjan, by głosili tolerancję z bagnetem na końcu strzelby" – pisał do władczyni. Otrzymując liczne podarki z Petersburga (w cenie były sobole futra), Wolter stał się mocno antypolski: „wielkie zdziwienie wywołała ta armia rosyjska przebywająca w Polsce w większej dyscyplinie, niźli kiedykolwiek oddziały polskie. Nie było najmniejszego bałaganu. Wzbogacała ona kraj, zamiast go dewastować, stacjonowała tam jedynie, aby bronić tolerancji; te obce oddziały musiały dać przykład mądrości; i dały. Można by wziąć tę armię za sejm, który

eprasa.pl 77ed129928

zebrał się na rzecz wolności". Tak oto oświecenie, ta filozofia humanizmu i dobra ludzkości, odnajdywało zachwyt nad wojną i siłowym niszczeniem wolności.

Wolter swoimi doktrynami dawał właśnie monarchom nową ideologię – „absolutyzm oświecony". Według tej koncepcji władza powinna być silna i niczym nieograniczona, o ile spełnia cywilizacyjną misję krzewienia postępu. Brutalny zamordyzm był dla ówczesnych władców wymarzonym ustrojem, a Wolter stawał się tej koncepcji papieżem, który rozdawał błogosławieństwa. W przekonaniu jego samego było to kontynuacją platońskiej filozofii, w której król-filozof robi, co chce, bo skoro jest mądry, to na pewno jest to dobre. Na czym jednak ta mądrość miała polegać?

Przeciw religii

Gdyby doktrynę Woltera wypisać na sztandarach, zmieściłoby się tam kilka pojęć: tolerancja, głęboki sceptycyzm wobec religii i silne rządy uprzywilejowanych. On sam nazywał to raczej racjonalizmem i deizmem, ale jego idee szybko zdegenerowały się w narzędzia cywilizacyjnego upadku. Filozofowi wydawało się bowiem, że jeśli uzna Boga za nieistniejącego, ale religię jako potrzebną do trzymania ludu w ryzach, to że taka koncepcja będzie mogła trwać spójnie. Tymczasem arogancja europejskich salonów, które się z tym zgadzały, przeniknęła wreszcie do niższych stanów, kończąc się krwawą jatką przeciwko arystokracji. W ten sposób elity wychowały sobie poddanych, którzy im ścinali głowy, a orędownik tolerancji i wolności słowa stał się bohaterem tych, którzy za słowo krytyki nowej władzy (podczas rewolucji francuskiej) posyłali przeciwników na gilotynę.

Wolter był sceptykiem co do istnienia Boga. Oficjalnie zajmował stanowisko deistyczne, czyli uznawał, że może i istniała jakaś siła, która urządziła świat, lecz nie ingeruje ona we współczasność i jest dla niej bez znaczenia. Bóg był tutaj „wielkim zegarmistrzem", który stworzył zegar i zniknął.

Problem polega na tym, że pisarz drwił z religii, opierając się bardziej na swoich wyobrażeniach o niej niż faktycznie na teologii czy kondycji Kościoła. Wolter wszystko spłycał, upraszczał i trywializował, a potem mógł to wyśmiać jako tępe i ciemniackie. „Kiedy dwa Sobory wyklinają się wzajemnie [...] który ma rację?" – pisał w broszurze „Pytania Zapaty", myląc synody z soborami i nie rozumiejąc, jak myśl przywódców Kościoła się z czasem uzupełniała, a nie wykluczała. W tym samym tekście autor wskazuje inne rzekome sprzeczności wiary katolickiej: „Jak winniśmy dowodzić, że Żydzi, których całymi setkami palimy na stosach, w ciągu czterech tysięcy lat byli wybranym ludem Pana?" – stwierdza, znowu, nie znając myśli Kościoła i sensu zwrotu religijnego, jaki proponował Nowy Testament. Pomińmy jeszcze fakt, że Europa nie paliła Żydów na stosach, była to bardziej prześmiewcza figura retoryczna, z której tak obficie czerpali później XX-wieczni ateiści. Dalej filozof zadawał kolejne pytanie, mające obnażyć rzekomy bezsens teologii: „Dziecko umiera w łonie matki, akurat w tej chwili, gdy otrzymało duszę. Czy zmartwychwstanie jako płód czy jako chłopiec lub mąż?". Gdybyż intelektualiście chciało się baczniej sprawdzić, czym jest koncepcja duszy, i by nie czytał Biblii dosłownie i fragmentarycznie, może by nie rysował setek lat przemyśleń nad Zbawieniem niczym późniejsi funkcjonariusze komunistycznych wydziałów propagandy.

Wolter przyklaskiwał równie płytkim opiniom innych autorów swojego stulecia. Gdy królowa brytyjska Karolina z dynastii Ansbach (1683–1737) stwierdziła, że Kościół powinien być rodzajem grupy urzędniczej opłacanej przez państwo, Wolter obrzucił ją komplementami. „Ta dama narodziła się jako księżniczka, która zachęca ludzi do sztuki i krzewi dobro ludzkości. Jest sympatycznym filozofem siedzącym na tronie". Cóż, koncepcja podporządkowania kleru władzy świeckiej dokonała się na pewno w Rosji, tworząc zbrojne ramię ekspansji i pacyfikowania nastrojów społecznych w myśl ukazów cara czy potem – komunistycznego wodza. Nie powinno nas dziwić, że Wolter oskarżał religię o powodowanie wojen, choć przecież za sporami na tle wiary zawsze stało wiele innych czynników. Jednak rozwiązania Woltera, jak to, które chwalił u królowej Karoliny, były właśnie idealnym narzędziem do prowadzenia wojen. Rozumiał to nawet Stalin, gdy po napaści III Rzeszy na Związek Sowiecki kazał otworzyć cerkwie i zaangażować prawosławie do walki z Niemcami.

Warto tutaj Woltera zrozumieć, bo właśnie taki – dość prymitywny – antyklerykalizm, stał się fundamentem także dzisiejszych postaw antykościelnych. Przeciwnicy katolicyzmu także występują z argumentami, które nie odnoszą się do rzeczywistości – że na przykład Kościół palił czarownice, gdy było to domeną głównie protestantów, że jest ciemnotą, gdy to on stworzył uniwersytety, ocalił antyczną filozofię, rozwinął architekturę, piśmiennictwo i kulturę.

Na jego obronę można wspomnieć, że w początkach XVIII wieku w jego rodzinnej Francji paryskie kręgi kościelne były zdominowane przez odchylenie jansenizmu. Ten nurt Kościoła potępiali kolejni papieże, ale musiały minąć dekady, by tę prawie herezję wyplenić. Janseniści twierdzili, opierając się na koncepcjach św. Augustyna, ale źle je interpretując, że od Bożej łaski zależy właściwie wszystko, a od ludzkiej

eprasa.pl 77ed129928

woli w zasadzie nic. W ten sposób ludzie stawali się bezwolnymi stworzeniami, zdanymi na ingerencję Niebios. W reakcji na to fideistyczne skrzywienie wzmocniła się koncepcja wyżej wspomnianego deizmu. Kościół z trudem opanowywał dwie heretyckie koncepcje.

„Strumyk nie posiada głębi"

Jego teksty bywały drukowane nawet w 300 tys. egzemplarzy. Dla porównania dodajmy, że gdy w XXI wieku w Polsce jakaś książka sprzeda się w 30 tys. sztuk, to wydawca może się przez całe dnie upijać ze szczęścia. Wolter przebijał taki wynik dziesięciokrotnie, i to w czasach, gdy 90% ludzi w mało ludnej Europie nie potrafiło czytać i pisać. Widać z tego skalę wpływów Woltera na umysły ludzi. Dziś „Kandyd" Woltera pozostaje szkolną lekturą, ale bardziej jako zwierciadło myślenia tamtej epoki niż arcydzieło mądrości czy stylu. Zresztą sam filozof przyznawał: „wyrażam się dosyć jasno; jestem jak mały strumyk, który z tego względu jest przezroczysty, że nie posiada głębi".

Popularność jego dzieł wynikała z odwagi antykościelnego światopoglądu, z lekkości stylu, jego wpływów personalnych, a także wyczucia tematów. „Kandyd", powiastka filozoficzna o szczęściu i nieszczęściu ludzi, zawierała chwytne rozważania o ówczesnych palących problemach – wspominała o wyzysku niewolników albo wielkiej polityce kosztem małych ludzi. Bohaterowie tego dziełka trafiają pewnego razu do Portugalii w chwili, gdy ma miejsce tam trzęsienie ziemi. Było to nawiązanie do dramatycznego faktu z 1755 roku, który wstrząsnął Europą. Co szósty mieszkaniec Lizbony zginął pod gruzami miasta, które w 85 proc. zostało zniszczone. Europejczycy nie mogli zrozumieć, czym jest takie wydarzenie, które w dwa dni, znienacka, zabija dziesiątki tysięcy ludzi, niszczy domy i przewraca do góry nogami cały kraj (koszt odbudowy pochłonął połowę rocznego budżetu królestwa). Czy to Bóg? Czy przyroda? Czy to zemsta? Wolter drwił z Boga (w tekście występuje „córka papieża"), ale człowieka stawiał jako ulegającego wichrom natury. Świat był dla niego po prostu zły.

Jednak umiejętność natychmiastowej literackiej odpowiedzi to dziś najlepsza marketingowa porada – Wolter umiał odnaleźć się w dynamicznej rzeczywistości i faktycznie jego dzieło rozeszło się w setkach tysięcy egzemplarzy. Z drugiej strony ten publicysta, wówczas uważany za bożyszcze literatów, nie jest dziś dla pisarzy czy filozofów punktem odniesienia.

Francuz potrafił zasłynąć wówczas, sprowokować ważne persony Starego Kontynentu (choć na stare lata poznał nawet Beniamina Franklina, zdarzyło mu się otrzymać podarki od cesarza Chin), ale było to bardziej schlebianie czytelnikom i wpływowym kręgom niż wyrażanie nowatorskich myśli.

Gdy Wolter gościł w Berlinie u króla pruskiego Fryderyka Wielkiego, zabawiał go anegdotami, ciętymi ripostami, bił brawo na jego koncertach fletowych – i nic więcej. Gdy monarcha dla żartu nie dał mu łyżki do zupy, by sprowokować go do wypicia z miski niczym pies, gość zrobił łyżkę z chleba i po posiłku powiedział: „kto przy tym stole nie zje własnej łyżki, ten jest ignorantem". Dowcipne i błyskotliwe, lecz „nieposiadające głębi", jak ten strumyk, do którego porównywał się myśliciel.

Beztroskie idee, straszne konsekwencje

Wolter śnił więc o ustroju podobnym do platońskiej republiki filozofów. Dość – jego zdaniem – że światem będą rządzić mądrzy ludzie i to wystarczy do szczęśliwości. Autor „Kandyda" niby to rozważał naturę ludzką jako zawsze ułomną (w powieści „Zadig"), ale nie przyznał Kościołowi racji w tej kwestii. Wydawało mu się, że emocje można poskromić rozumem – to była przypadłość całej epoki. Nic więc dziwnego, że Wolter wziął udział w wielkim projekcie intelektualnym, jakim było stworzenie encyklopedii – pierwszej księgi podsumowującą wiedzę ludzką. Na czele przedsięwzięcia stał inny oświeceniowiec – Denis Diderot (1713–1784), który zgromadził zespół francuskich intelektualistów, mających na chłodno opracować tysiące haseł. Dziś już wiemy, ileż tam było kłamstw. Pod wpływem propagandy (i łapówek) Katarzyny II, autorzy podawali nieprawdziwe informacje o Rzeczpospolitej, a chwalili Rosję, pod wpływem masońskich kręgów Paryża oczerniali papiestwo i pomijali osiągnięcia katolików. Projekt, który miał być oparty tylko na rozumie i bez osobistych emocji, stał się właściwie manifestem światopoglądowym.

Wiara w rozum jako jedyne narzędzie pojmowania świata i własnej natury pozostała z nami do dziś – zwłaszcza w postulatach postępowców. Nauka i intelekt bez pokory i świadomości własnych ograniczeń już pokazały nam swoje spektakularne osiągnięcia – precyzję obozów koncentracyjnych, rozmach wielkich budów sowieckiego komunizmu, kategoryzowanie życia ludzkiego jako mniej wartościowego (Żydzi, burżuazja, nienarodzone dzieci) i tych lepszych, oświeconych, „rozumnych".

Pycha i pewność siebie, upojenie bieżącym sukcesem i przekonanie, że umie się ocenić świat, już kilka lat po śmierci Woltera poprowadziły lud Paryża do krwawych masakr rewolucji francuskiej. W następnych stuleciach takie podejście tylko rozwinęło swoje złowieszcze metody. ■

eprasa.pl 77ed129928

MNIEJ SMOGU

Z BENZYNĄ EFECTA



MASY EMITOWANYCH CZĄSTEK STAŁYCH

Testy wykonano na różnych samochodach, a wyniki emisji mogą różnić się od rzeczywistych wyników w zależności od rodzaju pojazdu, jego kondycji, stylu jazdy oraz innych czynników. Podany poziom emisji zanieczyszczeń benzyny względem paliw odniesienia na podstawie badań wykonanych w cyklu WLTC w niezależnym Instytucie Badań i Rozwoju Motoryzacji BOSMAL Sp. z o.o. Szczegóły na orlen.pl.

Alfa Romeo RACING | ORLEN
TITLE SPONSOR

eprasa.pl 77ed129928

Fashion Week sprzedaży poliestru

Olga Doleśniak-Harczuk







eprasa.pl 77ed129928

Po blisko dwuletniej modowej przerwie, w dniach 14–20 marca do Berlina wraca Fashion Week, czyli berliński tydzień mody. Zarówno dla branży, jak i dla fanów najnowszych trendów jest on świętem. Jednak wielka moda nie kończy się i nie zaczyna na wybiegach i imprezach towarzyszących. Dla tych, którzy interesują się historią mody, alternatywą będą odwiedziny w Kunstgewerbemuseum lub Berlinische Galerie. Krwistoczerwona suknia Diora z 1959 roku, atłasowe francuskie i angielskie trzewiki z XVIII wieku, pasiasta „robe à la polonaise", modowe rysunki i katalogi z przełomu XIX i XX wieku i wiele innych eksponatów czekają na błysk w oku i zachwyt współczesnych nie mniej niż ekscentryczni projektanci Fashion Week.

Szukając dawnej mody, staramy się znaleźć coś, czego nie ma. Przeszłość minęła, a my w naszej teraźniejszości możemy tylko myśleć o niej i starać się odtworzyć ją taką, jaka niegdyś była naprawdę – pisał w swoim bogato ilustrowanym kompendium „O modzie XIX wieku" Andrzej Banach, krakowski historyk sztuki, kolekcjoner i pionier pisania o modzie tak jak na to zasługuje – jak o lustrze, w którym przeglądają się społeczeństwa i ich historie. 65 lat od skreślenia tych wersów pozostają one aktualne.

xxx

Człowiek współczesny niezależnie od tego, czy obrał kurs na tzw. bardziej świadome dobieranie części garderoby, czy rzucając się w wir wyprzedaży, wybiera dreszcz emocji towarzyszący tropieniu sieciówkowych skarbów, lubi wracać do obrazków świata, którego już nie ma. Patrząc na malarskie bohaterki Caravaggia, Bouchera, Rembrandta, van Eycka, Cranacha, chłoniemy je również, a może nawet głównie – przez kostium. Madame de Pompadour za sprawą Bouchera już zawsze będzie się kojarzyć z przepychem kwiatów, fałd sukni, koronek i beztroską, rzadko komu zaświta myśl, że gdzieś między wciąganiem pończoch a doborem peruk cała jej uwaga skupiała się na tym, by jak najdłużej pozostać zabawką króla i nie znudzić mu się równie szybko jak mniej kreatywne poprzedniczki. Zabawa w pasterkę na przemian z udawaniem hurysy podającej do stołu musiała być zresztą dość męcząca. Cranachowskie rudowłose księżniczki w swoich renesansowych sukniach mają w sobie coś niepokojącego, jakby każda z nich w zanadrzu trzymała sztylet albo kastet udający pierścienie tak ostentacyjnie migające spod szkaradnych, trupich rękawiczek. Święta Katarzyna Caravaggia to nie tylko włoska piękność, lecz także męczennica o ciężkich powiekach, w atłasowym, ciężkim kostiumie stawiającym ją ponad czasem i wszelką hagiografią.

Pierwszą lekcją mody, przynajmniej dawniej, było studiowanie albumów sztuki. Dziś tę funkcję, inaczej, choć z nie mniejszym powodzeniem, spełnia internet, w mniejszym stopniu kino. Choć w przypadku tego drugiego medium nie do przecenienia jest siła pop-mody i pop-historii, które zaatakowały i podbiły serca XXI-wiecznych influencerek za sprawą Sophii Coppoli i jej wariacji na temat zakupoholizmu Marii Antoniny. Magazyny kobiece zaroiły się od landrynkowych sesji zdjęciowych, biorąc na warsztat młodziutką królową buszującą na rauszu w swoim „pałacowym butiku". W 2018 roku Europa zwróciła się z nostalgią ku modzie lat 20. i 30., pamiętam, jak czołowe i największe księgarnie Niemiec udostępniły całe działy na filmy, plakaty, powieści i przewodniki inspirowane popularnym miniserialem „Babylon Berlin" , który ze względu na swoją dopracowaną w każdym przeszyciu warstwę kostiumową zwrócił wtedy uwagę nawet takich sław jak Giorgio Armani czy Tom Ford.

A zatem, tak jak pisał Andrzej Banach, wciąż poszukujemy dawnego świata, ale na tym nie koniec – wciąż cytujemy jego najbardziej charakterystyczne detale we własnych wyborach i ostatecznie – garderobach. To jest trochę tak jak w jednej ze scen filmu „Diabeł ubiera się u Prady" i uszczypliwego, lecz nie pozbawionego sensu wywodu „diablicy", Mirandy Priestly, która tłumaczy swojej asystentce, na czym polega ciągłość inspiracji modowych, które jednego dnia jawią się czymś nieosiągalnym dla szarego człowieka, a drugiego niepostrzeżenie znajdują drogę do jego skromnej szafy.

Suknie z mundurów i boom niemieckich szwalni

Jest rok 1954, modelka Irmgard Kunde pozuje w sukni wieczorowej na tle ruin. Suknię zaprojekto-

FOT. BERLINISCHE GALERIE

eprasa.pl 77ed129928

wał Heinz Oestergaard, rocznik 1916, uważany za jednego z najważniejszych projektantów mody powojennych Niemiec. Osetergaard ubierał m.in. Zarah Leander, najlepiej opłacaną aktorkę narodowosocjalistycznych Niemiec, a w połowie lat 60. dostał posadę w domu mody Quelle, skąd kształtował estetyczne gusta milionów niemieckich kobiet. Dekadę przed uwiecznieniem eleganckiej Irmgard na tle berlińskich ruin, we wrześniu 1945 roku w Berlinie odbył się pierwszy pokaz mody. Suknie pozszywano z kawałków materiału. Rok później Oestergaard wrócił z niewoli i zaczął od szycia sukien z mundurów... Wehrmachtu, modele jego projektu nosiły nazwy: „Czarny rynek", „Awaria prądu" i „Braki".

Po wojnie Berlin błyskawicznie postawił na nogi swój przemysł włókienniczy i modowy. Pod koniec 1946 roku pełną parą pracowały 662 szwalnie zatrudniające ponad 50 tys. pracowników. Już przed I wojną światową miasto wysyłało odzież ze swoją metką do Szwecji, Szwajcarii, Niderlandów i Skandynawii, całe rodziny żyły z drobnych i większych prac podwykonawczych, z szycia bielizny, jedwabnych sukni, a nawet futer, wpierw szytych ręcznie, a z czasem na maszynach, które pod koniec XIX wieku zaczęto importować z Anglii.

Do końca II wojny światowej centrum berlińskiego świata mody był Hausvogteiplatz, po wojnie zaś większość manufaktur odzieżowych i szwalni przeniesiono do Berlina Zachodniego, co – jak wyjaśniała na łamach dziennika „Tagesspiegel" dziennikarka Grit Thönnisen – było spowodowane tym, że wiele szwalni i sklepów z konfekcją należało do berlińskich Żydów, których przymuszano do odstępowania za bezcen swoich dobrze prosperujących przedsiębiorstw, często byłym pracownikom. Z wielu tych przejętych szwalni wyrosły w latach 50. i 60. domy handlowe, oferujące luksusową odzież elitarnej klienteli, w większości bywalcom prestiżowej alei zakupowej Kurfürstendamm. Oestergaard też miał własny salon, zanim przeszedł w 1967 roku do Quelle, projektował suknie haute couture dla kilkuset wybranych klientek. Latem 1992 roku w Berlinie otwarto wystawę poświęconą jego projektom „dla mas". Wystawa zatytułowana „moda dla milionów" ukazywała fenomen początków szybkiej mody w Niemczech, ale można na niej było zobaczyć nie tylko poszczególne stroje, lecz także zdjęcia Oestergaarda układającego fałdy sukni na sylwetce Zarah Leander, jego pierwszy pokaz czy projektanta wysiadającego z samolotu w towarzystwie modelek. Fotografia damy pozującej na tle ruin to jeden z 270 eksponatów zgromadzonych na wystawie w Kunstgewerbemuseum, każdy z nich opowiada inną historię ostatnich stu lat niemieckiej mody, a wszystkie są jedynie pretekstem do głębszego spojrzenia na ostatni wiek historii samych Niemiec. Wystawa „Modebilder – Kunstkleider" potrwa do 30 maja 2022 roku.

Od krynoliny do różowego snu Balenciagi

W tym miejscu łatwo się zapomnieć na kilka godzin. Atłasowe francuskie pantofle ze sprzączkami z połowy XVIII wieku i te wysoko sznurowane, chabrowe trzewiki typu „ballmorals" z miękkiej skóry noszone sto lat później przez angielskie elegantki, sąsiadują z czarnymi pantoflami z lat 30., 40. XX wieku. Nieopodal sekcji bucików stelażowa krynolina, czyli sztywna halka w kształcie dzwonu, której szczyt popularności przypadał na schyłek XIX wieku, a tuż obok pasiasta suknia poloneska, z dopasowanym stanikiem, otwartą z przodu spódnicą i podpiętymi fałdami, której innowacyjność polegała na długości – poloneska nie sięgała bowiem do ziemi jak wcześniejsze stroje, lecz kończyła się na linii kostek. Ten rodzaj sukni pojawił się we Francji w drugiej połowie XVIII wieku. Czarna suknia Christiana Diora, kwintesencja new look, była jeszcze krótsza i do dziś inspiruje największych projektantów mody. Model wystawiony na berlińskiej wystawie to suknia płaszczowa z 1947 roku o typowej dla new look linii: wąska talia, mocno zaznaczone biodra, pofałdowana spódnica do połowy łydki. Dekolt wywinięty, odsłaniający obojczyki. Na fotografiach z lat 50. XX wieku modelki Diora pozujące w tych przepastnych spódnicach z mocno zaznaczoną częścią talii przypominają tancerki Degasa przeniesione o sto lat w czasie na paryską ulicę i salony albo stylizowane na pasterki francuskie dwórki, tyle że zatopione w czerni i bez przymilnej owcy na złotej szarfie.

New look Diora sąsiaduje z różową suknią balową hiszpańskiego mistrza haute couture, Cristobala Balenciagi z 1955 roku. Jedwabna tafta, organza, odkryte ramiona, wąska talia i bogato drapowana spódnica na obłoku z koronki. Poemat na cześć kobiecości, puch cukrowy do bywania na salonach Paryża i Madrytu.

W odróżnieniu od czasowej wystawy fotografii modowej i strojów w Berlinische Galerie, ekspozycja w Kunstgewerbemuseum to stały punkt programu. Przestrzeń, gdzie można po prostu popatrzeć na zaginiony świat mniej lub bardziej wygodnych sukien i trzewików, które łączy piękno formy, dopieszczenie każdego szczegółu, a w zwiedzających – wznieca chyba pewną tęsknotę za prawdziwym krawiectwem. Taki nostalgiczny Fashion Week sprzed ery poliestru i szybkiej mody. ■

eprasa.pl 77ed129928

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Kompleksowe PZU Auto
na przyspieszonych obrotach

PZU AC + OC + NNW + assistance w wariancie Super
to pewność, że cokolwiek się zdarzy, możesz na nas polegać:

- sprawna pomoc w razie wypadku, awarii i innych zdarzeń drogowych,
- kompleksowe wsparcie na każdym etapie obsługi szkody,
- auto zastępcze,
- **NOWOŚĆ** – weryfikacja auta przed zakupem na rynku wtórnym.

801 102 102 pzu.pl
Opłata zgodna z taryfą operatora

Zakładem ubezpieczeń jest PZU SA. Składka za pakiet OC + AC + NNW + assistance PZU Pomoc w Drodze w wariancie Super w wysokości 75 złotych miesięcznie w abonamencie została wyliczona dla klienta w wieku 48 lat z miejscowości Krasnystaw, właściciela pojazdu Škoda Fabia III 1.2 benzyna 90 KM, rok produkcji 2017. Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności PZU SA, znajdziesz w ustawie o ubezpieczeniach obowiązkowych, Ubezpieczeniowym Funduszu Gwarancyjnym i Polskim Biurze Ubezpieczycieli Komunikacyjnych oraz w ogólnych warunkach ubezpieczeń komunikacyjnych PZU Auto, a informacje o abonamencie znajdziesz w zasadach płatności abonamentowych – dostępnych na stronie pzu.pl, u naszych agentów i w naszych oddziałach.

eprasa.pl 77ed129928



Krzysztof Karnkowski

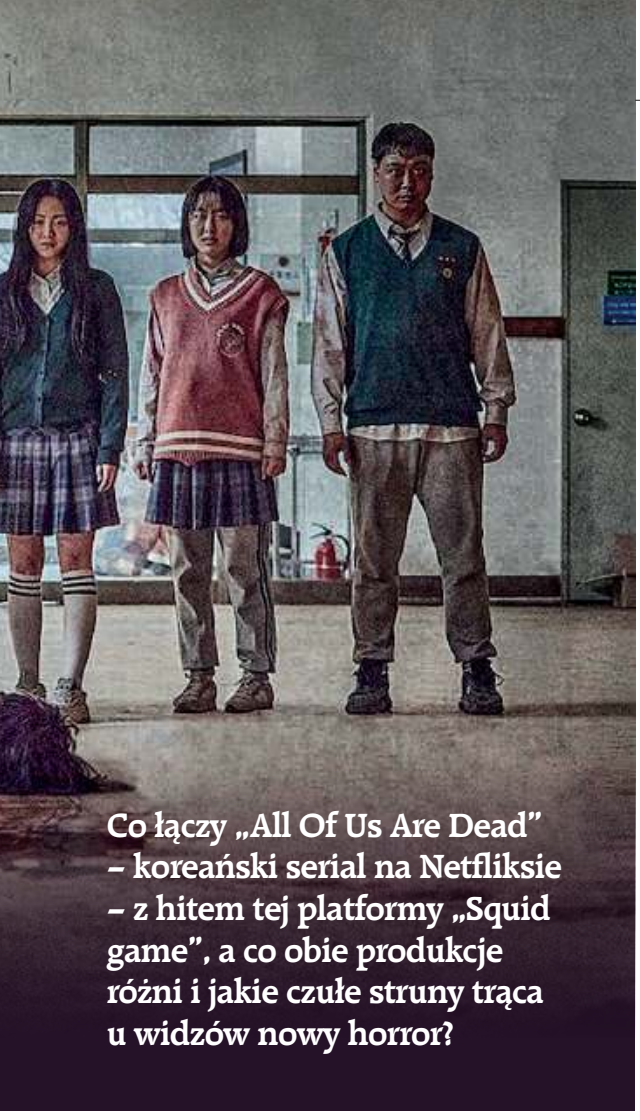
Pogryziona szkoła

Po tym, jak serial „Squid game" pobił wszelkie rekordy popularności, zwykli widzowie podchodzą do nowych koreańskich tytułów z większym niż wcześniej zainteresowaniem. Kolejne produkcje z tego kraju, które proponował swoim widzom Netflix, takie jak „Hellbound" czy „The Silent Sea", nie spotkały się jednak z aż tak gorącym przyjęciem. Zaprezentowany w lutym bieżącego roku szkolny zombie-horror „All Of Us Are Dead" nie powtórzył skali sukcesu „Squid game", okazał się jednak kolejnym dużym przebojem z Korei Południowej. Również w Polsce, gdzie przez pierwsze dni był najchętniej oglądanym tytułem na tej platformie, by przez kolejne tygodnie znajdować się w pierwszej dziesiątce Netfliksowej listy przebojów.

Zombie po nowemu

„All Of Us Are Dead" to produkcja bardzo spektakularna, a do tego znajdująca dla siebie własne ścieżki przez dość mocno już wyeksploatowane terytorium. Agresywne zombie, rzucające się na ludzi i zarażające każdego przez siebie ugryzionego, to temat ograny, również w samej Korei. Choć po raz pierwszy ten kraj z tematyką zombie szerzej zaczął kojarzyć się przy okazji wielkiego sukcesu filmu „Train to Busan" (w Polsce dystrybuowanym pod banalnym tytułem „Zombie Express"), jednak tematyka ta pojawiła się w koreańskim kinie dużo wcześniej. Miało to związek z kolejnymi pandemiami grypy, dającymi się we znaki światu kilkanaście lat temu,

eprasa.pl 77ed129928



Co łączy „All Of Us Are Dead” – koreański serial na Netfliksie – z hitem tej platformy „Squid game”, a co obie produkcje różni i jakie czułe struny trąca u widzów nowy horror?

a początek swój mających, tak jak ostatnio, właśnie na Dalekim Wschodzie. Obok filmów bezpośrednio odwołujących się do lęków widzów przed chorobą (jak blockbuster „The Flu” z 2013 roku), echa pandemii wplatały między skutki epidemii ptasiej, a później świńskiej grypy, przemianę spokojnych obywateli w krwiożercze monstra, co zobaczyć mogliśmy w etiudach filmowych składających się na filmy „Doomsday Book” i „Horror Stories 1” – oba z 2012 roku. Izolacja, charakterystyczna dla pandemii koronawirusa, znalazła swe odbicie w dostępnym na Netfliksie pełnometrażowym zombie-horrorze „#Alive” z 2020 roku. Również w „All Of Us Are Dead” można dopatrzeć się nawiązań do epidemii, choć niekoniecznie będzie to wyłącznie ta, która gnębi nas do dziś, ponieważ serial oparty jest na komiksie publikowanym w koreańskim internecie kilka lat temu.

Wirus, który atakuje uczniów liceum w prowincjonalnym mieście, jest dziełem geniusza, nauczyciela z tejże szkoły, który opracował go, by jego, syn, padający ofiarą szkolnej przemocy, stał się bardziej agresywny. Udaje się aż za dobrze. Nim dzieciak ostatecznie zginie, wirus rozprzestrzeni się przez laboratoryjne szczury i zacznie zbierać żniwo wśród dzieciaków. Szkoła, pełna typowych dla Korei problemów, ukazanych zresztą bynajmniej nie rozrywkowo – przemocy, upokarzania, molestowania i przenoszenia wszystkich tych praktyk do sieci – nagle mierzy się z nowym wyzwaniem. I bardzo szybko przegrywa, a zanim prawie wszystkie dzieciaki pogrążą się w krwawym szaleństwie, choroba zdąży wydostać się na zewnątrz, by wykończyć praktycznie całe miasto. Historia będzie od tej pory toczyć się prawie klasycznie. Topniejące, niewiedzące o sobie nawzajem grupki niepogryzionych toczyć będą w kilku zamkniętych lub odizolowanych przestrzeniach swą walkę o przetrwanie, licząc przy tym na akcję ratunkową i, szerzej, na świat dorosłych. Inaczej, niż pisząc dwa miesiące temu o „Squid game”, nie mam tym razem pewności, że wszyscy czytelnicy znają już serial, o którym opowiadam. Chciałbym uniknąć więc zbyt wielu spoilerów, niemniej nie będzie chyba żadnym zaskoczeniem, że świat dorosłych – policjantów, żołnierzy, polityków – prawie w całości zawiedzie, choć kilku jego przedstawicieli wykaże się odwagą i determinacją.

▶ „Hell Joseon”

Nie chcę wpadać w pułapkę doszukiwania się odniesień do trwającej pandemii w scenariuszu, jednak być może podświadomie wpływają one na odbiór serialu. Ta zdrada dorosłych jest przecież w jakimś stopniu prawdziwym losem dorastającego pokolenia, mocno, jak pokazują kolejne badania, zwichrowanego przez zdalne nauczanie i zawieszenie relacji społecznych. Psychologowie powinni na pewno zastanowić się nad tym, na ile młodsi widzowie znajdują w bohaterach samych siebie, bynajmniej nie z zazdrości z racji przeżywanej przez nich przygody. Można też, choć określenie to w filmie nie pada, spojrzeć na ten pokoleniowy dramat w kontekście koreańskiego kryzysu relacji młodzieży ze starszymi, zamkniętej w haśle „Hell Joseon” („Piekło Joseon”, Joseon to jedna z historycznych nazw dawnej Korei), wyrażającym brak perspektyw, zmęczenie ciągłym współzawodnictwem i rozczarowaniem trudnym wejściem w dorosłość we wciąż w dużym stopniu kastowym społeczeństwie.

FOT. MAT. PRASS.

eprasa.pl 77ed129928

To dobre miejsce, by spojrzeć, co różni „All Of Us Are Dead" od „Squid game". Tamten serial pokazywał ową azjatycką rywalizację doprowadzoną do symbolicznego ekstremum. Tutaj bohaterowie, zgodnie z prawidłami gatunku, nastawiają się jednak na współpracę, działają zespołowo i nie są jako zespół bez szans. Ciekawe, że egoistycznymi zasadami, wziętymi ze świata „Squid game", kieruje się tu jedynie Lee Na-Yeon, bogata i wredna dziewczyna z dobrego domu. Co ciekawe, gra ją specjalizująca się w rolach mających problemy emocjonalne nastolatek Lee Yoo-mi, która, choć karierę zaczęła dziesięć lat temu, właśnie dzięki „Squid Game" zdobyła olbrzymią międzynarodową popularność. Oprócz Lee na ekranie widzimy całą plejadę aktorów młodego pokolenia, w tym całkiem sporą grupę debiutantów. Wróćmy jednak do samej akcji. Mechanizmy przetrwania są tu dość schematyczne, jednak pokazane ciekawie i przełamane kilkoma nowymi rozwiązaniami. Pojawia się tu mianowicie dość tajemnicza i nieliczna grupa, znajdująca się w stanie pośrednim – łaknąca ludzkiej krwi, lecz panująca, choć z trudem, nad swymi nowymi instynktami i, w odróżnieniu od reszty żywych trupów, całkowicie świadoma i zachowująca ludzki wygląd. Ciekawe i różne są motywacje trójki znanych nam bohaterów z tej grupy – szkolnego bandziora, jego ofiary i odnajdującej w trudniej chwili prawdziwych przyjaciół dobrej uczennicy. Pozostali uczniowie chcą ratować siebie i najbliższych, przy czym dramatyczny moment zbliża ich do siebie na różne sposoby, dojrzewają przyjaźnie i tłumione latami uczucia. W wielu scenach mamy tu rozwiązania krwawe i bardzo widowiskowe, kilka razy dajemy się zaskoczyć (scena w przedszkolu!), a przy tym mamy też komu kibicować, choć, niczym w „Grze o tron" czy właśnie „Squid game", nie powinniśmy się do nikogo przesadnie przyzwyczajać. Oczywiście kilkoro musi przetrwać, bo historia się nie domyka, a zakończenie rozbudza w nas ciekawość, ponieważ wiemy już, że na scenę wchodzą kolejne postaci, ale jeszcze nie wiemy, nie domyślamy się nawet, kim będą i jaką rolę odegrają.

Nie tylko dla nastolatków

W scenariuszu znajdziemy kilka dziur, na przykład kwestia braku jedzenia i picia potraktowana jest dość beztrosko i mało wiarygodnie, bo choć egoistyczna Na-yeon nie dzieli się z przyjaciółmi odkrytymi słodyczami, ci przesadnie z tego powodu nie cierpią. Nie próbują nawet za bardzo przebić się do nieodzownych w szkole automatów z napojami czy słodyczami lub magazynów stołówki. To zaskakuje, bo pokrewna kwestia braku toalety faktycznie naszych bohaterów zajmuje. Tyle że to drobiazgi dla lubiących się czepiać. Większość motywacji, przygód i reguł tego opanowanego przez szaleństwo świata jest jednak całkiem logiczna. Akcja toczy się odpowiednio żywo, choć od czasu do czasu wytraca tempo. Żyjący są w swoim przeżyciu wiarygodni, niektórzy filmowo ładni, inni realistycznie przeciętni, mamy tu właściwie wszystkie kluczowe figury szkolnego życia – kujonów, sportowców, prześladowców, ofiary i zwykłych, szukających w tym świecie jakiejś równowagi, nastolatków. Dorośli też są różni, czasem oddani swojej służbie, czasem skrajnie egoistyczni, czasem, co jest pokazane nieźle i dorosłe właśnie, zmuszeni do dramatycznych decyzji. Choć więc jest to serial o nastolatkach, nie jest to typowy serial dla nastolatków, skażony farsą, naiwnością czy topornym przekazem. To pełnowartościowa, gatunkowa produkcja, w której znajdziemy dużo poważnych wątków, również takich, które starszym powinny zwrócić uwagę na dużo realniejsze niż epidemia zombie problemy ich uczących się dzieci.

W WIELU SCENACH MAMY TU ROZWIĄZANIA KRWAWE I BARDZO WIDOWISKOWE, KILKA RAZY DAJEMY SIĘ ZASKOCZYĆ, A PRZY TYM MAMY TEŻ KOMU KIBICOWAĆ, CHOĆ NIE POWINNIŚMY SIĘ DO NIKOGO PRZESADNIE PRZYZWYCZAJAĆ.

Jak zawsze w takich sytuacjach, niemal od razu pojawiło się pytanie o drugi sezon. Wspomniana już scena finałowa zaostrzyła apetyty. Reżyser Jae-kyoo Lee mówi, że ma pomysł na kontynuację i z myślą o niej zostawił sobie w pierwszej części kilka furtek. Wiemy już, że Netflix podpisał umowę na drugi sezon „Squid game", więc i „All Of Us Are Dead" zapewne doczeka się kontynuacji. Gdyby ktoś chciał po drodze jeszcze większej dawki koreańskiego szaleństwa, mogę polecić mu trochę niedoceniony serial „Sweet Home" z 2020 roku, oparty wyjściowo na podobnym pomyśle, jednak idący własną, zupełnie nieprzewidywalną drogą, który też zresztą czeka na kontynuację. „All Of Us Are Dead" ze swoją krwawą, szkolną historią już można natomiast uznać za jedną z ciekawszych produkcji 2022 roku. ■

eprasa.pl 77ed129928

Marek Kalinowski

Eliksir młodości

Jubileuszowy zestaw płyt „Sissy Records" jest wydawnictwem obowiązkowym, nie tylko dla słuchaczy kultowej Radiostacji. To doskonała okazja nie tylko do wspomnień, powrotu do pierwszych nagrań Smolika, Ścianki czy Lenny Valentino, lecz także inspiracja do dalszych muzycznych poszukiwań.

Kto chciałby spróbować eliksiru młodości i cofnąć się o dwadzieścia lat? Taki eksperyment zapewnia wydany niedawno przez Sony Music trzypłytowy zestaw, będący w istocie muzyczną pocztówką sprzed niemal ćwierć wieku. Składanka powstała jako urodzinowa pamiątka po Sissy Records, niezależnej wytwórni płytowej, której krótka, lecz niezwykle intensywna działalność przypadła na pierwsze lata XXI wieku. W trakcie trzech lat istnienia powstało w niej kilkadziesiąt tytułów, które wywarły niemały wpływ na kształt polskiej sceny muzycznej.

Dawni czytelnicy magazynu „Brum" czy słuchacze kultowej Radiostacji poczują się jak w domu. Sissy specjalizowała się bowiem w wyszukiwaniu nowych dźwięków, za którymi niekoniecznie pojawiały się wielkie przeboje. Wspominamy czasy, gdy słowo „muzyka alternatywna" zapowiadało faktycznie ciekawe odkrycia, a nie stało się jeszcze pustką metką, reklamującą co drugą popową produkcję. Na czele wydawnictwa stał Paweł Jóźwicki – człowiek z fenomenalnym nosem do wyszukiwania nowych muzycznych twarzy, dzisiaj wydawca m.in. Korteza i Kasi Sochackiej. Gwoli sprawiedliwości trzeba też zaznaczyć, że w Sissi Records Jóźwicki miał wyjątkową sytuację, której z pewnością mogłoby mu pozazdrościć wiele innych niezależnych wydawnictw. Z całkowicie wolną ręką w doborze muzyki, dysponował bowiem finansowym wsparciem muzycznego giganta BMG, pod którego parasolem Sissy funkcjonowała.



Różni wykonawcy, SISSY RECORDS 2001–2004, Sony Music

Przejdźmy jednak do rzeczy najważniejszej, czyli zawartości trzech wyjątkowych płyt. Ogromną przyjemność sprawia powrót do zespołu Lenny Valentino Artura Rojka, z pewnością nie tak przebojowego jak bardziej znana formacja Myslowitz, lecz na pewno znacznie ciekawszego muzycznie. Ich utwór „Dom nauki wrażeń" otwiera pierwszą płytę gromadzącą najbardziej oczywiste wybory z długiego katalogu wytwórni. Wśród artystów nie mogło zabraknąć Andrzeja Smolika – muzyka występującego wcześniej z zespołem Wilki, a który w Sissy rozpoczął swoją solową karierę. Jego duet z Noviką – „T.time" – do dzisiaj brzmi znakomicie. Wśród utworów znajdziemy też piosenki z udziałem zmarłego w ubiegłym roku Grzegorza „Guzika" Guzińskiego wokalisty Flapjack, a tutaj lidera zespołu Homosapiens. Jest również próbka z debiutu Ścianki i piosenka „Uważaj" z pierwszej płyty zespołu Cool Kids of Death.

Nie wszystkie zespoły, które odnajdziemy na płytach, przetrwały próbę czasu. Niektóre, jak Lenny Valentino czy Futro, okazały się projektem znakomitym, ale niestety jednorazowym. Inne, jak zespół Cool Kids Of Death czy Old Time Radio, mimo kolejnych albumów w innych już wydawnictwach, nie przebiły głośnego debiutu. Dla większości tych twórców okres Sissy Records okazał się jednak przełomowy, otwierając na nowe muzyczne przygody. Niech świadczy o tym trzecia płyta z jubileuszowej składanki, będąca wyborem coverów. Wśród utworów znajdziemy najbardziej zaskakujące pomysły, jak choćby piosenka Maryli Rodowicz „Futbol, futbol, futbol" w gitarowym wykonaniu Homosapiens albo współpraca Smolika z... Krzysztofem Krawczykiem w utworze zespołu The Temptation „Papa Was A Rolling Stone" czy też „Wojny Gwiezdne" Kryzysu w prawdziwie kosmicznym, electropopowym wykonaniu Futra. ■

eprasa.pl 77ed129928

JAK KPCH POKONAŁA HOLLYWOOD

Hanna Shen

eprasa.pl 77ed129928

Ogromny rynek filmowy w Państwie Środka oznacza, że Komunistyczna Partia Chin może naciskać na Hollywood, by produkował filmy unikające wątków, które mogą się jej nie spodobać. Zależność od dochodów generowanych przez chiński rynek sprawiła, że amerykański przemysł filmowy stał się też ramieniem propagandy Pekinu.



FOT. ADOBE STOCK

Powód, dla którego hollywoodzkim studiom tak bardzo zależy na wejściu na chiński rynek, jest oczywisty – jego wielkość. Jak podaje raport „Made in Hollywood, Censored by Beijing", przygotowany przez Jamesa Tagera, zastępcę dyrektora PEN America ds. badań i polityki wolnej wypowiedzi, „w pierwszym kwartale 2018 roku Chiny po raz pierwszy przewyższyły Stany Zjednoczone pod względem kwartalnych przychodów ze sprzedaży biletów kinowych. Według jednego z przedpandemicznych oszacowań do 2023 roku chińskie przychody ze sprzedaży biletów wyniosą 15,5 mld dolarów, co jest znacznie powyżej sumy kasowej w USA w 2019 roku, która wynosiła około 11,4 mld dolarów".

Przed 2018 rokiem hollywoodzkie produkcje dominowały na liście 10 najbardziej dochodowych filmów wyświetlanych w Chinach. Dziś spośród 25 najbardziej kasowych filmów w Państwie Środka tylko siedem pochodzi z USA. Pozostałe są chińskie i hongkońskie. Ta zmiana oznacza, że hollywoodzcy producenci i scenarzyści, aby utrzymać się na tym lukratywnym rynku, muszą pisać, kręcić i produkować, mając cały czas w głowie, że to, co stworzą, musi być przyjęte w Chinach. Tu do akcji wchodzi też autocenzura. Tak więc rozmiar chińskiego rynku kinowego jest jednym z powodów, dlaczego Pekin ma znaczny wpływ na decydentów z Hollywood.

Inny to kompleksowy system cenzury w Chinach oznaczający, że urzędnicy państwowi posiadają wszystkie klucze potrzebne do dostępu do tego rynku, a cenzorzy dysponują nieskrępowaną swobodą w stawianiu żądań zmian w produkcjach, które mają być dopuszczone do rynku. „Przesłanie dla świata filmowego jest takie: filmowcy, którzy krytykują Chiny, zostaną ukarani; ci, którzy grają według zasad dyktowanych przez chińską cenzurę, zostaną nagrodzeni, i kierujący studiami o tym wiedzą" – czytamy w raporcie Tagera.

Wielki rynek i decydujący o dostępie do niego potężny system cenzury powodują, że dziś żadne studio hollywoodzkie nie podjęłoby się produkcji filmu takiego jak na przykład thriller z 1997 roku pt. „Fatalna namiętność" („Red Corner") z Richardem Gere w roli biznesmena wrobionego w morderstwo przez KPCh. Tym bardziej nie ma nadziei na wyprodukowanie filmu, który opowiadałby o aktywistach prodemokratycznych w Hongkongu lub który pokazałby prawdę o obozach koncentracyjnych w Xinjiangu, gdzie trafiło już co najmniej milion Ujgurów.

▶ Cenzura na polecenie

W 2012 roku amerykańska wytwórnia filmowa MGM zdecydowała się na remake filmu z 1984 roku

eprasa.pl 7ed129928

pt. „Czerwony świt" („Red Dawn"). Oryginalnie ten dramat z okresu zimnej wojny opowiadał o grupie amerykańskich dzieciaków odpierających inwazję sowieckich i kubańskich oddziałów wojskowych. W nowej wersji obrazu, którego akcja miała toczyć się w 2009 roku, a więc już po upadku ZSRS, studio potrzebowało innych napastników. Producenci wpadli na pomysł, by Sowietów zastąpili chińscy agresorzy. Ostatecznie aby nie pozbawić się możliwości robienia interesów w ChRL, jednym z najszybciej rozwijających się i potencjalnie najbardziej lukratywnych rynków dla amerykańskich produkcji, już po nakręceniu filmu producenci cyfrowo usunęli chińskie flagi i symbole oraz skorygowali dialogi tak, aby przedstawić siły inwazyjne jako pochodzące z Korei Północnej.

Mimo tej zmiany Pekin, wiedząc, że MGM pierwotnie wybrał Chiny jako czarny charakter, zdecydował, by film nie wszedł na ich rynek, i ostrzegł wytwórnię, że co najmniej przez rok będzie miała problem z zaistnieniem w chińskich kinach. „Ten odwet nie dotyczył tylko jednego filmu i dlatego w Hollywood odbywa się z góry zaplanowana cenzura, bo wszyscy wiedzą, że nie możesz obrazić Chin" – powiedział w wywiadzie dla Głosu Ameryki Chris Fenton, amerykański producent filmowy i autor książki pt. „Karmienie smoka: czyli dylemat wartości bilionów dolarów dla Hollywood, NBA i amerykańskiego biznesu", o tym, jakiej presji podlegają amerykańskie firmy, by uzyskać dostęp do lukratywnego rynku w ChRL.

Inny znany przykład cenzury na życzenie Pekinu dotyczy sequelu filmu „Top Gun", którego premiera ze względu na pandemię COVID-19 była już kilka razy przekładana. W mającym wejść na ekrany w maju bieżącego roku „Top Gun: Maverick" zabraknie flag Tajwanu i Japonii na kurtce, którą nosił w pierwszym filmie z serii główny bohater grany przez Toma Cruisa.

Komunistyczny rząd w Pekinie zażądał usunięcia tych symboli, bo uważa Tajwan za oderwaną prowincję, a Japonia jest teraz ważnym elementem antychińskiego sojuszu w regionie i toczy spory terytorialne z ChRL na Morzu Wschodniochińskim. Ale to polecenie Pekinu dotyczyło nie tylko pozbycia się flag z wersji filmu przeznaczonej na rynek chiński. Korekta ma obowiązywać wszędzie, gdziekolwiek film będzie wyświetlany. „To naprawdę problem, ponieważ oni teraz mówią nam, co możemy, a czego nie możemy pokazać komuś w Argentynie, komuś w Dallas, w Teksasie lub komuś we Frankfurcie w Niemczech... To jest nie do przyjęcia" – twierdzi Chris Fenton.

Oczywiście twórcom Top Gun podjęcie decyzji o spełnieniu żądania Chin przyszło o tyle łatwiej, że część ze 150 mln dolarów potrzebnych na wyprodukowanie filmu dostarczyła firma Skydance Media, w której udziały ma chiński gigant technologiczny Tencent. Warto dodać, że szefem Tencent jest Ma Huateng mający ścisłe powiązania z KPCh. Był on członkiem Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych (OZPL), czyli chińskiego parlamentu, a przed jednym ze zjazdów KPCh jego firma wypuściła na rynek grę o nazwie „Oklaski dla Xi Jinpinga" (prezydenta Chin). Ma Huateng chwalił się też w chińskich mediach, że promuje tworzenie komitetów partyjnych w Tencent i zachęca pracowników do wstępowania do KPCh.

Niepokorny Tarantino

Na życzenie Pekinu znikają nie tylko flagi, lecz także postaci. W komiksie o superbohaterze Doktorze Strange pojawia się postać tybetańskiego mnicha. Marvel Studios, producent filmu z 2016 roku pt. „Doktor Strange", zdecydowało, że aby nie obrazić chińskich władz, należy wygumkować Tybetańczyka. Zamiast tego pojawiła się postać celtyckiej mistyczki grana przez Tilde Swinton.

Według Fentona, chińscy komuniści „mają niesamowity wpływ na Hollywood. Jest tu kilka etapów. Pierwszy to ocenzurowanie jeszcze przed napisaniem scenariusza, czyli usunięcie jakichkolwiek drażliwych tematów, czyli tego, co ma związek z Tajwanem, Hongkongiem czy Tybetem... czy rzeczy, które mają coś wspólnego z prawami człowieka, cokolwiek to jest".

Zakrawa to oczywiście na ironię, bo Hollywood lubi przedstawiać się jako bastion liberalizmu. Gdy przychodzi jednak do żądań chińskich komunistów, to wszelkie wolności idą w odstawkę i wymazuje się z produkcji Tybetańczyków czy flagę Tajwanu.

Owszem, są wyjątki – twórcy niepodporządkowujący się żądaniom chińskiej cenzury, lecz nie są częste. Cenzorom z ChRL postawił się Quentin Tarantino. A sprawa dotyczyła filmu „Pewnego razu w Hollywood" i ukazania w nim postaci Bruce'a Lee. Szczególnie chodziło o scenę, w której Lee, grany przez Mike'a Moha, walczył z Cliffem Boothem, granym przez Brada Pitta. Ich pojedynek pozostał nierozstrzygnięty, ale zdaniem niektórych końcówka była wyraźnie na korzyść drugiego z nich. Zarówno to, jak i fakt, że Lee przedstawiono jako wyjątkowego zarozumialca, zostało skrytykowane przez rodzinę aktora. Córka Bruce'a Lee złożyła nawet skargę do chińskich władz i chińscy cenzorzy zażądali zmiany sceny. Tarantino nie chciał tego zrobić i ostatecznie produkcja nie trafiła do dystrybucji w Państwie Środka.

eprasa.pl 77ed129928

Muzyka dla uszu KPCh

Chiński rząd, zwłaszcza pod rządami Xi Jinpinga, mocno podkreśla, że pragnie, by hollywoodzcy filmowcy „dobrze opowiadali historię Chin", co w rzeczywistości oznacza uczynienie z Hollywood ramienia propagandy KPCh. Pekin chce, aby amerykańskie produkcje przedstawiały specyficzną wizję Chin: potęgi, o pełnej harmonii i oczywiście zjednoczonej pod niekwestionowanym przywództwem partii. I w dużym stopniu KPCh osiąga ten cel.

Hollywoodzkie produkcje nie szczędzą krytyki amerykańskim przywódcom politycznym, zwłaszcza tym po prawej stronie, do tego stopnia, że niektórzy Amerykanie twierdzą, że duża część amerykańskich filmowców i gwiazd nie jest patriotami. W tym samym czasie twórcom filmowym nie przyjdzie do głowy już nawet nie to, by krytykować komunistyczne władze Chin, lecz by po prostu realistycznie przedstawiać rządzone przez KPCh Państwo Środka.

Isaac Stone Fish, autor książki pt. „America Second: Jak amerykańskie elity wzmacniają Chiny" („America Second: How America's Elites Are Making China Stronger"), twierdzi, że nie tylko chińscy złoczyńcy stali się tabu w Hollywood, lecz nawet przedstawianie chińskich pejzaży miejskich jest narzędziem politycznej cenzury i propagandy. Zwrócił uwagę na fakt, iż w filmie o Jamesie Bondzie pt. „Skyfall", Stambuł został przedstawiony jako „zakurzony" i „brudny", podczas gdy ujęcia z Szanghaju przedstawiały miasto jako „futurystyczne" i pełne lśniących drapaczy chmur. W czasie, gdy film był kręcony, Stambuł miał średni dochód na mieszkańca wyższy niż ten w Szanghaju.

Są też hollywoodzkie pozycje przedstawiające pozytywny wizerunek komunistycznych oficjeli, czasem nawet występujących w roli zbawiciela ludzkości. Takie filmy, jak katastroficzny „2012" (wytwórnia Columbia Pictures) z 2009 roku w reżyserii Rolanda Emmericha, fantastycznonaukowa „Grawitacja" (Warner Bros. Pictures) z 2013 roku w reżyserii Alfonso Cuaróna czy science-fiction „Nowy początek" (Paramount) z 2016 roku w reżyserii Denis Villeneuve – kończą się happy endem tylko dlatego, że na ratunek przybywają chińskie siły.

Te chińskie wpływy i cenzura dla przeciętnego widza są niezauważalne.

Taką produkcją, o której kiedyś pewnie chińska propaganda mogła tylko pomarzyć, jest amerykański dreszczowiec fantastycznonaukowy z 2012 roku pt. „Looper – pętla czasu" w reżyserii Riana Johnsona. W filmie główny bohater podróżuje w czasie – udaje się do przyszłości, a w tej Chiny zostały przedstawione jako potęga. W jednej ze scen produkcji Abe, charakter z przyszłości, mówi młodemu zabójcy: „Jestem z przyszłości: powinieneś jechać do Chin". To jedno zdanie to wielka wygrana autorytarnego reżimu, a przeciętny widz nawet nie zdaje sobie sprawy, że zadziała tu propaganda. Chris Fenton nazwał „Loopera" muzyką dla uszu KPCh.

Czy jest lekarstwo?

Pojawiają się głosy, że to ostatni moment, by Hollywood podjął walkę z wpływami KPCh.

James Tager postuluje, by w USA wprowadzono obowiązek informowania przez studia filmowe, że dana produkcja powstała za chińskie pieniądze, finansowana była przez chińskich partnerów i że poddana była chińskiej cenzurze, tak by widzowie w USA, i w innych państwach, lepiej poznali zasięg działań aparatu cenzury i propagandy ChRL. Zdając sobie sprawę, że takie informacje umieszczone na filmie mogłyby doprowadzić do jego blokady w Chinach, autor raportu o chińskiej cenzurze w Hollywood sugeruje, że studia filmowe mogłyby ujawniać je na przykład w corocznych raportach.

„Gdyby hollywoodzkie studia chciały podjąć takie jednolite publiczne zobowiązanie, byłby to mocny dowód na to, że hollywoodzcy szefowie są zainteresowani rozwiązaniem problemu chińskiej cenzury w przemyślany i sumienny sposób... a nie po prostu oczekują, że problem pozostanie niewidoczny dla przeciętnego miłośnika filmów na świecie".

Ponieważ jednak trendy zmierzają w jednym kierunku – chiński rynek kinowy rozrasta się, a zapotrzebowanie na filmy z Hollywood maleje – to na tę próbę ukrócenia wpływów chińskich komunistów w Hollywood przyjdzie kinomanom długo czekać. Pozostaje więc inne rozwiązanie – sięganie po produkcje mniejszych studiów, nie tych hollywoodzkich. To one właśnie coraz częściej podejmują tematy, które Pekin ma na swojej czarnej liście, i pokazują prawdę o autorytarnych Chinach i chińskim zagrożeniu. Taka produkcja – pt. „Szpony czerwonego smoka" („Claws of the Red Dragon") – powstała na przykład w 2019 roku we współpracy kanadyjsko-amerykańskiej. Jednym z producentów tego filmu fabularnego był były doradca prezydenta Donalda Trumpa Steve Bannon, a przedstawiona w nim historia inspirowana jest prawdziwymi wydarzeniami dotyczącymi zatrzymania w Kanadzie dyrektor finansowej chińskiej firmy Huawei Meng Wanzhou. Film przedstawia polityczne i dyplomatyczne kwestie związane z aresztowaniem Meng w 2018 roku przez kanadyjską policję oraz opisuje wysiłki kanadyjskiej dziennikarki chińskiego pochodzenia, mające na celu ujawnienie powiązań chińskiej firmy telekomunikacyjnej z Komunistyczną Partią Chin. ■

eprasa.pl 77ed129928

Ojciec pustyni



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

O tej historii nie przeczytamy już dziś na stronach „Los Angeles Times". Choć kiedyś postać bohaterskiego kapłana odprawiającego Mszę św. na najwyższym szczycie Ameryki skupiała uwagę wszystkich dzienników w kraju. Taki był bowiem czas, że misja, jakiej się podjął, zdawała się niewykonalna. A jednak...

Prasa.pl 77ed129928











FOT. MARKA GUNNA.

Opuszczamy ciemne Los Angeles. Wylądowaliśmy tu raptem kilka godzin temu. Nie zdążyliśmy za wiele napatrzeć się na słynne Miasto Wiatrów.

Krajowa czternastka prowadzi nas w stronę pustyni Mojave. Na rogatkach miasta stoją zaparkowane Boeingi 747. To przechowalnia dla miejscowego lotniska LAX. Stare samoloty będą tu stać dotąd, aż znajdą wreszcie swoich nabywców. Szeroka trasa wyjazdowa z czteromilionowego miasta powoli zaczyna się przerzedzać. Coraz więcej głośnych amerykańskich pickupów zaczyna odbijać w prawo na lokalnych rozjazdach. Pracujący w Mieście Aniołów Kalifornijczycy wracają do domów. Autostrada zaczyna pustoszeć. I coraz szybciej zapadać w mroku.

Country nad Mojave

Na pierwszy rzut oka wygląda to na odległą warstwę sinej, ciemnoniebieskiej chmurki unoszącej się tuż nad ziemią. Zamykającej horyzont. W pierwszych blaskach porannego słońca zjawisko jawi się iście fenomenalnie. Jasnozłociste kontury otaczają obrazek rozciągający za przednią szybą. „To pasmo Mojave?" – pytanie siedzącego obok na miejscu pasażera i wpatrującego się w dal Michała jest pierwszym zdaniem przerywającym ciszę tego długiego i milczącego póki co poranka.

Piętrzące się leniwie obłe skaliste wzgórza pustyni zdają się wyznaczać jakąś granicę. Mieszkańcy pogranicza trzech sąsiadujących ze sobą w tym miejscu stanów Kalifornii, Arizony i Nevady doskonale zdają sobie z tego sprawę. Tutaj życie musi różnić się od tego pozostawionego za naszymi plecami. Tutaj ostatecznie kończy się jakakolwiek zieleń porastająca krańce zachodniej części Kalifornii. Tutaj kończy się woda. Tutaj kończy się więc także życie. Nieprzypadkowo kilkadziesiąt mil stąd rozciąga się sławna Death Valley – Dolina Śmierci.

Pozostawiamy srogi pejzaż Mojave po swojej prawej stronie, aby ominąć pasmo od północy. Prosta niczym wymierzana od linijki trasa prowadzi nas przez coraz bardziej monotonny krajobraz. Po obu stronach drogi tylko piach i niskopienne krzaczki. O dziwo zaczyna padać. Samochodowa antena akurat złapała jakąś falę lokalnego radia. Nadają country. Nie będę zmieniać częstotliwości. Jedynie pogłośnię, aby zagłuszyć szum wycieraczek o wilgotną szybę.

Rozkwit przez pracę

W taki właśnie sposób pokonujemy bramę do Owens Valley. Doliny, której historią żyły swego czasu całe Stany Zjednoczone Ameryki. Miejsca, które przed dziesiątkami lat wyglądało inaczej niż to, co widzimy dzisiaj.

Ulokowany między pasmem Sierra Nevada na zachodzie a surowymi górami White Mountains i Inyo na wschodzie skrawek ziemi upodobali sobie na początku lat 70. XIX co bardziej ambitni amerykańscy farmerzy. Ludzie z kategorii tych, którym Stany zawdzięczały swój sukces. I światową sławę. Pokorni i skromni kowboje oddani swojej uczciwej pracy. Do tego obdarzeni przez Opatrzność zmysłem sprytu. Osiedlając się na ziemi, która przypominała krajobrazem stan obecny, musieli mieć jednak jakiś pomysł. Inaczej z pewnością nie sprowadzaliby w to miejsce swoich rodzin i bliskich. A jednak to zrobili. Widząc w Owens Valley kapitalny potencjał. Szybko okazało się, że mieli rację.

Okiełznawszy pobliską rzekę Owens, zaczęli tak gospodarować jej życiodajnymi wodami, że w kilka lat zdążyli nawodnić okoliczne pola. Te oddały farmerom po stokroć, zazieleniając się i tworząc poletka pod wielkie gaje i sady jabłkowe. Zielona kraina Owens Valley bardzo szybko zyskała miano jednego z najbardziej produktywnych obszarów rolniczych w całej Kalifornii. Co się więc stało, że dziś to samo miejsce niewiele różni się od pobliskiej Death Valley? Że zamiast kolorowych miasteczek pełnych życia mijamy póki co na trasie miniaturowe osady liczące po kilka domów? Często zakładowych. Tak było w mijanym Cantil, tak wyglądało Indian Wells, wreszcie tak wygląda maleńka Olancha, w której wreszcie znajdujemy stację benzynową.

Gdy się należy

Pani ekspedientka siedzi nieruchomo za kasą. Zamyślona. Gdy słyszy dzwonek, który nieopatrznie uruchomiłem, otwierając drzwi, wzdryga się, poprawiając na nosie przyciemniane okulary. Gdy po niezbędnych ustaleniach odblokowuje mi dystrybutor i mogę być spokojny o zatankowanie auta, jest czas, aby na spokojnie rozejrzeć się po stacji. Asfaltowy kawałek, na którym umocowana jest ta stacja, wydaje się niczym tratwa na rozszalałym morzu. Wkoło bowiem jedynie trawiasta równina. Wypalona słońcem gleba, przez którą przecina się pusta w tej chwili jezdnia. Na pobliskim budynku vis-à-vis stacji widać niewielki mural przedstawiający amerykańska flagę. Pod nią neonowy napis „Cafe". I stojący nieco dalej drewniany słup podtrzymujący trakcję elektryczną. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak tego oczekiwałem przed przyjazdem na amerykański „Dziki Zachód".

– Do Doliny Śmierci to daleko jeszcze? – zagaduję, świadom, że zwykle z takich zupełnie codziennych rozmów z nieznajomymi rodzą się najciekawsze historie.

– Jak na Stany, to rzut beretem – kobieta uśmiecha się szeroko. Po chwili znów poprawia okulary na nosie. – Za pół mili zobaczysz po prawej stronie trzy wysokie drzewa. Tam musisz skręcić w prawo. I potem już tylko prosto. Za godzinę będziesz na miejscu.

eprasa.pl 77ed129928



Charakterystyczne skrzyżowanie dróg międzystanowych w maleńkiej wiosce Olancha. Skręcając na wschód, dojedziemy do Doliny Śmierci. Jadąc prosto na północ – do północnych rubieży Owens Valley

– Dziękuję pani... – rzucam na koniec, szykując się do wyjścia.

– Hej – krzyczy zza kasy kobieta. – Pamiętaj tylko, żeby po drodze podjechać jeszcze nad Star Wars Canyon!

– Warto?

– Tak. Zwłaszcza dla znajdującej się tam tablicy pamiątkowej ojca Johna. Co ci będę więcej wyjaśniać. Należy się to temu człowiekowi. Dziś już tacy się nie rodzą...

Ostatnia deska ratunku

Nazywał się John Crowley. Z pochodzenia był Irlandczykiem. Do Stanów trafił wraz z rodziną jeszcze w 1903 roku. 15 lat później wyświęcony na katolickiego księdza zaczął posługiwać wpierw w Massachusetts, by następnie, pożyczywszy od biskupa 50 dolarów na zakup biletu kolejowego, przenieść się na zachód. To tam zgłosił się na ochotnika do posługi w odludnej parafii na granicy hrabstw Mono, Inyo, Kern i San Bernadino. To 30 tys. mil kwadratowych – równowartość powierzchni jego ojczyzny, zielonej Irlandii – będzie od tej pory jego domem. Rozległym i bardzo różnorodnym. Wystarczy wspomnieć tylko, że między obsługiwanymi przez siebie kościołami ksiądz Crowley miał do przejechania ponad 200 mil. Mijając po drodze najniżej (Death Valley) i najwyżej (Mount Whitney) położone punkty całych Stanów.

Osiedlając się w osławionej Owens Valley, nie miał jeszcze najprawdopodobniej pojęcia, że wkrótce stanie się dla tutejszych mieszkańców ostatnią deską ratunku. Nadzieją, której kurczowe trzymanie się będzie dla wielu z nich ostatnią motywacją do przetrwania. Także dla potomków wspomnianych wcześniej dzielnych farmerów, którzy zdążyli z tego miejsca stworzyć prawdziwy rolniczy raj wschodniej Kalifornii. Ani jednak oni, ani irlandzki duchowny nie mogli przewidzieć jednego. Bezlitosnej dla całej Owens Valley decyzji stowarzyszenia Los Angeles Department of Water and Power, która sprawiła, że wody z rzeki Owens przekierowano któregoś dnia wprost do wielkiego Miasta Aniołów. Wydrążony w ziemi wielki akwedukt wyprowadził rzekę z żyznej doliny, sprawiając, że została doszczętnie wysuszona. To był koniec marzeń dla wszystkich tych, którzy w Owens Valley upatrywali swojej rolniczej przyszłości.

Ojciec John bardzo szybko zdał sobie sprawę z powagi zagrożenia. W nowej sytuacji miał bowiem naraz wokół siebie z jednej strony ludzi, którzy bardzo potrzebowali pomocy i pociechy, z drugiej sam rozpoczął analizę hydrologicznej koncepcji miasta Los Angeles, która to koncepcja ewidentnie zawierała błędy i nadużycia. Duchowny nie widział już innego wyjścia. Rozpoczął największą misję swego życia.

Każdego dnia uruchamiał silnik swego kilkunastoletniego poobijanego z wszystkich stron forda, aby spędziwszy kolejne kilkanaście godzin za kierownicą, dojeżdżać do zmartwionych i popadających w depresję ludzi. Miał dla nich rozwiązanie problemu: stworzenie z niebanalnego pejzażu Owens Valley równie niepowtarzalnego turystycznego hitu. Tak, by każdy szanujący się amerykański traper nie widział innej opcji, aby tu nie przyjechać. Jednocześnie duchowny pragnął

eprasa.pl 77ed129928



Kolejny świadek uporczywej i cierpliwej walki człowieka z naturą

zjednoczenia rozbitej społeczności. „Nie widział problemów w rozmawianiu zarówno z katolikami, jak i z protestantami. Głęboki w Stanach historyczny konflikt i podział wewnętrzny między tymi grupami nie stanowił dla niego, pobożnego imigranta z Europy, żadnego problemu. Chciał pomóc każdemu" – tłumaczył swego czasu William E. Webster, amerykański badacz zajmujący się biografią irlandzkiego kapłana.

Ksiądz dla każdego

Jednocześnie Crowley intensywnie rozpoczął studia nad hydrologią zamieszkanego przez siebie terenu. Starał się rozpoznać temat, pytał specjalistów, analizował wykresy przepływu wody, studiował dokumenty. Z czasem natknął się na bardzo podejrzaną historię nabywania tutejszych gruntów przez miasto Los Angeles. Wszystko to sprawiło, że duchowny stał się człowiekiem, dla którego sprawa oszukanych i pozostawionych samym sobie mieszkańców Owens Valley stała się jedną z najważniejszych życiowych misji.

Duchowny bardzo szybko nabrał też przekonania, że gdyby zgubna tama w Long Valley została zbudowana w nieco innym miejscu, wody z rzeki Owens wystarczyłoby zarówno dla mieszkańców Los Angeles, jak i dla farmerów z Owens Valley. Postawił więc sobie za cel poznanie każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka zamieszkujących ukochaną Owens Valley – wszystko po to, aby uwiarygodnić swoją działalność i znaleźć wsparcie dla powziętych celów.

Z początku jego otwartość nie mogła wszystkim się podobać. Protestanci nie chcieli ufać katolickiemu księdzu, zaś katoliccy parafianie Crowleya mieli mu za złe przyjacielskie kontakty z protestantami. Z czasem „Ojciec pustyni", jak go zaczęto nazywać w prasie, stał się wyrozumiałym ojcem dla jednych i dla drugich. Do niego zwracali się po pomoc. U niego szukali pocieszenia.

Kolejne miesiące na amerykańskiej scenie politycznej ukazywały młodemu księdzu, że sprawa hydrologicznych uwarunkowań Owens Valley jest już jednak bezpowrotnie stracona. Tutejsze pola i sady nie zobaczą już więcej wody. Był to jasny sygnał dla duchownego. Wszelkie wysiłki trzeba teraz skoncentrować na turystycznej promocji regionu. I przebranżowienia społeczności na model mogący przyjąć w wyschłym, acz bajecznym pejzażu setki turystycznych gości. Pomoc w tym z pozoru niemożliwym zadaniu przyszła nad wyraz szybko.

Zaślubiny wód

Tak się bowiem składało, że nieodległa ziemia między Lone Pine a Whitney Portal stała się wśród reżyserów bardzo popularnym miejscem do nagrywania wielkich kinowych produkcji. Na obszarze znanym jako Alabama Hills zaczęto kręcić takie filmowe hity, jak „Gunga Din" (1939), „King of the Khyber Rifles" (1953) czy filmowy serial „Hopalong Cassidy" (1952). Ksiądz Crowley siłą rzeczy zaczął pojawiać się na planach zdję-

eprasa.pl 77ed129928

ciowych. Zaprzyjaźnił się w ten sposób z niektórymi z najsłynniejszych gwiazd amerykańskiego kina. Wspólne kolacje z Carym Grantem, Victorem McLaglenem czy Douglasem Fairbanksem Jr. stały się dla kapłana normalnością. Najlepszym przyjacielem duchownego został jednak Leo Carrillo. Pochodzący z Meksyku aktor dzielił z księdzem Crowley'em wielką miłość do dzieci.

Mając takie kontakty w filmowym światku amerykańskich gwiazd, ksiądz John mógł zacząć śmielszą promocję ukochanego zakątka Stanów. Zorganizował więc wydarzenie, któremu nadał nazwę „Zaślubiny wód". Chodziło o uczczenie wybudowania pierwszej brukowanej drogi łączącej najniżej położone miejsce w Stanach (Death Valley) z położonym najwyżej, a dostępnym drogowo (Whitney Portal). Mający marketingowy dryg kapłan napełnił wpierw tykwę wodą z najwyższego jeziora w kraju, by następnie puścić ją w jedyną w historii sztafetę. Niesiona wpierw przez Indianina lokalnego szczepu, została następnie przewieziona konno przez jednego z pierwszych ludzi, którzy wspięli się na Mount Whitney. Kolejnym etapem sztafety był dyliżans prowadzony przez jednego z potomków odkrywcy tego środka transportu. Któremu towarzyszył zresztą sam gubernator Kalifornii. Następnie tykwa została przekazana kierowcy wozu, który był potomkiem niefortunnej wyprawy Donnera (amerykańskich pionierów emigrujących ze Środkowego Zachodu do Kalifornii i uwięzionych w paśmie Sierra Nevada, którzy to musieli z czasem ratować się kanibalizmem). Potem tykwę przejął inżynier kolei wąskotorowej, by po krótkim zjeździe przekazać ją kierowcy nowego Lincolna Zephyra z 1938 roku. Na koniec tykwę przejął pilot pamiętający front I wojny światowej. Poleciał z nią do Death Valley. Tutaj nad Badwater Basin, najniższej położonym wodnym akwenie w całych Stanach, otwarto pojemnik i wylano wodę. „Zaślubiny wód" stały się faktem. Prezydent Roosevelt wysłał telegramem depeszę o sukcesie historycznej sztafety, zaś o szalonym księdzu z pięknego zakątka Ameryki, jakim okazało się Owens Valley, zaczął mówić cały kraj.

Gdy niemożliwe staje się faktem

To nie był koniec. Ksiądz Crowley postanowił korzystać ze sprzyjającej mu hossy i dalej promował Owens Valley. 14 września 1934 roku wspiął się więc na najwyższą górę Ameryki, Mount Whitney, aby na jej szczycie jako pierwszy kapłan w historii odprawić Mszę świętą. Zdjęcia z celebry ukazały się po dwóch dniach „Los Angeles Times".

Sława duchownego była już na tyle duża, że czuł się na siłach, aby podjąć się najtrudniejszej misji w życiu. Nierównej walki ze stanowym konsorcjum odpowiedzialnym za zmianę biegu rzeki Owens. Będący pod presją mediów główny inżynier wód stanowych musiał się wreszcie poddać. Wyraziwszy zgodę na zbudowanie tamy, która przywróciłaby wodę zubożałej pustyni. W ten sposób w 1941 roku na pustynnym terytorium powstało wreszcie jezioro. Dziś nazywane Jeziorem Crowleya. Sam bohaterski kapłan nie doczekał niestety upragnionego widoku wody na ziemi, którą tak ukochał. Wracając we wrześniu 1940 roku z San Francisco uderzył swoim starym fordem w samochód, który wymusił pierwszeństwo, wjeżdżając na autostradę, którą jechał Crowley. Auto duchownego zjechało na przeciwny pas, którym akurat jechała ciężarówka. Ksiądz zginął na miejscu.

Nauka z Niebios

Na naszej trasie widać wreszcie jakiś kierunkowskaz. Prowadzi na Panamint Springs i Death Valley. Są też pierwsze od dłuższego czasu drzewa. Mijamy znak opustoszałej stacji benzynowej. Ostrzegają, że następna okazja na toaletę dopiero za 45 minut. Przed zjazdem na niewielki parking stoi zdezelowany samolot. Wygięta pordzewiała blacha od klapy unosi się od podmuchów wiatru.

– Stefan, gdzie ty skręcasz? – zdezorientowany Michał nie spodziewał się mojego manewru. Parking nad Star Wars Canyon, o którym mówiła mi sympatyczna pani ze stacji benzynowej, jest po naszej lewej stronie. Zatrzymujemy się.

– Chodź, pokażę ci pomnik dobrego człowieka – odpowiadam tajemniczo, wyjmując kluczyki ze stacyjki.

Znajdujemy się 23 mile na północ od parku stanowego Red Rock Canyon, gdzie dziś coraz częściej odbywają się próby lotnicze amerykańskich sił powietrznych. A gdzie wcześniej kręcono sceny do „Jurrasic Park". Prócz nas na parkingu nie ma w tej chwili innego auta. Obok rozpościera się czerwono-rudawy pejzaż. Dopiero teraz domyślam się, skąd wzięła się nazwa Star Wars Canyon. Obok na kamienistym podłożu widać niewielką tablicę pamiątkową. Podchodzimy bliżej. „In memory od The Padre of the desert" (Pamięci Ojca pustyni) – taki napis zdobi czarną płytę, na której ktoś odwzorował wizerunek irlandzkiego duchownego. Bohatera tych ziem. Jednostki, która pokazała tłumowi, jak wielką siłę może mieć każdy z nas. Wystarczy, że naprawdę mocno wierzy w przyświecającą mu ideę. I gdy ma za sobą Dobro. Kto bowiem inny jak nie dobry Bóg pokazał wrażliwemu księdzu z Irlandii uciemiężonych ludzi, którym ktoś nagle zabrał cały świat? I kto inny błogosławił mu do końca w jego nieprawdopodobnej misji? Teraz już wiem, dlaczego trzeba było zatrzymać się na tamtej stacji benzynowej. Ja też się dziś czegoś nauczyłem. ■

eprasa.pl 77ed129928

Olga Doleśniak-Harczuk



Burza przed Monachium

Dwa dni przed rozpoczęciem Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa (MSC) za sprawą dziennikarzy „Spiegla" świat dowiedział się, że szefujący od 15 lat konferencji Wolfgang Ischinger mógł wykorzystywać swoją pozycję do pośredniczenia między pewnym koncernem zbrojeniowym a przedstawicielami zainteresowanych kontaktami państw. Do spotkań stron miało dochodzić w zaciszu gabinetów na marginesie MSC. W świetle tych zarzutów i tak już duszna atmosfera monachijskich spotkań jeszcze bardziej zgęstniała.

Co chyba najważniejsze, rzecz dotyczyła nie „jakiejś tam firmy zbrojeniowej", lecz koncernu Hensoldt AG, w którym 25,1 proc. udziałów ma niemiecki państwowy bank rozwoju Kreditanstalt für Wiederaufbau (KfW, w 80 proc. należący do niemieckiego skarbu państwa, a w 20 proc. do krajów związkowych), a sam Wolfgang Ischinger zasiada w jego radzie nadzorczej. Hensoldt AG jest uważany przez rząd federalny za strategiczny dla bezpieczeństwa państwa, zakup 25,1 proc. udziałów w koncernie został ogłoszony pod koniec marca ubiegłego roku, ale informacje o tym, że rząd nosi się z zamiarem zapewnienia sobie tzw. mniejszości blokującej w Hensoldt AG, pojawiła się w mediach niemieckich już w grudniu 2020 roku. To wtedy Handelsblatt pisał, że tym posunięciem Niemcy chcą

eprasa.pl 77ed129928

uchronić koncern przed obcymi wpływami. Tak więc produkcja Hensoldta jako wrażliwa dla zbrojeniówki podpada pod kluczowe technologie wymagające specjalnej ochrony i tę ochronę od Berlina dostała. Dokonana w imieniu rządu przez KfW transakcja nie wymagała głosowania w Bundestagu, jedyne, co trzeba było przedstawić, to decyzja o zakupie akcji przed parlamentarną Komisją Budżetową. I tak też się stało.

Zarzuty „Spiegla"

„Spiegel" w swojej publikacji powoływał się na poufne dokumenty, według których ekskluzywne spotkania na marginesie MSC organizowała firma konsultingowa Agora Strategy Group, której Ischinger jest współzałożycielem, honorowym prezesem i w której ma (aktualnie za pośrednictwem powiernictwa) 30 proc. udziałów. Jak wynika z cytowanych przez hamburski tygodnik dokumentów, Agora Strategy Group w październiku 2021 roku zaproponowała Hensoldt AG możliwość wytypowania „z kręgu uczestników konferencji" ważnych osób z myślą o zaaranżowaniu ekskluzywnych spotkań z ich udziałem. Agora miała zaoferować Hensoldtowi pomoc w nawiązaniu kontaktów biznesowych z takimi państwami, jak Arabia Saudyjska, Egipt czy Libia. „Za swój lobbing, w przypadku powodzenia, firma doradztwa żądała prowizji" – pisze „Spiegel", dodając, że poza udziałami w Agorze, Ischinger ma również akcje Hensoldt AG i zasiada w radzie nadzorczej rzeczonej firmy. Jakkolwiek by spojrzeć, mało fortunny zbieg okoliczności, ale biorąc pod uwagę wyjątkową pozycję Hensoldt AG w portfolio bezpieczeństwa Berlina, sprawa nabiera cięższej wagi niż szturchanie ustępującego i tak Ischingera przez niemieckie media i zarzucanie mu kupczenia kontaktami. A jednak sprawa przybrała wymiar personalnego ataku, co nie dość, że nie wyczerpuje wachlarza naprawdę o wiele ciekawszych wniosków, to jeszcze kieruje uwagę opinii publicznej wyłącznie na „kolejnego lobbystę". Nie takie afery już Niemcy widziały. I nie takich lobbystów. Wystarczy prześledzić biografię pierwszego lepszego byłego ministra, wszystko jedno którego resortu, dziennikarska żyła złota.

Skruchy nie będzie

Ischinger z miejsca został wezwany przez grube ryby zajmujące się kontrolą lobbingu, do jak najszybszego wycofania się z Agory i odsprzedania akcji firmy zbrojeniowej, ale jak na razie nie zamierza się kajać i twierdzi, że po pierwsze – nie kontroluje działań Agory, a po drugie – nie ma wpływu na to, że dwie niemieckie firmy ze sobą rozmawiają. W rozmowie ze stacją radiową Bayern2 Ischinger już w trakcie konferencji dodał, że „w ogóle nie czerpał żadnych korzyści z MSC", jego praca przy organizacji wydarzenia miała charakter społeczny a jedyne, co otrzymuje z racji wypełnianych zadań, to zwrot poniesionych kosztów. Tym tłumaczeniom chyba nie dała wiary redakcja „Die Welt", która jeden z artykułów opublikowanych w pierwszym dniu konferencji opatrzyła tytułem: „Kopalnia złota Konferencji Bezpieczeństwa – model biznesowy Wolfganga Ischingera". Sprawie przyjrzała się też ekipa „Politico". Odpowiedź Agora Strategy była błyskawiczna. Na stronie internetowej firmy odniesiono się do zarzutów stawianych Ischingerowei i gremium doradczemu.

„Agora Strategy zawsze działa zgodnie z ramami prawnymi i politycznymi Republiki Federalnej Niemiec. Decyzje dotyczące eksportu broni są wyłączną odpowiedzialnością rządu federalnego. Strategia Agory nie wpłynęła ani nie próbowała wpłynąć na te decyzje w przeszłości ani obecnie. Ponadto nie wspieraliśmy ani nie doradzaliśmy klientom w zakresie możliwego obchodzenia zakazów eksportu lub innych ograniczeń.

Prof. Ischinger był członkiem Rady Nadzorczej Strategii Agory do czerwca 2018 roku. Za to nie otrzymywał ani pensji, ani dodatku na wydatki. Od tego czasu jest Honorowym Prezesem Agora Strategy Group AG. Jest to tytuł honorowy bez skutków prawnych. Prof. Ischinger był i jest również wynajmowany przez Agora Strategy jako prelegent i ekspert. Oczywiście prof. Ischinger otrzymuje za to wynagrodzenie w poszczególnych przypadkach. [...] Podobnie jak wiele innych firm konsultingowych, organizacji i firm, Agora Strategy jest oficjalnym partnerem MSC. Ponadto nie ma ani operacyjnego, ani strukturalnego związku między nią a Monachijską Konferencją Bezpieczeństwa. Wszystkie terminy i wydarzenia, które nadzorujemy lub którym towarzyszymy, zawsze odbywają się za obopólną zgodą". I to by było na tyle. A mimo wszystko, zostawiając na boku winę lub niewinność jednego z najważniejszych niemieckich polityków zajmujących się zarówno stosunkami międzynarodowymi, jak i kwestiami bezpieczeństwa, interesujący w tym wszystkim wydaje się moment ujawnienia „Ischingerowej afery" – w atmosferze pełzającej wojny na Wschodzie i pewnego raczej krótkotrwałego, lecz – ocknięcia Zachodu z rosyjskiej bajki o dobrodusznej carycy i szlachetnym Iwanie. Najbliższe tygodnie i miesiące pokażą, czy sprawa umrze śmiercią naturalną wraz z objęciem prezesury MSC przez Christopha Heusgena, czy też znajdzie ciąg dalszy. ■

eprasa.pl 77ed129928

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Wolność gospodarcza w regionie Azji i Pacyfiku

Według opublikowanego w lutym raportu konserwatywnego think tanku Heritage Foundation, okres pandemii przyniósł spadek wolności gospodarczej na świecie.

Publikowany od 1995 roku Indeks Wolności Gospodarczej – przygotowywany przez Heritage Foundation – jest najbardziej popularnym rankingiem na świecie. Jego celem jest katalogowanie państw według rozwiązań, polityk realizowanych w celu zwiększania wolności gospodarczej, a tym samym promowania rozwoju i pomnażania dobrobytu narodów. W ramach Indeksu Wolności Gospodarczej analizowane są rządy prawa (prawa własności, skuteczność sądów, rzetelność państwa); wielkość sektora publicznego (obciążenie podatkowe, fiskalizm, wydatki publiczne); efektywność regulacyjna (warunki dla biznesu, polityka monetarna, rynek pracy) oraz otwartość rynku (handel, inwestycje, finanse).

Krajem cieszącym się największą wolnością gospodarczą nie tylko w Azji, lecz także na świecie, jest Singapur. Jak piszą twórcy raportu, choć w ciągu ostatnich pięciu lat gospodarka Singapuru rozwijała się powoli (z wyjątkiem roku 2020, kiedy się skurczyła), to wolność gospodarcza utrzymywała się w tym okresie na bardzo wysokim poziomie. Mocno rozwinięta gospodarka wolnorynkowa Singapuru zawdzięcza swój sukces w dużej mierze wyjątkowo otwartemu i wolnemu od korupcji środowisku biznesowemu, rozważnej polityce monetarnej i fiskalnej oraz przejrzystym ramom prawnym. Swoboda handlu jest silna, a dobrze zabezpieczone prawa własności skutecznie promują przedsiębiorczość i innowacje. Rządy prawa opierają się na wysokim stopniu przejrzystości i odpowiedzialności rządu. Jednak w wyniku pandemii COVID-19 gospodarka Singapuru skurczyła się (spadek PKB) o 5,4 proc.

Na drugim miejscu w Azji i Pacyfiku (4. na świecie) znalazła się Nowa Zelandia. Jej gospodarka rozwijała się dynamicznie w 2017 i 2018 roku, ale zaczęła zwalniać w 2019, a skurczyła się w 2020 roku. Wzrost powrócił w 2021 roku. W ciągu ostatnich pięciu lat wolność gospodarcza w tym kraju była ogólnie solidna, chociaż spadła. Nowa Zelandia zdecydowanie dokonała postępu w zakresie poprawy rzetelności państwa i skuteczności sądownictwa, lecz nastąpił spadek wyników w kategorii prowadzonej polityki fiskalnej i warunków dla biznesu. Nowa Zelandia od 2017 roku odnotowała ogólną utratę wolności gospodarczej o 3,1 punktu, ale mimo to pozostaje w czołówce państw wolnych gospodarczo. Pandemia spowodowała, że gospodarka skurczyła się o 3 proc.

Na trzecim miejscu w regionie Azji i Pacyfiku (6. na świecie) znalazł się Tajwan. W raporcie wskazano, że Tajwan był jednym z niewielu krajów na świecie, które w ciągu ostatnich pięciu lat doświadczyły ciągłego wzrostu gospodarczego. Stwierdzono, że wolność gospodarcza również wzrosła w tym okresie ze względu na wysokie wyniki we wszystkich ocenianych kategoriach i została wzmocniona przez poprawę skuteczności sądownictwa i wolności na rynku pracy. Dzięki ogólnemu wzrostowi wolności gospodarczej o 3,6 punktu od 2017 roku, Tajwan po raz pierwszy w raporcie Heritage Foundation został umieszczony w kategorii „Wolny". Pozostałe kategorie to „prawie całkowicie wolny", „umiarkowanie wolny", „o bardzo ograniczonej wolności" i „o tłumionej wolności ". W czasie pandemii gospodarka Tajwanu wzrosła o 3,1 proc.

Daleko w rankingu znajdują Chiny. Zajęły 35. miejsce w regionie. Mniej wolne gospodarczo w regionie są tylko Malediwy, Timor Wschodni, Turkmenistan

eprasa.pl 77ed129928

i Korea Północna. W rankingu światowym Chiny są dopiero na 158. miejscu (na 177 ocenionych państw). W ciągu ostatnich pięciu lat wzrost gospodarczy Chin zwolnił, a największe spowolnienie miało miejsce w 2020 roku. Średnie pięcioletnie tempo wzrostu w Chinach wynosi teraz tylko około połowy poziomu sprzed dekady. Jednak autorzy podkreślają, że dane gospodarcze mogą być obecnie gorsze niż te oficjalnie dostępne. Niewydolne sądownictwo i słaby system fiskalny spowodowały, że Chiny spadły do kategorii krajów, w których wolność gospodarcza jest tłumiona. Wolność handlu pozostaje stosunkowo mocna, ale brak swobody inwestycyjnej i wolności finansowej są poważnymi przeszkodami we wzroście wydajności i rozwoju.

„Ochrona i egzekwowanie praw własności są słabe. Grunty w Chinach są własnością państwa lub wiejskich kolektywów. Przejęcia gruntów są powszechne. Kradzież własności intelektualnej będącej własnością zagraniczną jest powszechna. Partia Komunistyczna podporządkowała sobie system sądownictwa. Korupcja szerzy się, często w obszarach silnie regulowanych przez rząd, takich jak prawa do użytkowania gruntów, nieruchomości, górnictwo i rozwój infrastruktury; te sfery są podatne na oszustwa, przekupstwo i łapówki".

Autorzy raportu podkreślają także, że niedawne prawa antybiznesowe, takie jak zakaz osiągania zysków przez firmy uczące programu szkolnego oraz sankcje na duże firmy internetowe, sprawiły, że „klimat do prowadzenia biznesu w ChRL stał się bardziej niepewny".

Na końcu rankingu Heritage Foundation, tj. na 177. miejscu na świecie i 39. w regionie Azji i Pacyfiku, jest Korea Północna, gdzie działalność handlowa i biznesowa jest mocno tłumiona. W tym kraju „brakuje nawet najbardziej podstawowej polityki dotyczącej infrastruktury gospodarki wolnorynkowej, a jednostki i przedsiębiorstwa nie mają jakiejkolwiek wolności gospodarczej, zarówno w teorii, jak i w praktyce". Gospodarka Korei Płn. skurczyła się o 8,0 proc. w 2020 roku i o dalsze 5 proc. w 2021 roku.

▶ Hongkong

Międzynarodowa koalicja chrześcijańskich przywódców zwróciła się z apelem o uwolnienie hongkońskiego wydawcy, katolika, 74-letniego Jimmy'ego Laia, i innych uwięzionych aktywistów w ramach chińskiej amnestii noworocznej. List wystosowano do szefowej administracji Hongkongu Carrie Lam na początku lutego, tuż przed Księżycowym Nowym Rokiem obchodzonym m.in. w Chinach, Hongkongu, Wietnamie czy na Tajwanie.

Wśród sygnatariuszy apelu byli duchowni katoliccy i protestanccy z całego świata.

„Istnieje bardzo realna perspektywa, że Jimmy Lai może spędzić resztę swojego życia w więzieniu. Byłaby to smutna niesprawiedliwość i podałaby w wątpliwość dalsze zaangażowanie Chin w model »jeden kraj, dwa systemy« oraz tolerancję, którą on rodzi" – czytamy w liście. Chrześcijańscy duchowni poprosili władze o wycofanie stawianych Lai zarzutów.

Duchowni podkreślili, że Lai ma prawo korzystać ze swoich praw do wolności wypowiedzi, myśli i stowarzyszeń politycznych gwarantowanych obywatelom Hongkongu na mocy Ustawy Zasadniczej, pełniącej rolę konstytucji dla byłej kolonii brytyjskiej. „Prosimy Państwa o zlitowanie się nad jego życiem i zdrowiem oraz o naprawienie tej niesprawiedliwości. Będziemy nadal mieć nadzieję i modlić się o jego ostateczne uwolnienie, a także o pomyślność i dobrobyt Hongkongu oraz całego narodu chińskiego" – napisano w apelu.

List nie spotkał się z żadną reakcją ze strony władz Hongkongu.

Jimmy Lai jest urodzonym w Chinach hongkońskim biznesmenem. Często mówił, że Hongkongowi zawdzięcza wszystko: udany biznes, wspaniałą rodzinę i dobre zdrowie. Po Masakrze na placu Tiananmen w 1989 roku, Lai uznał, że Hongkong ma bardzo ważną rolę do spełnienia. Ma mówić prawdę o Chinach. Lai stwierdził, że najlepszym sposobem do robienia tego, jest założenie mediów. I tak stworzył grupę medialną Next Digital (początkowo Next Media), która wydaje m.in. gazetę „Apple Daily". Był to największy dziennik w Hongkongu, o nastawieniu antykomunistycznym. Władze komunistycznych Chin doprowadziły do likwidacji wydawnictwa i gazety Laia.

W kwietniu 2021 roku Lai został skazany na 14 miesięcy więzienia za udział w nielegalnym zgromadzeniu. Miesiąc później usłyszał wyrok dodatkowych 14 miesięcy pozbawienia wolności za swoją rolę w innym nieautoryzowanym zgromadzeniu w 2019 roku. Oba wyroki zmieniono na łączną karę 20 miesięcy pozbawienia wolności. 9 grudnia 2021 roku Lai został skazany na kolejne 13 miesięcy za udział w zakazanym czuwaniu przy świecach upamiętniającym masakrę na placu Tiananmen.

Mężczyzna przebywa w więzieniu od grudnia 2020 roku. W liście wysłanym z więzienia do jednego ze swoich pracowników w Kanadzie napisał: „Zawsze jest cena do zapłacenia, gdy przedkładasz prawdę, sprawiedliwość i dobro ponad własny komfort, bezpieczeństwo i dobre samopoczucie fizyczne; inaczej twoje życie staje się kłamstwem. Wybieram prawdę zamiast kłamstwa i płacę cenę". ■

eprasa.pl 77ed129928

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Rozłam wśród swoich...

„Rozłam wśród swoich. Jak zaostrzenie reżimu w Rosji zderza państwowych oligarchów z siłowikami" – analiza pod takim tytułem została opublikowana na stronie Moscow Carnegie 7 lutego 2022 roku. Jej autorka Tatiana Stanowaja pisze o dojrzewającym konflikcie wewnątrz rosyjskiej elity władzy. Kto weźmie górę: politycznie mocni i wpływowi w gospodarce oligarchowie państwowi czy sojusz siłowików i technokratów, zafiksowanych na punkcie bezpieczeństwa i kontroli?

Pytanie o przyszłość reżimu Putina – jego stabilność, trwałość i ewolucję – staje się nie tylko problemem dla rosyjskiego społeczeństwa, lecz także ważnym czynnikiem globalnego bezpieczeństwa. Odpowiedź wymaga zbadania wielu aspektów, takich jak nastroje społeczne i polityczne (poziom protestów), aktywność i możliwości rzeczywistej opozycji, oceny władz oraz zdolność reżimu do utrzymania kontroli. Ponadto ważnymi czynnikami są sytuacja makroekonomiczna i otoczenie zewnętrzne – do utrzymania stabilności i trwałości reżimu niezbędne są zasoby. Ale jest jeszcze jeden, mniej widoczny czynnik w transformacji reżimu. To właśnie rozłamy wewnątrz elit mogą zatrzeć konsensus co do wektora rozwoju kraju. Dziś wiele poważnych sygnałów wskazuje na to, że podziały między różnymi grupami osób sprawujących władzę w Rosji nie tylko się pojawiły, lecz wręcz się pogłębiają, i to na tle osłabienia funkcji prezydenta jako najwyższego arbitra.

Od jelcynowskich oligarchów do putinowskich

[...] Obecni „oligarchowie" Putina mają niewiele wspólnego z oligarchami z lat 90. XX wieku. Pojęcie oligarchy w postsowieckiej Rosji zawsze było ściśle związane z rządami Jelcyna. W tym czasie, w wyniku aukcji i prywatyzacji, ukształtowała się stosunkowo wąska grupa prywatnych biznesmenów, którzy posiadali zarówno autonomię polityczną, jak i potężne zasoby finansowe, co pozwalało im wpływać na politykę kadrową, budżetową i gospodarczą osłabionego państwa. Wspólna mobilizacja oligarchów w 1996 roku na rzecz poparcia Borysa Jelcyna przeciwko tzw. czerwonemu zagrożeniu – realna perspektywa wygrania wyborów prezydenckich przez kandydata komunistów – w rzeczywistości przesądziła o dalszym rozwoju kraju. Ci oligarchowie byli w różnych formach partnerami rządu: gdy było to konieczne, byli sponsorami, gdy było to wygodne, byli ogranicznikami władzy. Innymi słowy, samo pojęcie oligarchy implikowało dostęp elity finansowej i gospodarczej do wpływania na decyzje władz w ramach ulegającego degradacji reżimu ze skrajnie niepopularnym i nie zawsze zdolnym do rządzenia prezydentem Jelcynem.

Władimir Putin położył kres tej klasie oligarchów w ciągu pierwszych trzech lat swojej prezydentury, narzucając wielkiemu biznesowi nową niepisaną „umowę społeczną". Obejmowała ona kilka kluczowych warunków: całkowitą rezygnację z wszelkich form wpływów politycznych (w tym finansowania partii politycznych bez zgody Kremla); rezygnację z optymalizacji podatkowej (biznes został zobowiązany do płacenia wszystkich podatków w pełnej wysokości, w tym za powszechnie uważaną za nieuczciwą prywatyzację z lat 90.); zwiększenie odpowiedzialności społecznej biznesu, co w tamtym czasie oznaczało, że władze musiały finansować projekty, których Kreml chciał, na pierwsze żądanie. Ci, którzy odmówili przyjęcia tego nowego schematu, jak Borys Bieriezowski czy Władimir Gusinski, zostali zmuszeni do opuszczenia kraju. [...]

eprasa.pl 77ed129928

Pojawiły się nowe koalicje: partnerstwa biznesowe wielkich biznesmenów z ludźmi biznesu bliskimi prezydentowi. Na przykład Leonid Michelson (Novatek) zbliżył się do Giennadija Timczenki (Volga Group), Aliszer Usmanow (USM Holdings) do Siergieja Czemiezowa (Rostech), a Aleksiej Mordaszow (Siewierstal) do Jurija Kowalczuka (Bank Rossija). Takie sojusze miały zapewnić wielkim właścicielom polityczne zabezpieczenie przed atakami sił bezpieczeństwa lub konkurencji. Biznesmeni zaczęli podkreślać swój patriotyzm i odpowiedzialność społeczną i generalnie przestrzegać nowych zasad poprawności politycznej. Najbardziej wyrazistym przykładem nowej postawy biznesu wobec władz jest Oleg Deripaska, który wielokrotnie wyrażał gotowość oddania całego swojego majątku państwu, jeśli wymagałaby tego sytuacja.

Po odsunięciu od władzy dawnych oligarchów Putin stopniowo zaczął tworzyć polityczne, instytucjonalne i ekonomiczne warunki dla wyłonienia się nowej, odpowiedzialnej politycznie elity. Miała ona zastąpić pierwsze pokolenie „nowych kapitalistów" – skrajnie egoistycznych, nastawionych na zysk, zorientowanych na Zachód i całkowicie niepatriotycznych – tak właśnie widział ich Putin. Rosyjski przywódca w zasadzie nigdy nie ufał prywatnemu biznesowi. Zdaniem prezydenta, z natury rzeczy nie może być on politycznie odpowiedzialny, gdyż osiąganie zysku za wszelką cenę jest a priori sprzeczne z interesem państwa. Przez lata ta nieufność Putina wobec środowiska biznesu nie tylko się utrzymywała, lecz wręcz pogłębiała. Żadne zapewnienia o lojalności, żadne zasługi i żadne rytualne wyrzeczenia ze strony biznesmenów nie dają i nie mogą dać im stuprocentowej gwarancji ochrony pozycji i majątku.

Dojściu Putina do władzy towarzyszył awans „nowych piterców". Na początku wywodzący się z Sankt Petersburga ludzie wyglądali bardziej niż skromnie pod względem materialnym w porównaniu z bajecznie bogatymi jelcynowskimi oligarchami. Byli to urzędnicy średniego szczebla, kierownicy, ochroniarze, oficerowie wywiadu, naukowcy i sportowcy. Praktycznie żaden z nich nie mógł początkowo przypisywać sobie poważnego znaczenia lub wpływu. Oznacza to, że nie mieli oni wystarczających możliwości, aby wyprzeć oligarchów, którzy stracili swoje pozycje polityczne, ale zachowali majątek. [...] W zasadzie wszystkie drogi prowadziły do państwa, a ludzie, którzy doszli do władzy wraz z nowym prezydentem, zaczęli zajmować kluczowe stanowiska w systemie. Dzięki tej pozycji „kohorta putinowska" uzyskała dostęp do kontroli nad znaczącymi aktywami gospodarczymi. Jednocześnie same aktywa znajdowały się w rękach państwa lub były tworzone na koszt państwa, a „oligarchowie państwowi" pozostawali instytucjonalnie i politycznie zależni od rządu. Najważniejszym czynnikiem dla tych osób było zachowanie bezpośredniego dostępu do głowy państwa.

Trzy typy, trzy role

W ciągu dwóch dekad rządów Putina wykształciły się trzy główne typy tego, co można nazwać oligarchią państwową.

Menedżerowie

Są to osoby, którym powierzono zarządzanie największymi aktywami państwowymi. Dotyczy to nie właścicieli, lecz zarządców aktywów kontrolowanych przez państwo. Wśród nich są Igor Sieczin (Rosnieft), Siergiej Czemiezow (Rostech), Aleksiej Miller (Gazprom), German Gref (Sbierbank), Nikołaj Tokariew (Transnieft) i inni. Prawie wszyscy oni, w takim czy innym stopniu, otrzymali od Putina specjalne zadanie: Czemiezow – ratowania kompleksu wojskowo-przemysłowego, Miller – kontroli nad zasobami gazu, szczególnie ważnymi w sensie geopolitycznym, Sieczin – zarządzania aktywami naftowymi jako głównym źródłem dochodów budżetowych itd. Taka misja stawiała państwowych menedżerów w uprzywilejowanej pozycji, ograniczając możliwości kontroli i regulacji ich działalności przez państwo.

Uwagę zwraca przyspieszone tworzenie korporacji państwowych podczas drugiej kadencji Putina. Pojęcie korporacji państwowej, które pojawiło się w ustawodawstwie rosyjskim w 1999 roku, oznaczało organizację non-profit utworzoną przez Federację Rosyjską na podstawie wkładu majątkowego i powołaną do pełnienia funkcji społecznych, zarządczych lub innych społecznie użytecznych. Innymi słowy, to organizacja non-profit, której utworzenie jest przewidziane przez specjalne prawo federalne. Otwiera to maksymalną swobodę twórczą w budowie korporacji państwowych. Forma ta jest atrakcyjna również dlatego, że pozwala na otrzymanie od państwa wkładu majątkowego w postaci przedsiębiorstw do pełnienia pewnych „funkcji użytkowych", ale w taki sposób, że ostatecznie właścicielem przekazanego majątku nie jest już państwo, lecz sama korporacja państwowa. [...]

Innym uderzającym przykładem zindywidualizowanego podejścia do zarządzania zasadniczo państwowym majątkiem jest Rosnieft. Ze względu na specyfikę afery Jukosu i nieudane plany połączenia Gazpromu i Rosnieftu, spółka nie należała do agencji własności państwowej, lecz do firmy Rosnieftiegaz (ta w 100 proc. należy do państwowego Rosimuszczestwa). W rezultacie kontrola państwa nad Rosnieftem stała się pośrednia, a nawet problematyczna. Ale nawet ta kontrola z czasem uległa erozji: z biegiem lat udział Rosnieftiegazu w Rosniefti zmniejszył się, co dało Sieczinowi powód do stwierdzenia w 2016 roku, że Rosnieft w ogóle nie jest firmą państwową. [...] Putin, tłumacząc, dlaczego Rosnieftiegaz jest potrzebny, powiedział, że jest to rodzaj rezerwy, którą

eprasa.pl 77ed129928

państwo może wykorzystać do rozwiązywania ważnych społecznie problemów, na przykład w edukacji. Innymi słowy, jest to swego rodzaju „państwowa nietykalna rezerwa" pod tymczasowym zarządem Sieczina. [...]

To pokazuje, jak bardzo bliscy współpracownicy Putina, którzy stali się menedżerami państwowych korporacji, są zależni od państwa, a tym samym od polityki personalnej prezydenta, sytuacji politycznej w kraju i poziomu „przyjazności" urzędników. Obecny system pokazuje, jak wysoka jest dla tych ludzi stawka w walce o pożądaną przez nich konfigurację władzy politycznej w Rosji. Z grubsza rzecz biorąc, dopóki Putin jest u władzy i zachowuje wystarczający stopień zdolności – także do arbitrażu – mogą spać spokojnie. Dla stabilności tej części elity i korporacji, którymi kierują, poparcie prezydenta jest niezwykle ważne.

Podwykonawcy

W przeciwieństwie do „menedżerów", „podwykonawcy" są prywatnymi przedsiębiorcami; zarabiają pieniądze, wykonując wszelkiego rodzaju prace dla agencji rządowych, firm państwowych lub korporacji. Najbardziej znanymi z nich są bracia Arkadij i Borys Rotenbergowie, którzy w latach putinowskich przeszli drogę od biznesmenów średniego szczebla do jednych z najbogatszych ludzi w Rosji. Uważa się, że ich sukces finansowy opiera się na dwóch filarach: 1. prywatyzacji aktywów kontrolowanych przez państwo lub przedsiębiorstw państwowych, a następnie ich odsprzedaży; 2. dostępou do kontraktów państwowych. [...]

Jednak status „podwykonawcy" oznacza nie tylko zarabianie pieniędzy na kontraktach rządowych, lecz także wykonywanie tak zaszczytnych i ryzykownych geopolitycznie misji, jak budowa mostu krymskiego, która skazała braci Rotenbergów na życie pod ostrymi zachodnimi sankcjami. Do grona „podwykonawców", choć z zastrzeżeniami, można też zaliczyć Giennadija Timczenkę, który większość swojego majątku zbił na handlu ropą. Na początku XXI wieku sama Rosnieft odpowiadała za 30–40 proc. sprzedaży ropy Timczenki. W 2014 roku Timczenko zajął trzecie miejsce w rankingu „królów zamówień rządowych", a największymi klientami jego firm były państwowe Rosnieft czy Transnieft. Jednak w przeciwieństwie do Rotenbergów, Timczenko już na początku XXI wieku był biznesmenem o ugruntowanej pozycji. [...] Prywatny biznes, próbując bronić się przed ekspansją tych, którzy przedstawiali się jako „przyjaciele Putina", widział w Timczence partnera, z którym współdziałanie może zwiększyć bezpieczeństwo polityczne biznesu. Na przykład w 2008 roku Leonid Michelson, kluczowy akcjonariusz Novateku, zawarł umowę z Volga Group Timczenki na zakup 13 proc. udziałów w spółce gazowej, co stanowiło ważny element strategii w obronie przed ambicjami Gazpromu, który dążył do wyeliminowania niezależnych producentów gazu.

Usługodawcy

Trzeci typ współpracowników Putina w biznesie można umownie określić jako „usługodawcy". Są to osoby, które dzięki szczególnemu zaufaniu prezydenta weszły w obszary ważne dla polityki wewnętrznej, a nawet zagranicznej kraju. Dwa najbardziej znane przykłady to bracia Kowalczuk w polityce wewnętrznej i Jewgienij Prigożin w polityce zagranicznej.

Na początku lat 90. Jurij Kowalczuk, młody i obiecujący fizyk w końcówce czasów sowieckich, przejął kontrolę nad bankiem, który wcześniej był kontrolowany przez Leningradzki Komitet Obwodowy Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego – później stał się znany jako Bank Rossija. Od 2008 roku Jurij Kowalczuk zbudował imperium medialne – Grupę Mediów Narodowych, która otworzyła dostęp do kształtowania polityki informacyjnej. Aleksiej Gromow, pierwszy zastępca szefa administracji prezydenckiej odpowiedzialny za media tradycyjne, zyskał wpływowego konkurenta z bezpośrednim dostępem do Putina. W polityce krajowej Jurij Kowalczuk jest uznawany za twórcę partii politycznej Nowi Ludzie. Jest to jedyna nowo utworzona „postępowa" siła polityczna w ciągu ponad 20 lat rządów Putina, która zdołała przekroczyć próg 5 proc. w wyborach do Dumy we wrześniu 2021 roku. [...]

Jewgienij Prigożin nie może być porównywany pod względem skali wpływów z Kowalczukami, lecz funkcjonalnie wpisuje się w kategorię „usługową": chodzi o to, by w jakiś sposób przysłużyć się Kremlowi, przejąć inicjatywę tam, gdzie państwo nie czuje się komfortowo lub ryzykuje podjęcie pewnych zadań. Do pewnego stopnia można mówić o outsourcingu pewnych zadań państwowych na rzecz outsourcingu politycznego i geopolitycznego, który z kolei tworzy symbiozę między urzędnikami a postaciami osobiście bliskimi Putinowi. Podczas gdy na przykład bracia Kowalczukowie zajmują się ważnymi dla Putina projektami z zakresu genetyki, atomistyki i polityki informacyjnej, prywatne firmy kontrolowane przez Prigożina, jak podają media, specjalizują się w prowadzeniu operacji specjalnych poza granicami Rosji, gdzie państwo nie chce się rzucać w oczy.

Dla tej części elity biznes jest atrakcyjny raczej jako instrument spójności z obecną władzą i obsługi jej interesów, które są ściśle powiązane z osobistymi priorytetami prezydenta. Dlatego też dla tej części elity potencjalne szkody dla ich biznesu, wynikające z zachodnich sankcji, są kwestią głęboko drugorzędną i najwyraźniej ci członkowie elity nie widzą w nich przeszkody dla agresywnej polityki zagranicznej Rosji.

eprasa.pl 77ed129928

Rosnące ryzyka dla oligarchów

Analiza trzech kategorii elit prowadzi do wniosku, że w rosyjskim systemie władzy pojawia się nierównowaga, która pogłębia się wraz z jego starzeniem się. Obecna skala realnych wpływów „przyjaciół biznesowych" Putina nie odpowiada ich obiektywnej pozycji w systemie. Innymi słowy, jedynym znaczącym zasobem tej grupy osób jest ich bezpośredni dostęp do prezydenta, który determinuje ich aktualną pozycję i możliwości. Ta „biznesowa" część putinowskiej świty opiera się wyłącznie na utrzymaniu status quo w systemie władzy. Jednocześnie nie ma mechanizmów legitymizujących ich pozycję w kontekście stopniowego starzenia się reżimu politycznego i osłabienia arbitrażowej funkcji prezydenta, nie mówiąc już o nieuchronnym tranzycie władzy. Wystarczy spojrzeć na listę 200 najbogatszych ludzi w Rosji, aby zrozumieć, że udział „przyjaciół Putina" jest tam tak mały, że nie można mówić o ich finansowej i ekonomicznej dominacji w gospodarce kraju.

Długoterminowe ryzyko polityczne dla biznesowej części otoczenia Putina systematycznie rośnie w wyniku następujących procesów. Po pierwsze, funkcja arbitrażowa Putina ulega stopniowemu rozmyciu, na co nakłada się ogólne wyobcowanie prezydenta z rutynowych działań. Z powodu pandemii Putin fizycznie został odizolowany i niedostępny dla swoich współpracowników. Woli delegować sprawy konfliktowe na niższe szczeble i traci zainteresowanie rozstrzyganiem wewnętrznych sporów – wszystkiego, co nie jest związane z zestawem strategicznych lub, jego zdaniem, historycznie ważnych tematów. [...]

Po drugie, i jest to bezpośrednia konsekwencja pierwszego procesu, technokraci się upolityczniają. Putin, zbudowawszy system, odchodzi od codziennej rutyny, oczekując, że system będzie działał w trybie półautomatycznym. Wiąże się to z przeniesieniem odpowiedzialności na niższe szczeble. Jednak wpływowi gracze okazali się nieprzygotowani do przyjęcia takiej odpowiedzialności za rozwój społeczno-gospodarczy kraju. Przyjaciele i współpracownicy Putina wolą pozostawać poza sferą formalnej odpowiedzialności, co doprowadziło do wzrostu liczby bezosobowych, łatwo zastępowalnych technokratów w oficjalnych władzach. To z kolei prowadzi do „deputinizacji" systemu, w którym rutynowe mechanizmy podejmowania decyzji w rządzie zaczynają działać bez odniesienia do pierwszej osoby w państwie. Do tego dochodzi upolitycznienie technokratów: odpowiedzialność, jaką na nich nałożono, zobowiązuje ich do podejmowania decyzji o znaczeniu politycznym, co bardzo dobrze pokazuje rola gabinetu Michaiła Miszustina. [...] „Polityczni technokraci" zaczynają odgrywać kluczowe role, forsując własne ambitne projekty i prowadząc własne gry. [...]

Po trzecie, i jest to obecnie najbardziej odczuwalny czynnik ryzyka, siłowicy szybko zwiększają swoje wpływy polityczne i poszerzają swoje miejsce w systemie władzy. Dziś szybko pogłębia się przepaść między częścią władzy w otoczeniu prezydenta, która jest bliższa i bardziej zrozumiała dla Putina, a konwencjonalną „częścią biznesową" (trzy opisane wyżej kategorie). [...] Reżim Putina został pierwotnie zbudowany w oparciu o służby specjalne, i to zawsze był problem wewnątrz elit. Przypomnijmy sobie początek XXI wieku., kiedy eksperci dyskutowali o konfrontacji „petersburskich liberałów" i „petersburskich czekistów". Jednak w tamtym czasie „petersburscy czekiści" byli czysto instrumentalni, ideologicznie marginalni i znacznie ustępowali pod względem inicjatywy licznym innym grupom nacisku. Dzisiaj mamy do czynienia z sytuacją, w której część siłowa elity zaczyna dominować i dyktować zasady życia całemu sektorowi cywilnemu. Sytuacja ta odnosi się również do tych obszarów, gdzie działa „biznesowa" świta Putina. Dotyczy to dziedzin nauki i edukacji (na przykład regulacja kontaktów z cudzoziemcami), technologii informatycznych (regulacja zakupów krajowego oprogramowania), substytucji importu, a także funkcjonowania Internetu i kontroli treści informacji. Charakterystycznym przykładem była nieudana próba Giennadija Timczenki poręczenia w sądzie za Magomeda Magomedowa (biznesowa grupa Summa rozgromiona przez siłowików). Sąd nie tylko kazał Timczence czekać prawie cztery godziny, lecz także potem odrzucił wniosek o złagodzenie środka zapobiegawczego wobec Magomedowa. W tej sytuacji staje się jasne, kto jest gospodarzem w domu.

[...] Dziś, gdy kraj żyje w dużej mierze w logice „oblężonej twierdzy", przestrzeń swobodnego rozwoju gwałtownie się kurczy, a wpływy władzy przenikają do takich obszarów jak nauka, edukacja, technika, informatyzacja i cyfryzacja, oprogramowanie i sprzęt, nie mówiąc już o jakichkolwiek kontaktach zewnętrznych. Na tym tle sam Putin ulega wpływowi ducha czasu. Jego „antyliberalizm" (przypomnijcie sobie jego słynne słowa o przestarzałym liberalizmie w wywiadzie dla „The Financial Times") ewoluuje w coś głębszego i bardziej dalekosiężnego. Teraz Putin ostro wypowiada się również o kapitalizmie. Na ostatnim Forum Wałdajskim w listopadzie 2021 roku oświadczył, że obecny model kapitalizmu wyczerpał się jako system gospodarczy i podał Chiny jako przykład kraju, w którym instytucje rynkowe działają inaczej. [...]

Innymi słowy, ekspansja i wzmocnienie klasy siłowików i konserwatystów stopniowo staje się problemem dla putinowskich oligarchów państwowych. W początkowym okresie rządów Putina rosnące wpływy siłowików przyczyniły się do zepchnięcia systemowych liberałów na margines. Teraz hurrapatriotyzm tej grupy oraz jej chęć ochrony przed wpływami zewnętrznymi i przejęcia

eprasa.pl 77ed129928

kontroli obracają się przeciwko putinowskim oligarchom. [...] Dla „biznesowej części" putinowskiej świty coraz ostrzejszy staje się problem legitymizacji zasobów wpływów i statusów, przekształcenia ich w formy samowystarczalne, przekazywane z pokolenia na pokolenie, a mniej zależne od politycznej aury czy dyspozycji rządzącego autokraty. Ta część putinowskiej świty doskonale rozumie, że bez względu na to, gdzie ich dzieci znajdą się w obecnym reżimie, bez względu na to, jak ciepłe i ufne będą relacje ich ojców z Putinem, żaden następca nie zagwarantuje ich młodym spadkobiercom. Co więcej, współcześnie stopniowo kształtuje się swoisty kult państwa, oznaczający absolutny prymat interesów władzy nad priorytetami prywatnymi czy korporacyjnymi. To jeszcze bardziej uzależnia putinowskich oligarchów państwowych – zwłaszcza od tych, którzy odpowiadają za bezpieczeństwo narodowe.

Zablokować zysk, czyli trzy strategie wyjścia

Wszystkie te zagrożenia – osłabienie funkcji arbitrażowej Putina, upolitycznienie technokratów i ekspansja siłowików – stawiają oligarchów państwowych Putina w trudnej sytuacji już w średniej perspektywie czasowej i zmuszają ich do poszukiwania strategii adaptacyjnych. W gruncie rzeczy chodzi o to, aby zasoby osobistego dostępu do Putina przekształcić w aktywa mniej zależne od niego osobiście, co dawałoby większe gwarancje politycznego przetrwania. Hipotetycznie możliwe są trzy uzupełniające się mechanizmy.

Pierwszy mechanizm to zamiana zasobów osobistych na zasoby administracyjne. Oznacza to bardziej aktywny wpływ na politykę kadrową, w tym w służbach bezpieczeństwa. Od wielu lat dominują w niej bliscy współpracownicy Putina: Nikołaj Patruszew (sekretarz Rady Bezpieczeństwa, wcześniej dyrektor FSB), Aleksandr Bortnikow (dyrektor FSB), Siergiej Naryszkin (dyrektor SWR, wcześniej przewodniczący Dumy Państwowej), Aleksandr Bastrykin (szef Komitetu Śledczego). Jednak czas nie jest ich sprzymierzeńcem i stopniowo będą oni zastępowani przez młodsze pokolenie, osobiście mniej związane z Putinem, a przez to bardziej podatne na wpływy różnych grup interesów. Na przykład Siergiej Koroliew, niedawno awansowany na pierwszego zastępcę szefa FSB – uważa się, że dobrze zna zarówno Rotenbergów, jak i Kowalczuków. Ogólnie rzecz biorąc, technokratyzacja polityki personalnej w służbach bezpieczeństwa niesie ze sobą zarówno szanse, jak i zagrożenia. Z jednej strony, oligarchowie państwowi mają większe możliwości promowania swoich protegowanych, mogą wpływać na kurs polityczny i dominującą ideologię, mogą głębiej wniknąć w system podejmowania decyzji. Z drugiej strony, chęć realizacji tych możliwości gwałtownie zwiększyła konkurencję z innymi grupami wpływów. [...]

Drugi mechanizm polega na konwersji obecnej pozycji w aktywa finansowe i ekonomiczne. Dziś stało się to jedną z najbardziej udanych i obiecujących, choć niepewnych, strategii ustalania zysków politycznych. Tą właśnie drogą poszli bracia Rotenberg, kupując tanio (dzięki protekcji) i sprzedając drogo takie podmioty jak Proswieszczenije (z 2 mld do 108 mld dolarów) czy Strojgazmontaż (z 8 mld do 76 mld dolarów). Mechanizm ten pozwala na zalegalizowanie znacznych środków finansowych, które można następnie zainwestować w aktywa mniej podatne na wpływy polityczne. W podobny sposób działa Igor Sieczin, któremu udało się znacząco zmniejszyć udział państwa w Rosniefti. W tym przypadku warto zwrócić uwagę, że dla Sieczina szczególnie ważna jest umiejętność przyciągania do firmy inwestorów zagranicznych i efektywnego z nimi współdziałania.

Trzeci mechanizm to konwersja w zasoby polityczne. Do niedawna inwestycje w partie kojarzyły się głównie z banalnym lobbingiem interesów korporacyjnych: wśród rosyjskich parlamentarzystów, w tym systemowej opozycji, łatwo znaleźć nominatów z sektora energetycznego, metalurgicznego, farmaceutycznego, rolno-przemysłowego itd. Jednak od 2020 roku pojawia się coś nowego – niespotykane wcześniej zjawisko „prywatyzacji" istniejących partii lub tworzenia nowych partii w celach politycznych, a nie korporacyjnych. Na przykład Prigożin zdobył wpływ na regionalne struktury partii Rodina w Republice Komi i Petersburgu. Owocem tej nowej aktywności była również partia Nowi Ludzie, która zdobyła wystarczającą liczbę głosów, aby utworzyć własną niewielką frakcję w wyborach do Dumy Państwowej we wrześniu 2021 roku. [...]

Obecnie w rosyjskiej elicie władzy dojrzewa ostry, lecz wciąż ukryty konflikt, którego wynik zadecyduje o losie wpływowej części wewnętrznego kręgu Putina. Pojawiły się ostre podziały w kwestii tego, co dalej. Czy będą to potężni politycznie i ekonomicznie oligarchowie państwowi, czy też kombinacja siłowików i technokratów zafiksowanych na punkcie bezpieczeństwa i kontroli? Możliwości dalszego rozwoju reżimu zawężają się. W rzeczywistości wybór jest pomiędzy dążeniem w kierunku scentralizowanej korporacji państwowej, gdzie jest miejsce na rozwój, a ekspansją władzy w kierunku całkowitej kontroli. Biorąc pod uwagę dominację dyskursu antyliberalnego w kraju, nie ma wątpliwości, że główna konfrontacja będzie przebiegać na linii walki o państwo, a nie o kapitał, co sprawia, że ogólna linia konserwatywna praktycznie nie ma alternatywy. Wybór scenariuszy rozwoju zawęża się do nie najatrakcyjniejszej opcji – rozbudowy państwa we wszystkich sferach działalności prywatnej i gospodarczej. A pozornie nieuchronnie przedłużająca się i coraz ostrzejsza konfrontacja z Zachodem będzie coraz bardziej wpychać rosyjskie elity pod kryszę dojrzewających politycznie siłowików. ■

eprasa.pl 77ed129928



Ryszard Czarnecki

Prezydent Stefan Żeromski jakiego nie znamy

Jako nastolatek kochałem Żeromskiego. Z dwudziestu paru tomów „Dzieł wszystkich" pisarza, które stały u mnie w domu, przeczytałem naprawdę prawie wszystko, niektóre powieści kilka razy. Miłość do buntownika-romantyka Żeromskiego łączyłem w zaskakujący sposób z wielką atencją dla Bolesława Prusa. Książki Aleksandra Głowackiego – prawdziwe nazwisko autora „Lalki" – stały tuż koło dzieł Żeromskiego. Podziw dla Sienkiewicza przyszedł później...

„Słowacki wielkim poetą był" – powtarzał profesor Bladaczka w „Ferdydurke" Gombrowicza. A ja powtarzać będę: „Żeromski wielowymiarowy był". Ten zwolennik sprawiedliwości społecznej był jednocześnie jednym z najgorliwszych krytyków komunizmu, a kolportowane przeze mnie i kolegów w podziemiu jego opowiadanie „Na probostwie w Wyszkowie" to podstawowy kanon literatury antysowieckiej. Żeromski był antyrosyjski, a jednocześnie napisał jedną z najbardziej antyniemieckich powieści w dziejach polskiej literatury, czyli „Wiatr od morza". Mógłby pod tym względem licytować się z „Krzyżakami" Sienkiewicza. Mówiono, że ze względu na swoją „antyniemieckość" Żeromski – choć czterokrotnie, rok po roku (1921, 1922, 1923, 1924) zgłaszany był do Literackiej Nagrody Nobla – nie dostał jej. Był pierwszym z wielkich polskich pisarzy, którzy weszli na panteon mimo krzywdzącego dla nich werdyktu jury literackiego Nobla. Drugim na pewno był Zbigniew Herbert. „Zamiast" Herberta nagrodę dostała Wisława Szymborska, a „zamiast" Żeromskiego – Władysław Stanisław Reymont. Obaj zgłoszeni byli do nagrody w 1924 roku. Reymontowi za „Chłopów" to wyróżnienie na pewno się należało, tak jak należało się autorowi „Przedwiośnia" w latach wcześniejszych. Reymont sympatyzował z narodową prawicą, Żeromskiego ubrano w socjalizm. Był z całą pewnością człowiekiem, który wołał o społeczną sprawiedliwość, o równe szanse, o konieczne reformy socjalne i gospodarcze, który marzył o „szklanych domach". Ale jeśli przeanalizujemy jego poglądy na politykę międzynarodową, geopolitykę, to ku osłupieniu wielu znacznie bliżej mu było do... Romana Dmowskiego niż do Józefa Piłsudskiego. Gdy mieszkający u podnóża Tatr Żeromski zostawał najpierw prezesem Organizacji Narodowej w Zakopanem, później przekształconej w Zakopiańską Radę Narodową, a następnie w Rzeczpospolitą Zakopiańską, to funkcje te otrzymywał dzięki Narodowym Demokratom, a wbrew piłsudczykom! Jako Prezydent Rzeczpospolitej Zakopiańskiej, która funkcjonowała przez dwa tygodnie, do czasu przejęcia jej przez powstające niepodległe polskie państwo, autor „Wiernej rzeki" odbierał od lokalnych władz, administracji kolejarzy i żołnierzy przysięgę na wierność odradzającej się Polski. Któż pamięta, że „buntownik" Żeromski był prezydentem?

Pewnie jak wielu mu współczesnych nasz Stefan Wielki był jednocześnie i antyrosyjski, i antyniemiecki. Mało kto wie o jego rodzinnej tragedii: dwie rodzone siostry Żeromskiego wyszły za Rosjan, wyjechały w głąb rosyjskiego imperium, całkowicie się zrusyfikowały i nie utrzymywały kontaktu z bratem – polskim pisarzem...

Kiedy Żeromski postanowił, że będzie pisarzem? Nie znalazłem takiej informacji. Mogę tylko uruchomić wyobraźnię. Może stało się to tego dnia, gdy młody Stefan pracujący jako guwerner w Świętokrzyskiem, przyjechał do Pacanowa na pocztę po list. Zastał tam tłum czekających już od paru godzin chłopów, rzemieślników i czeladników. Na co czekali? Stary chłop w sumiastym wąsem zwrócił się znienacka do młodego inteligenta: „Zdobędą ją, te psubraty, czy nie?". Żeromski zdziwiony: „Kogo?". Chłop tylko wzruszył ramionami: „No, przecie Jasną Górę". Ten tłum przeważnie prostych Polaków, ludzi w różnym wieku, różnych zawodów, ze wsi i z miasteczek, czekał na kolejny numer dziennika „Słowo", w którym drukowano „Potop". Gdy w końcu przywieziono gazetę, pocztowy urzędnik zaczął temu tłumowi – który właśnie stawał się Narodem – w całkowitej ciszy powoli czytać o przeorze Kordeckim... Czy właśnie wtedy, na poczcie w Pacanowie, narodził się Żeromski – pisarz? ■

eprasa.pl 77ed129928



Marcin Wolski

RUŚ PRAWDZIWA

Współczesny dobrze wykształcony Ukrainiec nie ma kompleksów z czasów Związku Sowieckiego. Zapytany o historię wyzna z dumą: to my jesteśmy prawdziwą Rusią. My pod koniec X wieku przyjęliśmy chrześcijaństwo i nasz książę Jarosław Mądry władał wszystkimi ziemiami ruskimi, zanim ich nie podzielił między synów. Nasz Kijów był głównym europejskim punktem Jedwabnego Szlaku, a nasi władcy posiadali znakomite stosunki polityczne i dynastyczne ze Wschodem i Zachodem. Nie mówiąc już o tym, że etnicznie zawsze byliśmy bardziej słowiańscy niż pobratymcy z północnego wschodu, oprócz krwi rozmaitych Pieczyngów, Połowców, Chazarów i innych przybłędów, wchłonęliśmy większość dawnej wschodniej Słowiańszczyzny i dziesiątki tysięcy chłopów z Mazowsza czy Małopolski zaludniających tylekroć pustoszone ziemie. A tak zwana Wielka Ruś? To były w istocie kresy kresów, Ruś Zaleska – ziemie peryferyjne rządzone przez odnogę Rurykowiczów – najpierw Jurija Dołgorukiego, potem Andrzeja Bogolubskiego, który ustanowił swą stolicą Włodzimierz nad Klaźmą. W jego czasach wzmiankowano też po raz pierwszy w 1147 roku mało znaczący gródek – Moskwę. Ów Bogolubski dokonał dwóch znamiennych czynów: pogonił suwerena – demokratyczny wiec – i ukradł spod Kijowa cudowną ikonę Matki Boskiej Włodzimierskiej, co wyznaczyło charakterystyczną drogę rozwojową Wielkiej Rusi (nie przypadkiem uznaje się Bogolubskiego za pierwszego Rosjanina).

Kijów nie odzyskał już pierwotnej roli. Bitwa pod Kałką zdruzgotała państwowość ruską – Moskwa odnalazła się jako lennik i sługus Mongołów, Kijów potrzebował paru wieków, by się odrodzić w ramach monarchii Jagiellonów. Położony na styku kultur, dziedziczył wspomnienie antycznego królestwa Bosporańskiego, handlował z Zachodem przez Kaffę, kolonie Genueńczyków na Krymie, walczył i brał na siebie główny ciężar walki z Tatarami – forpocztą islamu. Nie udało się mu wybić na trzecią składową część Rzeczpospolitej (może dlatego, że Bohdan Chmielnicki był rodowitym Polakiem), choć było blisko, gdy Wyhowski zawarł unię hadziacką w 1558 roku.

Nie powiodło się niestety, a potem – jak powiada mój ukraiński rozmówca – „wchłonęła nas Kacapia" niszcząca wszystko, co tylko pachniało demokracją. Tak więc Iwan Groźny rozprawił się z republikańskim Wielkim Nowogrodem, a Romanowie z samorządnością Kozaczyzny. Klęska Karola XII Wazy i atamana Mazepy pod Połtawą 8 lipca 1709 roku na długo pogrzebała nadzieje Ukrainy.

Okrawana systematycznie – wpierw straciła Zadnieprze, potem w kolejnych rozbiorach pozostała część weszła w skład imperium carów. (Sicz Zaporoską zniszczył kniaź Potiomkin w 1775 roku). Ostał się swoisty ukraiński Piemont, zagarnięta przez Austriaków Galicja, gdzie przetrwały język, grekokatolicka wiara, obyczaje i podsycany przez Wiedeń antypolonizm. Świadomość, że pol-

> KIJÓW BYŁ GŁÓWNYM EUROPEJSKIM PUNKTEM JEDWABNEGO SZLAKU, A WŁADCY POSIADALI ZNAKOMITE STOSUNKI POLITYCZNE I DYNASTYCZNE ZE WSCHODEM I ZACHODEM.

sko-ukraińskie animozje z hekatombą rzezi wołyńskiej to efekt działań różnych okupantów pozwala wierzyć w przezwyciężenie nieporozumień w przyszłości. W końcu nikt w mieszkańcach współczesnej Małopolski nie szuka potomków oprawców Jakuba Szli, a muszą być ich setki tysięcy... Trzeba czerpać z tego, co nas łączy – wspólnych wojowników od Konaszewicza Sahajdacznego (Chocim 1621) po Semena Petlurę (1920), wspominać wsparcie Polski dla współczesnych narodowych aspiracji Ukraińców wybuchających „pomarańczową rewolucją" czy buntem na Majdanie.

Mimo posługiwania się cyrylicą Ukraińcy czują się częścią Europy, nie Azji, i można tylko mieć nadzieję, że Europa podziela to uczucie! A Rosja nawet jeśli chwilowo wygra, to przegra! ■

eprasa.pl 77ed129928

Tomasz Sakiewicz

Nowa UE

Od kilku miesięcy prowadzę kampanię na rzecz jedynego możliwego projektu Unii Europejskiej, czyli strefy europejskiej wolności. Chyba nikt już nie jest zadowolony z obecnej UE. Instytucje unijne same omijają traktaty, uważając, że nic z tego nie wyjdzie. Polska i Węgry, które próbują odwoływać się do obowiązującego prawa, dostają za to po głowie. Z UE już uciekła Wielka Brytania, a zamknięcie drzwi dla Gruzji, Ukrainy i Mołdawii rozzuchwaliło Rosję. Co gorsza, gospodarka unijna zaczyna przegrywać z USA, Chinami, a wkrótce z Indiami i Brazylią. Piękna idea ta UE, ale wyszło jak zwykle. Problem jednak w tym, że generalnie uczestnictwo nawet w takiej strukturze jak obecnie, większości krajów się po prostu opłaca. Przestaje być rentowne, gdy pętla unijna zbyt mocno zaciska się na szyi.

Co jest najbardziej opłacalne? Strefa unijna wolnego handlu. Wszyscy zyskują na dostępie do rynku, który działa bez ceł i z niedużą liczbą ograniczeń. To skoro jest to takie opłacalne, to po co UE prowadzi inne działalności o wiele mniej rentowne? Właśnie dlatego, że niektóre sektory są nie tak bardzo zyskowne, a istnieć muszą. Takim przykładem jest rolnictwo. Gdyby nie dotacje, pewnie unijna żywność byłaby najdroższa na świecie. To uzasadniało ogromne składki. Miały one też służyć krajom mniej rozwiniętym, które wstępowały do UE. Czy tego problemu nie da się rozwiązać bez uchwalania coraz większych budżetów unijnych? Dotacje dla rolnictwa można przydzielić niezwykle prosto, ustalając jedynie wspólne limity. Do tego poziomu każde państwo mogłoby wspierać swoich obywateli. Z biedniejszymi regionami jest trochę trudniej. Ale jakie państwo zostało ostatnio przyjęte do UE? Żadne. Czy Ukraina nie zgodziłaby się wejść do tej organizacji, nawet gdyby nie dostała ani grosza? Oczywiście że by się zgodziła, gdyby nie płaciła wielkich składek.

A co z polityką klimatyczną? Pomijam to, że jestem jej wielkim przeciwnikiem, ale nawet ten problem da się rozwiązać bez takiej przemocy, jaką stosuje UE. Wystarczy wykluczyć spekulacje. Jeżeli już wszyscy zgodzą się płacić podatek od tony CO_2, to po co limity? Same opłaty i przeznaczenie tych pieniędzy na zieloną energię dokonają rewolucji. To właśnie limity spowodowały spowolnienie tej rewolucji, bo pieniądze zamiast trafiać do producentów zielonej energii, wpadały do kieszeni spekulantów.

Jak wyglądałaby więc nowa UE? Utrzymałaby trzy największe swoje wartości: wolny przepływ ludzi, kapitału i towarów z usługami, a za to nie tworzyłaby wielkich budżetów. Opłaty i dotacje wspólnie ustalane pozostałyby w państwach narodowych. Proste i tanie. Paradoksalnie do takiego projektu zbliżyła nas UE, blokując część pieniędzy dla Polski. Zaraz my zablokujemy nasze składki i budżet się zmniejszy. Gdyby zrobili tak wszyscy, UE przeżywałaby nową młodość, korzystając z wielkiej strefy wolnego handlu. Jeżeli jakieś państwa chcą likwidować swoją suwerenność i ustalać wspólne budżety, a nawet prawa – droga wolna. Nowa UE ich też pomieści. Byle te superpaństwa tworzyły się bez nas. ■

Jak wyglądałaby nowa UE? Utrzymałaby trzy największe swoje wartości: wolny przepływ ludzi, kapitału i towarów z usługami, a za to nie tworzyłaby wielkich budżetów.

eprasa.pl 77ed129928

Superhit

Ponad 50 kanałów TV

już od **10** zł miesięcznie
z rabatem smartDOM



polsat box

Wybierz swoje wszystko

Oferta smartDOM dla Abonentów Plusa oraz internetu od Cyfrowego Polsatu.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S, ze zobowiązaniem od 20 zł/mies. (10 zł/mies. po rabacie smartDOM) i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane, w tym promocyjne. Dotyczy wybranych wariantów ofert. Warunkiem skorzystania z programu smartDOM i otrzymania Rabatu smartDOM jest zachowanie warunków programu i wyrażenie zgody na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie programu „smartDOM 4.5 – Telewizja, Internet, Telefon" dostępnym na: polsatbox.pl oraz plus.pl. Oferta ważna na dzień 20.02.2022 r.

eprasa.pl/?ed129928